

Janusz Domagalik

Koniec wakacji

Stoję w wielkiej auli zupełnie obcego mi gmachu liceum, a dookoła same nowe twarze: nauczyciele, do których już teraz trzeba będzie mówić „panie profesorze”, zamiast po prostu „proszę pana”, i potężny, wypełniający całą aulę tłum dziewcząt i chłopców. Ze ściany patrzy na nas, trochę jakby zezowatym okiem, Mikołaj Kopernik. Ktoś tam przemawia... Nie słucham, co mówi. Nikt zresztą nie słucha” sala szumi setkami rozmów, z których każda niby toczy się szeptem, a wszystkie razem odbijają się w tych murach gwarem kolejowego dworca. Odjeżdżamy przecież. Jeszcze tylko kilka przemówień... Opalone dziewczęta w białych bluzkach, chłopcy podciągający krawaty, nowe czerwone tarcze: czyli koniec wakacji. Niewesoło mi. Czy tylko mnie? Widzę inną salę, w naszej dawnej szkole, gdzie byliśmy klasą najstarszą, i właśnie wtedy nas żegnano, żeby tutaj mogli nas dzisiaj przywitać. To było zaledwie dwa miesiące temu. Wakacje dopiero zaczynały się, wszystko nam mogły przynieść: słońce i deszcz...

1

Upał był niesamowity, a do rynku ponad kilometr. Ale co miałem robić? Uśmiechnąłem się więc kwaśno i powiedziałem:

– Dobrze! Pójdę zaraz na rynek i kupię te nasiona. A jutro je zasieję w ogródku...

– W czterech rzędach? – upewniła się mama.

– Tak, w czterech rzędach... – i westchnąłem ciężko na znak, że dużo mnie kosztuje to przyrzeczenie.

Otwierając drzwi usłyszałem jeszcze głos ojca:

– Spytaj u Derdy o rudego. Albo na plebanii...

Miasto było jak wymarłe, ogłuszone przez upał. Od strony kopalni dudniła monotonicznie sortownia węgla, wielkie koła szybów wyciągowych obracały się sennie. Idę tak sobie i myślę o różnych rzeczach. Zmarnowane wakacje, psiakość! Trzeba było zostać na wsi u wujka. Wróciłem ni w pięć, ni w dziewięć w połowie lipca, a wszyscy chłopcy pewno po-wyjeżdżali, będę sam się nudził'...

– Dzień dobry, panie Cholewa! Co? Na rynek idę, po nasiona. Nie, ojciec zostaje na urlop w domu. To mama wyjeżdża, do sanatorium...

...Żeby tylko znowu nie przyszedł do nas wieczorem, bo będzie głądził do późnej nocy. Mama go nie lubi, a jeszcze dziś, przy tym pakowaniu... Bałagan w mieszkaniu taki, jak-byśmy wszyscy wyjeżdżali. Po co mama bierze aż dwie walizki?

A może by tak po kolacji na jabłka gdzieś wyskoczyć? Na papierówki... Ale sam? To nie ma sensu, samemu to żadna przyjemność. A tego rudego już dawno należało wrzucić do garnka. Co ja się przez tego drania namęczę. Co dzień go trzeba szukać po mieście...

Tak, wielkie miasto! Dziura zadymiona, a nie miasto. Choćby się człowiek dwa razy dziennie mył, to i tak koszule aż czarne od sadzy. Skąd to tyle tego leci? Ale kino to jest tylko jedno. I jeszcze je pół roku remontują... O rany, mógłby ten stary Kuśmirek pędzić krowy po ulicy, a nie tutaj...

– Ej! Pójdiesz ty z chodnika, krowo jedna!

Skręciłem w stronę rzeki, bo tędy było bliżej. Brudna woda jakby stała w miejscu, a cisza tu jeszcze większa niż na ulicy. Widać stąd było wyraźnie, że całe miasto leży jakby na wielkim, wklęsłym talerzu, którego środkiem przepływa rzeka, a na wapiennych wzgórzach z jednej strony – rozsiadła się kopalnia, z drugiej, tam gdzie rynek, zagęszczają się „domy wokół kościoła. A wszystko zalane słońcem, które aż do ziemi przygniata.

...Albo i te nasiona. Po co mamie w ogródku kwiaty, skoro i tak wyjeżdża na cały miesiąc? – Maciejka, maciejka, maciejka... – powtórzyłem sobie parę razy, żeby nie zapomnieć, jakie to nasiona mam kupić.

– Pozdrów tego drugiego! – słyszę nagle tuż koło siebie. Patrzą, a to Gruby leży na trawie i opala się, wyciągnięty jak krokodyl.

– Jakiego drugiego?

– No, tego, z kim rozmawiałeś o maciejce. Chyba że mówiłeś do słupa! – i Gruby aż się skręca ze śmiechu, zadowolony, że niby dowcip mu się udał.

Ucieszyłem się, że jest w mieście. Zawsze będzie różnie.

– To co, nie wyjechałeś na obóz?

– Nie było jakoś forsy...

– No to w dechę, Gruby. To już nas jest dwóch...

– Trzech! Jest jeszcze Problem. Ale on ma gościa i chyba się nie liczy. On się zakochał...

– Zwariowałeś?

– Nie. Przyjdź wieczorem, to ci coś opowiem. Bo teraz spać mi się strasznie chce... – i Gruby odwrócił się na drugi bok.

Kiwnąłem głową, bo faktycznie upał był taki, że aż się mówić nie chciało.

I poszedłem dalej.

Ulice były zupełnie puste, tylko na rynku przy kiosku z piwem stało paru górników.

Sprzedawczyni drzemała, a oni wlewali w siebie to piwo bez słowa, na milcząco. Jednego znałem, Wójcik, kupił niedawno syrenkę. Sam bym się czegoś napił, ale oranżady nie było...

A Parasol mówił raz na geografii, że ani piwem, ani oranżadą pragnienia się nie ugasi, tylko posoloną herbatą. Chyba sobie zmyślił, chociaż kto go tam wie... Dlaczego myśmy go właściwie nazwali „Parasol”? Nie pamiętam...

Kupiłem na rynku torebkę maciejki, pogapiłem się trochę na tramwaj, któremu coś się popsuło, bo pałak iskrzył jak wszyscy diabli, a potem wstąpiłem na plebanię. „Żeby tylko nie spotkać proboszcza!” – myślałem, przechodząc przez ogród. Od czasu kiedy byliśmy tu z chłopcami na jabłkach i ktoś potem doniósł wszystko proboszczowi, zawsze jakoś niewyraźnie się czułem w tym ogrodzie.

Pokój wikarego, księdza Majchrzaka, był na szczęście od podwórka, i do tego na parterze, tak że nie musiałem w ogóle wchodzić do” budynku. Okno było otwarte i ksiądz Majchrzak od razu mnie zobaczył. Trochę się nawet zdziwiłem, że tak szybko podskoczył do okna i gwałtownie zamachał rękami, ale nie podejrzewając niczego złego, spytałem głośno:

– Nie ma przypadkiem u księdza naszego rudego? Ojciec mnie przysłał...

I dopiero w tym momencie spostrzegłem, że w pokoju jest również proboszcz. Odskokczyłem w bok, ale było już za późno.

– Co ksiądz wikary ze mnie głuchego robi! – denerwował się proboszcz. – Przecież wyraźnie słyszę, że chodzi o gołębia, a nie o pana organistę. Organista nie jest rudy, tylko łysy!

W drodze do furtki słyszałem jeszcze, jak ksiądz Majchrzak próbował coś tłumaczyć, a proboszcz krzyczał głośno:

– Tyle razy prosiłem, żeby ksiądz skończył z tymi swoimi gołębiami! Do czego to podobne? Tutaj do księdza więcej gołębiarzy przychodzi niż ludzi do spowiedzi.

Nieprzyjemnie mi było, że tak fatalnie sypnąłem księdza Majchrzaka. Takich pocztowych, jak on miał, to jeszcze nie widziałem. Co temu proboszczowi może przeszkadzać, że ktoś sobie u niego trochę jabłek zerwie albo że hoduje gołębie pocztowe. Nieużyty jakiś... Ale właściwie wszystkiemu był winien rudy. To diabeł nie gołąb. I jeszcze większą złość poczułem do tego łobuza.

U starego Derdy nawet nie musiałem mówić, po co przychodzę. Stał akurat na podwórku i liczył palcem gołębie na sąsiednim dachu. Całe szczęście, że siedziały osowiałe, w taki upał nawet gołębiom nie chce się latać. Bo inaczej toby się ich chyba nie doliczył. Odał mi rudego i powiedział:

– Uwiążcie go na łańcuchu. Albo sprzedajcie, bo on i tak więcej u mnie siedzi niż u was!

Wracałem inną drogą, koło kina. Gołębia wsadziłem za koszulę i przytrzymałem ręką. A w drugiej ręce ściszałem torebkę z nasionami.

Zerwał się lekki wiatr i humor mi się trochę poprawił.

Trudno powiedzieć, jak to się stało. Usłyszałem nagle krótki zgrzyt hamulca i prawie równocześnie coś rąbnęło we mnie z tyłu. Widocznie rozchyliłem ręce, bo rudy zatrzepotał mi skrzydłami koło twarzy i prysnął w górę. Poczulem ostry ból i nagle zrobiło mi się dziwnie słodko, jakbym miał usta pełne cukru.

Kiedy to minęło, okazało się, że siedzę na krawężniku, a ze środka jezdni podnosi się jakaś dziewczyna. Tuż przy mnie leżał jej rower, przednie koło jeszcze się obracało. Dziewczyna była skrzywiona i aż szara od kurzu. Trzymała się za kolano. Chciałem powiedzieć coś na temat jej jazdy, ale zobaczyłem, że cały łokieć mam pokrwawiony, i odeszła mnie ochota do kłótni. Zresztą ona też się musiała porządnie uderzyć. No cóż, zdarza się, wypadek. Podniosłem rower i powiedziałem:

– Chodź, Fornalczyku zakichany! Tam jest woda...

Umyliśmy się na podwórku za kinem, cały czas nie mówiąc ani słowa. Wreszcie ona doszła widocznie jakoś do siebie, bo zaczęła się czesać. „Bardzo ładna dziewczyna!” – pomyślałem sobie i równocześnie strasznie się zdziwiłem. Nigdy dotąd jeszcze nie zauważyłem, żeby jakaś dziewczyna była ładna, a przecież od pierwszej klasy chodziliśmy, razem z dziewczynami i wiele ich znałem. Ta była zupełnie obca. Miała jasne włosy ściągnięte do tyłu i tak długo je czesała, jakby specjalnie chciała pokazać, jakie to te włosy są ładne. Wcale nie patrzała na mnie i w ogóle nic ją nie obchodziło, że jedną ręką ani rusz nie potrafię sobie łokcia chusteczką przewiązać. Nie wiem czemu, nagle rozzłościło mnie to wszystko.

– Dasz wreszcie tego grzebienia? Ile można się czesać, co? A jak drugi raz na mnie najedziesz, to cię tak palnę, że zobaczysz. Albo wrzucę do stawu!

Dziewczyna uśmiechnęła się i podała mi grzebień.

– Chodzisz się kąpać do stawu!

– Pytanie! Bo co?

– Nic. A w ogóle to przepraszam cię. Koło mi ujechało...

– Koło jej ujechało... – mruknąłem ze złością – koło ujechało, a rudy uciekł! I nasiona diabli wzięli...

– Co to były za nasiona? Powiedz, to ci oddam.

– Nasiona rzodkiewki – odparłem ni stąd, ni zowąd. Nie wiem, czemu wymyśliłem akurat rzodkiewkę, ale powiedzieć: „maciejka”, wydało mi się jakoś głupio.

Szliśmy ulicą bardzo powoli, bo ona jeszcze trochę kulała. Koło mojego domu stanąłem i powiedziałem:

– Ja tu mieszkam...

Nie wiadomo zresztą, po co w ogóle to mówiłem. Tak tylko, żeby coś powiedzieć.

Wyciągnęła rękę i znowu się uśmiechnęła.

– Jeśli to cię interesuje, mam na imię Elżbieta...

– Szalenie mnie interesuje. Pewno myślałaś, że umieram z ciekawości, co?

Nagle mały Jasio Zimek, który siedział na płocie i, patrząc na nas, dłużył niewinnie w nosie, zaczął się wydzierać:

– Julek z panną! Julek z panną!

W oknie na piętrze pojawiła się stara Lepiszewska. Czułem, że się rumienię. Byłem wściekły.

– Wyłącz się, smarkaczu, bo cię zamknę do komórki! – wrzasnąłem i Jasio dał spokój. Zszedł z płotu i uciekł.

– Tobie jest Julek? – spytała Elżbieta.

– Nie Julek, tylko ten pętaś nie wymawia „r”. Cześć! – odwróciłem się i poszedłem do domu.

Mama już się skończyła pakować, ale wciąż była jakaś podenerwowana, kręciła się po mieszkaniu zupełnie bez sensu. Dwie wielkie, wypchane walizy stały w kuchni pod ścianą. A ojciec siedział przy stole i reperował swój zegarek. Zawsze coś reperował, a najchętniej, kiedy nie było zepsute. Jak nie radio, to zegarek, jak nie zegarek, to żelazko albo jeszcze coś innego...

Stałem w drzwiach do pokoju i wyrecytowałem jednym tchem, żeby mnie o nic nie pytali:

– Nasiona kupiłem, Cholewa mówił, że może dziś przyjdzie, rudego nie ma u Derdy, przewróciłem się i podrapałem rękę!

Nie zauważyłem, żeby to wszystko zrobiło na nich jakieś wrażenie. Nikt mi nawet nie odpowiedział. I przyszła mi do głowy dziwna myśl: że ja im tutaj jakby w czymś przeszkadzam, że moje wejście przerwało może jakąś rozmowę... Cały wieczór już potem był taki, milczący i nerwowy. Zmęczyło mnie to w końcu i powiedziałem, że idę wcześniej spać. To chyba ten piekielny upał był wszystkim winien...

2

Obudziłem się z myślą, że przecież dzisiaj niedziela.

Nie miało to, co prawda, większego znaczenia, bo i tak były wakacje, ale zawsze to głupio właśnie w niedzielę tak wcześnie się zbudzić. Ojciec spał jeszcze. Odprawiał mamę w nocy na bardzo jakiś późny pociąg, wrócił chyba nad ranem.

Na podwórku urzędowała już Lepiszewska, jak stara kwoka zwołująca swoje kury do karmienia. To jej „cip, cip, cip” słyhać chyba było aż na rynku. Przed komórkami siedział na pieńku do rąbania drzewa „nasz sąsiad z dołu i czyścił olbrzymią trąbę. Ubrany był w odświętny mundur orkiestry górniczej, z wielkim czerwonym pióropuszem na czapce. To właśnie dla tych pióropuszy wszyscy chłopcy u nas chcieli należeć do orkiestry. Ja też kiedyś chciałem, ale mi przeszło.

– Dzień dobry, panie Lach! – powiedziałem specjalnie głośno, patrząc na Lepiszewską, żeby odczuła, że to wcale nie jej się kłaniam. Nie cierpiałem tej baby, zresztą nikt jej nie lubił.

– Jurek, nie masz ty kredy w domu? – zainteresował się Lach.

Przyszło mi do głowy, że ktoś mu może coś tam na drzwiach narysował i stąd to pytanie, zaprzeczyłem więc energicznie: u mnie? kreda? skądże znowu!

Ale zaraz pożałowałem, bo Lach wyjaśnił, że niczym tak się trąby nie wyczyści, jak kredą, a dzisiaj mają koncert w parku.

– Skoczę do kolegi – powiedziałem – zapytam. Jak będzie miał, to panu przyniosę!

Poszedłem pod dom Grubego i zagwizdałem. Od paru lat mieliśmy taki nasz umówiony sygnał – kawałek melodii z jakiegoś filmu. Zagwizdałem drugi raz, ale okna mieszkania były pozamykane, nikt nie odpowiadał.

Nagle z sieni wyszedł Zbyszek Małecki i przystanął na schodkach:

– Daj spokój, nie wysilaj się...

– Bo co? Byłeś tam?

Problem pokazał ręką na okna.

– Przecież widzisz, że pozamykane! Ten Gruby to ma los, bracie! Zakichane takie życie...

– Jego stary znowu rozrabia? – domyśliłem się. – Od rana?

– E tam, rozrabia! Zalany jak bela, mamrocze coś... Ale Gruby nie wyjdzie. Powiedział, że nie może, bo matka poszła do kościoła. Musi z nim posiedzieć, popilnować starego...

– Szkoda... – zmartwiłem się. – Myślałem, że pójdziemy nad staw...

Zbyszek spojrzał na mnie lekceważąco i zrobił taką minę, jakbym rzeczywiście powiedział coś zupełnie głupiego.

– Nad staw? Wymyśliłem coś lepszego. Gruby ci nie mówił? Miał na dzisiaj przygotować linę...

– A po co wam lina?

– Chcemy zrobić wyprawę do groty, wiesz – do tej w parku, z wodospadem. To jest problem, co? Pójdiesz z nami?

Zbyszek nigdy nie mówił „pomysł” tylko „problem”. Miał zresztą kilka takich ulubionych słów. Ale z tą grota to była myśl.

– Może coś tam znajdziemy? Jakiś skarb? – zapalił się i zaczął mi przed nosem machać rękami. – Ty sobie wyobrażasz, co by to było? Ja nie mówię, że niby koniecznie skrzynie ze złotem, ale skarb w sensie historycznym... Na przykład jakąś zbroję! Albo... albo karabin powstańców z sześćdziesiątego trzeciego roku. No?

Skrzywiłem się.

– Zmyślasz, Problem. W Zagłębiu nie było powstania w sześćdziesiątym trzecim roku...

– A skąd ty taki pewny jesteś, że nie było? Ledwo czwórkę miałeś z historii! Zresztą – nie idzie o powstanie, tylko o skarb. Wyczytałem, że ta nasza grota ma połączenie z borzechowskim zamkiem. I cały problem polega na tym, żeby...

– Jakie połączenie? – spytałem. – Lochami?

– No! Bez liny nie damy rady...

Popatrzyliśmy bezradnie w okna Grubego. Wreszcie Zbyszek odezwał się:

– Chyba naprawdę nie wyjdzie... Wiesz co? Gdybym ja miał takiego ojca, jak Gruby, to...

– To co? Co byś niby zrobił? Co tu w ogóle można zrobić? Nic.

– Ale przecież...

– Zamknij się! – przerwałem mu. – „Przecież, przecież...” Nie wymądrzaj się. Co ty o tym wiesz? Teraz to już nic strasznego, Gruby jest silny i stary go nie ruszy... Ale dawniej jak dostawał! No i co? I nawet jak był mały, to nie płakał. Mój ojciec mówi, że Gruby ma charakter i da sobie radę...

Złościł mnie czasem ten Zbyszek. Zupełnie jakby z księżycyca spadł. Siedem klas przeszliśmy razem, ale zawsze wołałem Grubego. Czemu to tak jest, że kogoś się bardziej lubi, a kogoś innego mniej? Z Grubym mogliśmy parę godzin razem przesiedzieć i nawet słowem się nie odezwać, a na drugi dzień znowu jeden do drugiego leciał. A Zbyszek był jak radio – raz wesoły i gadał bez przerwy, a kiedy indziej znów robił się nudny i ponury. Teraz też miał minę, jakby wracał z pogrzebu. „Pewno się obraził!” – pomyślałem i postanowiłem go jakoś zagadać. Odchodziliśmy powoli spod domu Grubego, jeden środkiem, drugi skrajem chodnika, jakbyśmy szli osobno.

– Te, Problem, a ty piłeś już kiedy wódkę?

Zbyszek aż przystanął. Popatrzył na mnie przez chwilę jak na coś bardzo ciekawego i ruszył dalej. Śmiać mi się chciało.

– No, ale już niedługo pewno zaczniesz pić – ciągnąłem poważnie. – I ożenisz się chyba. Gruby mi mówił, że jesteś zakochany. Podobno nawet pokazywałeś mu jakieś zdjęcie? Trafiłem. Oczywiście Gruby nic nie wspominał o zdjęciu, ale miałem nosa. Zbyszek

zawahał się jakby przez chwilę, a wreszcie machnął ręką.

– Eee tam, żartowałem. Pokazałem mu fotografię kuzynki...

– To już nieźle, jak ty nosisz fotografię! A ja myślałem, Problem, że zostaniesz księdzem i będziemy kiedyś mieli znajomego biskupa!

Zbyszek uśmiechnął się. Minął mu pogrzebowy nastrój. Zaczął się jakby tłumaczyć:

– Kiedy to jest prawdziwa kuzynka! Słowo daję...

– No, myślę, że prawdziwa, a nie nakręcana. Pokaż, nie wstydz się!

Nie dał się zbyt długo prosić. Sięgnął do kieszeni, wyjął notes, a z niego zdjęcie.

– Ładna, co?

Była to zwykła, mała fotografia od legitymacji. Nie wiem dlaczego, ale nie bardzo zdziwiłem się, że widzę na niej właśnie Elżbietę. Wyglądała tutaj jakoś poważniej i chyba ładniej niż wtedy, z tym rowerem. Szybko oddałem Zbyszkowi zdjęcie, bo wydawało mi się, że zbyt długo je oglądam.

– Taka sobie, jak kuzynka... – powiedziałem.

Odeszła mnie jakoś ochota do żartów ze Zbyszka. Za to on rozgadał się teraz na dobre:

– Wiesz, ona przyjechała do nas na całe wakacje. Bardzo równa dziewczyna. Zupełnie z nią nie ma kłopotu, bo albo się kąpie w stawie, albo jeździ na rowerze. Przysłali jej rower pocztą. Mówię ci, bardzo dobrze jeździ...

„Świetnie jeździ – pomyślałem sobie. – Jeszcze mnie dzisiaj boli łokieć od tej dobrej jazdy!” Ale nic na ten temat nie powiedziałem, bo po co?

Zbyszek trochę się chyba rozczarował, że o nic nie dopytuje. Spojrzał na mnie z ukosa i dodał:

– A Grubego to ja nabujałem, bo kilka razy pytał, co to za jedna...

– Musiałeś mocno bujać, skoro Gruby uwierzył! – mruknąłem. Szliśmy jakiś czas bez słowa. Koło mostu spostrzegłem lodziarza, jego wózek oblepiony był przez małe dzieci.

– Zbyszek, fundujesz?

Pokręcił głową.

– Nie mam ani grosza. Wszystko wydałem na latarkę. Wiesz, na tę wyprawę do groty...

– No to idę do domu... – zdecydowałem. Przypomniałem sobie, że przecież Lach siedzi na podwórku z trąbą i czeka na mnie. – Problem, masz może przy sobie kawałek kredy? Wywrócił kieszenie i znalazł, nawet dwa kawałki. Nie wiem, po co on zawsze jakieś śmieci nosi w kieszeniach, gwoździe, sznurki, śrubokręt...

– Ciebie to można po tyfus posłać! – warknął ze złością Lach, kiedy rozcierałem mu kredę na proszek. – A tam już się chyba koncert rozpoczął!

– Spokojna głowa, panie Lach! – pocieszałem starego. – Bez pana nie złączą, kto by im basował?

Nieudana była ta niedziela, od samego rana. Ojciec mnie skrzyczał, że pół dnia się włóczę po świecie bez śniadania, łokieć mnie coraz mocniej bolał, tak że musiałem sobie kompres przyłożyć, u babki przy obiedzie stłukłem talerz. Czego się dotknąłem, to mi nie szło. Nudziłem się cały dzień. Do Zbyszka nie chciałem iść, a do Grubego nie było po co. Skoro się nie pokazywał, to znaczy, że nie może. Wieczorem poszedłem do parku.

W altanie grała orkiestra, już nie ta, do której należał stary Lach, ale mniejsza, taka do tańca. Obok altany, na podwyższeniu z desek, ludzie tańczyli. A kto nie tańczył, to gapił się na tamtych. Ściemniło się już, po alejkach spacerowały tłumy. Pełno było kurzu i ludzi. Każdej pogodnej niedzieli cały Borzechów spotykał się w tym parku, ale też park był olbrzymi, ciągnął się wzdłuż rzeki chyba z kilometr. Po co tu przyszedłem? Nie wiem.

Może chciałem kogoś znajomego spotkać? Niby spotkałem znajomych i co z tego?

Parę dziewczyn z naszej klasy tańczyło ze starszymi chłopakami. Wyglądały zupełnie inaczej niż w szkole. Taka Wieśka Michalik... W czwartej ławce środkowego rzędu to był prawdziwy

anioł, zwłaszcza na fizyce. A tutaj? Przysunąłem się bliżej podwyższenia i oparłem o barierkę. Śmiać mi się chciało z tego wszystkiego, co widzę, ale jakoś się nie śmiałem. Nagle ktoś z tyłu pociągnął mnie za rękaw. Patrząc: Irka, sąsiadka, siostra Czarnego. Miny jakieś robi...

– Czego chcesz? – pytam. – Goni cię ktoś?

– Jurek, zatańcz ze mną, co? Chociaż raz, bo i tak mnie matka zaraz do domu wyśle...

No, Jurek, proszę cię...

Rzeczywiście, poprzez tłum nurkowałem do nas stara Kozłowska.

– A dajesz ty mi święty spokój! – rozłościłem się. Ale po chwili, kiedy matka już jej dopadła, żal mi się dziewczyny zrobiło. Zawsze to siostra kolegi.

– Pani Kozłowska, po co pani krzyczy? – wtrąciłem się. – Ja też już idę do domu, to ją zaprowadzę...

– No dobrze, weź smarkatą i odprowadź do samego mieszkania. Już tam ją ojciec przywita! A ja się tu trochę popatrzę, jak tańczą...

Ale po chwili krzyknęła za nami na cały głos, aż się ludzie zaczęli śmiać:

– Jurek! Tylko żebym was potem obydwój, nie musiała po parku szukać!

– Twoja matka to ma pomysły! – powiedziałem wściekły, kiedy dobrnęliśmy jakoś przez tłum do alejki. – Żałuję, że się wtrącałem...

– A ja nie...

– Co ty nie?

– Ja nie żałuję, że się wtrąciłem! Widziałeś, jak się ludzie na nas patrzyli?

Może byłbym ją rąbnął w tym momencie, w końcu miałem prawo, bo to siostra bliskiego kolegi i Czarny też by ją złał na moim miejscu; może – ale nie zdążyłem. Nagle spostrzegłem Elżbietę. Stała z Małeckimi i Zbyszkim tuż koło orkiestry, obok jeszcze było parę osób, całe towarzystwo. Nie wiem, czy nas widziała. Ale przecież zupełnie mnie to nie obchodziło.

Wyszliśmy z parku.

– Uciekaj do domu! – powiedziałem do Irki. – Albo rób, co chcesz... – i odszedłem powoli.

Nie od razu jednak wróciłem do mieszkania. Zajrzałem na strych, do gołębi, byłem ciekaw, czy rudy już się znalazł, ale nie było łobuza. Za to rasowe siedziały w komplecie, więc zmieniłem im wodę.

Bardzo tu lubiłem przychodzić. Zawsze kiedy jakoś nie miałem humoru, przychodziłem na strych i siedziałem razem z gołębiami. Jeśli ktoś nigdy nie hodował gołębi, to tego nie zrozumie. Czemu jednak teraz przyszedłem? Czułem, że muszę posiedzieć trochę sam, ale to zupełnie sam. Żeby nikt do mnie nic nie mówił, żebym nie musiał odpowiadać na pytania. A przecież nie miałem chyba żadnego zmartwienia...

Późno już było, a ja wciąż siedziałem. Z klatki schodowej przebijała na strych smuga światła. Patrzałem na gołębie, a one na mnie, przekrzywiając dziwnie łebki, jakby się nad czymś zastanawiały albo dziwiły. Przyjemnie tu było, na tym naszym strychu, i po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że chyba wiem, dlaczego ojciec tak często tu przychodzi i przesiaduje całymi godzinami.

3

Dopiero parę dni, jak mama wyjechała, a w mieszkaniu bez niej jakoś dziwnie. Jakby ciszej czy bardziej pusto... A może tylko inaczej, po prostu inaczej?

Ojciec zmywał w kuchni naczynia, cała podłoga była zachlapana od tego zmywania.

Kiedy patrzyłem tak na niego od okna, przez cały pokój i kuchnię, wydał mi się jakby niższy niż zwykle. Może dlatego, że był pochylony? A może to ja znowu urosłem?

Dawniej, zawsze w ostatnim dniu roku szkolnego, a potem również po wakacjach, przymierzałem się do naszej półki na książki i znaczyłem, o ile urosłem. Od roku już tego nie mogę robić, półka okazała się za niska. Nie zmartwiło mnie to. Ale kiedy patrzyłem teraz na ojca i pomyślałem, że któregoś dnia i on okaże się niższy ode mnie, nie cieszyła mnie ta myśl. To przecież zupełnie głupstwo i aż złościło mnie, że takie bzdury mogą mi przychodzić do głowy.

Na stole leżało nasze radio, rozebrane w drobny mak. Ojciec miał teraz urlop, reperował więc od rana do wieczora, co mu w ręce wpadło. Sąsiedzi zawsze mieli z nim dobrze.

Znosili jakieś przedziwne graty, a ojciec męczył się nad tym zupełnie za darmo. Mama tego nie mogła zrozumieć, ja też. Kiedyś powiedziałem ojcu z wyrzutem, że gdybym ja umiał to, co on, już dawno bym sobie na skuter zarobił. Na samej reperacji telewizorów można u nas zrobić majątek. Ojciec popatrzył wtedy na mnie z tym swoim ironicznym uśmieszkiem, który zawsze tak mamę złościł, i powiedział: „Więc naucz się tego i zrób majątek. A mnie nie zawracaj głowy. Mnie skuter niepotrzebny! Reperuję te gruchoty dla własnej przyjemności...” Nie zawsze można było ojca zrozumieć, czasem złościło mnie to, ale na krótko. Bo tak naprawdę to cieszyłem się, że jest taki.

I teraz nagle ta myśl: czy ojciec jest już stary? Może to źle, że ja tak szybko rosnę. Bo wtedy on jest coraz starszy...

– Znowu zacząłeś męczyć to radio. A przecież ono zupełnie dobrze grało, nie?

– Potencjometr nawala...

– O, to ciekawe! – roześmiałem się. – Przecież w zeszłym tygodniu naprawiałeś właśnie potencjometr. A może mi się zdawało?

Teraz i ojciec uśmiechnął się lekko, ale nic nie powiedział. Pyskał wodą na wszystkie strony, już i ściana nad zlewem była mokra, nie tylko podłoga.

– Poczekaj, pomogę ci zmywać... – zdecydowałem się w końcu.

Ojciec odwrócił się i popatrzył na mnie.

– Pomożesz? Dziękuję. Nie musisz mi pomagać. Zmyj po prostu swoje! – i wskazał ręką na okno.

Na parapecie leżał cały stos brudnych talerzyków i szklanek z ostatnich dni. Nalałem wody do miednicy i zabrałem się do zmywania.

Nie wiem, co mi do głowy strzeliło. Ni w pięć, ni w dziewięć spytałem nagle:

– Słuchaj, czy można się ożenić z własną kuzynką?

– Z kim? Z kuzynką? – ojciec był wyraźnie rozbawiony. – Nie wiem, nie próbowałem.

Zależy, jaka to kuzynka! A co, zamierzasz się żenić? Chociaż, o ile sobie przypominam, to ty nigdy nie miałeś żadnej kuzynki...

– Nie chodzi o mnie... – mruknąłem, zły na siebie, że mówię głupstwa. – I nie ma się z czego śmiać, tak tylko spytałem... Wiesz, wybieramy się do tej groty, na końcu parku, tej z wodospadem – zmieniłem szybko temat. – Zbyszek wydumał, że ona ma podziemne połączenie z zamkiem. Może znajdziemy jakieś skarby?

– Na pewno znajdziecie! – śmiał się ojciec. – Weź ze sobą walizkę. A swoją drogą, Jurek, jak będziesz się żenił, to uprzedź ze trzy dni wcześniej...

Nagle za oknem rozległ się przeraźliwy wrzask Lepiszewskiej. Ojciec odłożył ścierkę i wyrzwał na podwórko.

Odetchnąłem z ulgą. Co mnie podkusiło, żeby zadać takie pytanie? Zawsze zresztą miałem pecha do pytań. W czwartej klasie nauczyciel wyrzucił mnie w połowie lekcji przyrody i kazał przyjść z matką. Bo zapytałem go, czy muchy odlatują na zimę do ciepłych krajów...

– Co tam właściwie się dzieje? – wyrząłem, bo ojciec wciąż stał w oknie i zaśmiewał się na głos.

– Twój przyjaciel rozrabia ze swoim kundlem!

– To nie jest żaden kundel – ująłem się za psem Grubego. – To jest rasowy półowczarek alzacki...

– Półowczarek? A drugie pół?

– Drugie pół to nikt nie wie jakie, ale też na pewno rasowe. To bardzo mądry pies, tylko ma kota na punkcie kur...

Nie musiałem już teraz wyglądać, żeby wiedzieć, co się dzieje na podwórku. Zawsze było to samo, kiedy tylko Gruby przychodził z psem. Pies dostawał szału, Lepiszewska również, a jej kury fruwały aż na dachy komórek. Nigdy bym nie przypuszczał, że zwykła kura tak wysoko potrafi latać...

Wreszcie łomotnęło coś o drzwi i do mieszkania wpadł pies, a za nim Gruby z okrzykiem:

– Leżeć! Fiołek, leżeć! Ty pchlarzu nie myty! Ty... – Gruby na szczęście spostrzegł, że ojciec jest w domu, i urwał. A pies obleciał całe mieszkanie i powoli uspokoił się. Trochę mi głupio było, że Gruby zastał mnie przy myciu garów. Żeby więc odwrócić uwagę od siebie, powiedziałem:

– To był też pomysł, żeby wilczura nazwać Fiołkiem! „Fiołek”! Pies jak byk, a nie Fiołek. A poza tym to przecież suczka!

– A skąd ja mogłem wiedzieć, że to suczka? – bronił się Gruby. – Jak go dostałem od ciotki, to był jeszcze ślepy. Od razu się zesikał. A matka wchodzi, pociągnęła nosem i mówi: „Fiołkami to tu nie pachnie!” I tak zostało: Fiołek... Leżeć spokojnie, głupku! – zdenerwował się w końcu Gruby, bo pies ze szczęścia walił ogonem o podłogę, aż strzelało.

– No, to jak? Idziesz czy nie? Mam nareszcie tę linę...

– Po skarby, co? – spytał poważnie ojciec. – A worek?

Grubego nietrudno było nabrać. Teraz też się złapał.

– Worek weźmie Zbyszek, latarkę też... – odpowiedział.

Ojciec uśmiechnął się nieznacznie.

– Musisz trochę poczekać, aż Jurek wytrze te wszystkie szklanki i talerze. Jak chcesz, to możemy zagrać przez ten czas w szachy!

Wcale mi nie odpowiadał taki podział pracy, ale co mogłem poradzić. Wycierałem, nawet dość dokładnie. A Fiołek wywalił ozór i gapił się na mnie, jakby było na co. Przez chwilę było cicho, ale niedługo.

– Nie rób teraz roszady, bo to ci nic nie daje – mówił ojciec do Grubego. – Hetmana asekuruj. Uczepiłeś się tych koni, jakbyś już nie miał innych figur...

„Rozstawia go po kątach!” – pomyślałem, podszedłem do drzwi i rzuciłem okiem na szachownicę.

– Gruby, nie słuchaj! Pchnij konia do przodu i szachuj gońcem. Ale nie tego konia ruszaj, ofermo, tylko drugiego...

– Skołowałeś mnie! – jęknął Gruby. – Gdzie ja tu mogę szachować?

Przesunąłem mu więc gońca i po dwóch ruchach ojciec stracił wieżę. Ale po trzech następnych – Gruby dostał mata.

– To przez ciebie! – złościł się. – Na drugi raz się nie wtrącaj i w ogóle pośpiesz się!

– Ty, Jurek, nigdy nie nauczysz się grać w szachy – powiedział do mnie ojciec. – Bo ciebie ponosi. Po co wam było bić wieżę? Czy ty nie rozumiesz, że czasem trzeba oddać nawet parę figur, żeby wygrać partię? – i ojciec zabrał się do czytania jakiejś broszury. Wróciłem do talerzy. A Gruby niecierpliwiał się. Wyrzwał przez okno, przeszedł się po kuchni, a wreszcie zerknął w książkę ojca.

– „Schematy odbiorników tranzystorowych”... Czy to można czytać? – zdziwił się. –

Tak dla przyjemności?

– Jak widzisz, można...

– Wie pan, zdałem do technikum mechanicznego – zagadywał Gruby. – Idę od września. Jak pan myśli, warto? Matka chciała, żebym tam poszedł, bo mnie to wszystko jedno...

– Jak to „wszystko jedno”? – ojciec spojrział na niego jakoś dziwnie. – A co ty jesteś, indyk?

– Dlaczego właśnie indyk? – roześmiałem się.

– Bo tylko indykowi może być „wszystko jedno”, i tak mu głowę utną...

Skończyłem już robotę i mrugnąłem na Grubego, żeby nie wdawał się w dyskusję.

Późno już było i Zbyszek przecież czekał. A z ojcem jak się raz zacznie, ale tak na poważnie, to nie ustąpi, dopóki nie powie wszystkiego. Wiele razy słyszałem różne jego rozmowy. Najczęściej z Cholewą, bo ten ciągle do nas przychodził.

Matka mówiła wtedy: „Nie wchodź do pokoju, bo ojciec znów magluje Cholewę. Że też ci ludzie jeszcze chcą z ojcem rozmawiać, po tym wszystkim, co im mówi!” Ja też się dziwiłem, ale jednak chcieli z nim rozmawiać. Cholewa kiedyś mi powiedział: „Twój ojciec to ma łeb! Tylko że ostry jest strasznie, ludziom się narazi”. Co mu miałem odpowiedzieć?

„Nie zginiemy, panie Cholewa! – powiedziałem. – Nie zginiemy!”

Ojciec patrzył ciągle na Grubego i pytał:

– No więc, jak to jest z tym „wszystko jedno”, co? Kto ma za ciebie wiedzieć, czego chcesz?

Ale Gruby stracił ochotę do dalszej rozmowy.

– Żartowałem... – mruknął. – Może i warto iść do tego technikum. Zobaczy się w praniu...

Wtedy właśnie usłyszeliśmy z ulicy nasz sygnał.

– To Zbyszek. No, chodź! Dmuchamy! – ożywił się Gruby. – Do widzenia panu!

Zbiegliśmy na dół. Ale na ganku Gruby zatrzymał się tak nagle, że wpadłem na niego całym rozpędem, a pies na mnie. Gruby syknął z bólu i ze złością potarł ramię.

– Ty, spójrz! – wycedził przez zęby. – Zobacz, z kim ten bałwan przyszedł!

Dopiero teraz zauważyłem, że Zbyszek siedzi na rowerze, trzymając się jedną ręką płotu. Obok stała Elżbieta. To był jej rower, ten sam, którym wtedy na mnie najechała.

– No, co z wami? – spytał Zbyszek. – Zamurowało was? Przywiozłem ją, bo od dwóch dni nudzi, że ma do Jurka interes. Chociaż pojęcia nie mam, skąd ona może cię znać? Przywitaliśmy się z nimi, co było robić? Tylko pies trochę warczał, bo on w ogóle nie lubi obcych.

– Do mnie interes? – zdziwiłem się. – Niby jaki?

Ale Elżbieta zrobiła taką minę, jakby wszystko było oczywiste, jakbym ja tylko udawał, że nie wiem, o co chodzi.

– No, jak to? Przecież umówiliśmy się, że przywiozę ci nasiona rzodkiewki. Nie pamiętasz? Mogę ci pomóc zasiać!

Zupełnie zbaraniałem.

– Spółdzielnia produkcyjna uprawy rzodkiewek! – parsknął Gruby. – Wiecie, że ktoś tu chyba nie jest zupełnie normalny! – i spojrział na mnie. Widać było, że jest wściekły. –

A gdzie my mieliśmy iść, Problem, co? Wypchajcie się tą rzodkiewką, ja się idę kąpać.

Cześć, rolnicy! – Gruby gwizdnął na psa i poszedł przed siebie.

Spojrzałem na Elżbietę z taką złością, że powinna natychmiast się obrazić i zniknąć z pola widzenia. Ale nie zniknęła. „Czekaj, ja ci pokażę...” – pomyślałem sobie. Zanim mi jednak przyszło do głowy, co mam powiedzieć, Zbyszek zeskoczył z roweru, popatrzył na nas przez chwilę, skrzywił się i wreszcie zdecydował:

– Wiecie co? Już jest prawie południe. On ma rację, ja też chyba pójde się kąpać.

Okropnie gorąco zaczyna się robić. A jak skończycie z tą rzodkiewką, to przyjedźcie do nas, nad staw. Dobra? – i nie czekając na odpowiedź pobiegł za Grubym.

Zostaliśmy sami. Teraz już zupełnie nie wiedziałem, co mam zrobić. Biec za tamtymi? Stać tu pod domem z tą dziewczyną? Na domiar złego w oknie na piętrze pojawiła się Lepiszewska i wpatrywała w nas jak w ekran. Tak mi się przynajmniej zdawało. Zerknąłem okiem w nasze okna. Ale wszystko było w porządku, ojciec pewno zajął się radiem.

– No, nie bądź śmieszny – odezwała się Elżbieta. – Przecież i tak musisz zasiać tę rzodkiewkę. Straciłeś ją wtedy przeze mnie, więc odkupiłam ci dwie paczki nasion. Raz–dwa zasiejemy. A gołąb się znalazł? Siadaj na rower, weźmiesz mnie na bagażnik...

– Jeszcze tylko tego brakuje, żebym cię woził na bagażniku! A może na ramie, co? – mruknąłem ze złością.

– A niby czemu nie? – zdziwiła się. – Zbyszek mnie wiózł przez całe miasto.

– Zbyszek może cię wozić nawet na głowie, bo to twój kuzyn! – wyrwało mi się, zupełnie niepotrzebnie. – A zresztą nic mnie nie obchodzi, co Zbyszek robi!

– No wiesz, teraz to już zaczynasz się wygłupiać! – powiedziała Elżbieta. – Myślałam, że mądrzejszy jesteś. Ale wcale nie mam zamiaru kłócić się z tobą. Jedziesz?

Poszedłem do komórki po swój rower, wyprowadziłem go i zacząłem pompować przednie koło. Specjalnie robiłem to bardzo długo. „Niech czeka! – myślałem sobie. – Ale mnie urządziła z tą rzodkiewką!” Elżbieta czekała jednak spokojnie, jakby nigdy nic. I wreszcie musiałem przecieżyć to koło skończyć pompować.

Pojechaliśmy w stronę ogródków. Za mostem narzuciłem szybkie tempo, ale ona wcale nie zostawała w tyle. Dopiero kiedy byliśmy koło furtki, zorientowałem się, że nie mam kluczyka od kłódki.

– To nic, możemy przecieżyć przejść przez płot! – zaproponowała Elżbieta. Oparła nogę na wyszczerbionej desce i lekko przeskoczyła. A ja, jak na złość, zahaczyłem skarpetką o drut kolczasty i przez dłuższą chwilę nie mogłem nieszczęsnej skarpetki odczepić. Spojrzałem na Elżbietę. Uśmiechnęła się i spytała:

– Gniewasz się jeszcze?

Wciąż stojąc na płocie, westchnąłem ciężko:

– Przez miesiąc będą się ze mnie śmiać!

– Zbyszek i ten drugi?! No to co, że będą? Nie przejmuj się!

Zeskoczyłem wreszcie, tuż koło niej. – Cofnęła się lekko, staliśmy teraz blisko siebie.

Powiedziała nieco ciszej:

– Akurat jest się z czego śmiać.

Odwróciła się szybko i rozejrzała po ogródku.

– Ojej! Ale tu porzeczek! Można? – i podskoczyła w stronę najbliższych krzewów.

Nasz ogród należał dawniej do dziadka, który wzdłuż i wszerz obsadził go białymi, czerwonymi i czarnymi porzeczkami. W ciągu paru lat bardzo się rozrosły i teraz można było chodzić między nimi jak w zagajniku – sięgały mi prawie do brody.

Ojciec kiedyś opowiadał, że dziadek zawsze był bardzo dumny ze swoich porzeczek.

I wmówił sobie staruszek, że potrafi robić świetne wino porzeczkowe. Nigdy jednak nie udało się nikomu sprawdzić, czy to wino rzeczywiście jest dobre, bo dziadek parę razy dziennie próbował, czy wino „dochodzi do siebie”, i potem dolewał wody. A kiedy już w gąsiorach była prawie sama woda, babka wylewała ją ze straszną awanturą, a dziadek odgrażał się, że w tym roku to nic, ale w przyszłym to on dopiero pokaże wszystkim, jakie wino umie robić! I to samo powtarzało się rok w rok.

Elżbieta zginęła mi z oczu, widocznie przykucnęła przy porzeczkach. Pokręciłem się trochę po ogrodzie, stwierdziłem z żalem, że po truskawkach nie ma już ani śladu, i zabrałem się do jedzenia wielkiej kalarepy. Kto nie widział górniczych ogródków, jakich pełno koło

każdej kopalni, ten nigdy nie uwierzy, ile różnych rzeczy może rosnąć na takim małym skraw-

ku ziemi! A nasz Ogródek wcale nie należał do gorszych.

W altanie było znacznie chłodniej. Liście dzikiego wina, którym była obrośnięta, przygrzewane przez ostre słońce, wydawały dziwny zapach. Mieszał się on z zapachem mocno smołowanej papy, którą ojciec obił dach.

Tak pachną tylko stare altany, w starych ogródkach, w bardzo upalny dzień.

Przyjemnie tutaj... – powiedziała Elżbieta.

Siedzieliśmy na wprost siebie i czułem się trochę głupio, nie wiedziałem, o czym by można rozmawiać.

– Owszem, przyjemnie... – zgodziłem się chętnie, żeby tylko coś powiedzieć. I znowu przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Wiesz, okazuje się, że jednak więcej tych porzeczek jest na krzakach, niż ja mogę zjeść. W Warszawie to ja widzę porzeczek tylko na straganie. I nigdy bym nie uwierzyła, że człowiek może już nie mieć ochoty na owoce... Ale po tych twoich porzeczkach to chyba uwierzę...

Roześmiałem się.

– Przy tych porzeczkach nawet Gruby się poddał! A on ma nielichy apetyt. Pół dnia tu kiedyś przesiedział. Ale od tamtego czasu omija nasz ogródek.

– Ten Gruby to twój dobry kolega? A Zbyszek? – pytała Elżbieta. – Chłopcom to dobrze, zawsze mają dobrych kolegów. A ja właściwie nie mafii żadnej prawdziwej przyjaciółki. Z dziewczynkami trudno się dogadać...

Kiwnąłem głową. Oczywiście, z dziewczynami w ogóle nie można się dogadać, zawsze tak uważałem. Ale że ona też tak myśli?

– Widzę, że nareszcie przestałeś się gniewać. Nie rozumiem, o co ci właściwie chodziło, ale wszystko jedno – to już nieważne. Prawda?

– Pewno, że nieważne... – zgodziłem się. – A zresztą w ogóle się nie gniewałem, zdawało ci się.

Może... – uśmiechnęła się. – Mnie się często coś zdaje... W niedzielę wieczorem zdawało mi się na przykład, że widziałam cię; w parku / . jakąś dziewczyną...

Aż podskoczyłem. Nie cierpię, jak ktoś mówi bzdury.

– Z kim? Z dziewczyną? To była siostra Zenka, Czarnego... Sąsiadka, a nie dziewczyna!

I nagle przyszło mi do głowy, że właściwie co ją to obchodzi. Z jakiej racji mam się tłumaczyć? Czułem, że się rumienię. Ale ze złości.

– Nie masz się co rzucać, Jurek! Tak sobie tylko powiedziałam, co to straszego...

Nigdy nie byłeś z dziewczyną w parku albo w kinie?

Skłamać? A po co? Niech mi w ogóle da spokój z głupimi pytaniami...

– Nie byłem... Bo co?

Pokręciła głową.

– Nie wierzę... My często chodzimy całą paczką do kina...

– My – to znaczy kto?

– No my, z naszej szkoły... Albo z klubu...

– Należysz do jakiegoś klubu? – ucieszyłem się, że nareszcie jakiś normalny temat. – Do sportowego?

– Zapisalam się w zimie do sekcji płetwonurków...

– Niemożliwe, zmyślasz! Do płetwonurków przyjmują od szesnastu lat, dobrze wiem.

– Słuchaj, Jurek! – powiedziała poważnie. – Jeśli chcesz, to zapamiętaj sobie: ja nigdy nie kłamię! Rozumiesz? Przyjęli mnie, bo dobrze pływam... Zresztą, moja mama należała kiedyś do tego klubu, była w reprezentacji Polski w siatkówce. Możesz spytać Zbyszka. Ale jak spytasz, to znaczy, że mi nie wierzysz. Jasne?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Dziwna dziewczyna, niepodobna do żadnej z naszej klasy. Pierwszy raz taką widzę...

– Chcesz kalarepę? – spytałem. I nie czekając na odpowiedź, wyszedłem z altany. Dość długo nie wracałem. Umyłem obie kalarepy, a potem wsadziłem pod kran całą głowę. Zrobiło się przyjemnie chłodno, woda lała się za koszulę... Zazdrościłem trochę chłopcom, że kąpią się teraz. Ale nie żałowałem, że nie jestem tam z nimi, tylko tutaj, w nagrzanym przez słońce ogródku...

– Proszę! – usłyszałem nagle. Elżbieta stała tuż za mną, w wyciągniętej ręce trzymała grzebień.

– Pamiętasz? Przy tamtej studni za kinem powiedziałeś: „Pożycz wreszcie tego grzebienia! Ile można się czesać?” – roześmiała się. – Coś bym ci teraz... albo nie, nic nie powiem!

I nagle zmieniła temat, odwróciła głowę i zaczęła nasłuchiwać.

– Słuchaj! Co to tak trzaską?

– Te ogródki są na tyłach kopalni. To płuczkę słychać... – i widząc, że nie zrozumiała:

– No, płuczkę, czyli sortownię węgla!

Wróciliśmy powoli do altany i zabrali się do jedzenia. Po chwili powiedziałem:

– Też miałeś pomysł, żeby na wakacje przyjeżdżać właśnie tutaj, do Zagłębia. Wszyscy stąd wyjeżdżają, a ty na odwrót, przyjeżdżasz pod kopalnię...

– Wolałbyś, żeby mnie tu nie było, co? A z kim byś się wtedy kłócił? – roześmiała się.

– Z tamtą sąsiadką? Czy z tą drugą, starą, co ciągle wygląda przez okno?

Nagle spoważniała.

– To nie był zwykły wyjazd na wakacje... Wysłali mnie do ciotki, bo u nas w domu miało się w lipcu urodzić dziecko...

– Jak to: dziecko?

– Zwyczajnie. Moja mama miała urodzić dziecko i dlatego wysłali mnie z domu...

Pomyślałem chwilę i wreszcie wzruszyłem ramionami. – To bez sensu. Przecież w domu bardziej byś się przydała, nie?

– Pewno, że tak. Bardzo chciałam zostać, ale mama się uparła... Pokłóciłyśmy się, mam do niej żal... Ale co tam, nie warto mówić! Ciągłe się z mamą o coś kłóć...

Elżbieta wyszła przed altanę. Stała tak chwilę, rozglądając się po ogródku... i nagle zawołała mnie ściszym głosem:

– Popatrz, tam za płotem skrada się Zbyszek i ten drugi! Chodź, schowamy się w porzeczkach!

Wyraźnie było widać, jak Zbyszek czołgał się koło płotu. Ale on na pewno święcie był przekonany, że nikt go nie widzi.

– Indianin, co? Sokole Oko, wódz chytrych Apaczów... – szepnąłem.

Parsknęła śmiechem, aż zakryłem jej usta dłonią. Ale szybko cofnąłem rękę...

– Cicho...

Grubemu jednak widocznie znudziło się skradanie, bo stanął koło naszych rowerów, przechylił się przez płot i zawołał:

– Hej, robotnicy rolni! Jak tam z rzodkiewką?

Teraz i Zbyszek podniósł się i głośno powiedział:

– Zostaw, Gruby. Nie przeszkadzaj im. Oni pewno słuchają, jak rzodkiewka rośnie!

– Głupi dowcip! – mruknęła Elżbieta i spochmurniała jakoś. – Nie odpowiadaj temu smarkaczowi...

Spojrzałem na nią. Smarkaczowi? Przecież Zbyszek jest w tym samym wieku, co my.

Nic jednak nie powiedziałem.

Za płotem toczyła się jakaś narada, ale nie docierało do nas ani słowo. Wreszcie Gruby krzyknął głośno:

– Decyzja zapadła: rekwirujemy wasze rowery. Cześć!

– Oni chyba w ogóle nie zauważą, że rowery zniknęły! – dodał złośliwie Zbyszek. Wsiedli na nasze rowery, pies zaczął ujadać jak opętany i po chwili wszyscy zniknęli w alejce.

Przestaliśmy się chować za porzeczkami.

– Ale dowcipny! Zobaczysz, jak ja go naleję w domu! Albo poskarżę ciotce... – mówiła Elżbieta.

„No, teraz to dopiero przyczepią się do mnie! – pomyślałem. – Na długo będą mieli okazję do śmiechu. Zwłaszcza Zbyszek”. Wcale się tym jednak nie przejmowałem. Mówiąc szczerze, to nawet trochę dziwiło mnie, że jestem w takim dobrym humorze. Ale o co niby miałbym być zły? I na kogo? Przecież Elżbieta ma rację: no to co, że będą się śmiać? Akurat jest z czego!

– Nic się nie stało, niech się przejadą... – powiedziałem..

Na kopalni odezwała się przeciągle syrena, po chwili druga i gdzieś z oddali trzecia, czwarta... Zwykły zagłębiowski koncert.

– Która to godzina? Dwunasta?

– Buczą na drugą zmianę. Trzeba się zbierać na obiad... To już druga! .

– Druga godzina? – zdziwiła się Elżbieta. – Ale zleciało! U ciotki obiad jest o trzeciej, mam jeszcze trochę czasu. Weźmy się szybko do tej rzodkiewki!

Nie bardzo właściwie miałem ochotę, ale zgodziłem się. Wziąłem z altany kawałek ki-ja i rozerwałem torebki z nasionami.

– Zaczynamy? Mama chciała, żeby zasiać w czterech rzędach!

– Jak szanowny pan rozkaże! Może być w czterech rzędach. Już się robi...

Uśmiechnąłem się. Wesoła dziewczyna z tej Elżbiety. Gdzie tam do niej takiemu Zbyszkowi na przykład. Z jego głupimi dowcipami. Filozof! Może ona i ma rację, że ten Zbyszek jest trochę smarkaty? Tylko dlaczego dotychczas nigdy jakoś tego nie zauważyłem. A przecież przez siedem lat siedzieliśmy w klasie jeden za drugim, więc prawie w jednej ławce. Jak to jest, że można kogoś tyle lat dobrze znać, a potem, nagle, zauważa się w nim coś zupełnie nowego?

Zrobiłem kijem cztery długie rowki, wzdłuż całej grządki, i wzięliśmy się do roboty. Ani przez moment nie pomyślałem, że mama – owszem – kazała w czterech rzędach, ale mamie chodziło o kwiaty, o maciejkę, a my sialiśmy rzodkiewkę.

5

Było to niedaleko domu i śpieszyłem się właśnie nad staw. Kiedy więc listonosz dał mi polecony – pokwitowałem odbiór i stwierdziwszy, że list jest od mamy, schowałem go do kieszeni. Nie otwierałem koperty, była adresowana do ojca.

Elżbieta czekała na moście, tak jak umówiliśmy się. Przechylona przez poręcz wpatrywała się w leniwie płynącą brudną wodę Brynicy. Od strony kopalni, niewidocznej za drzewami, ciągnęły powoli, jeden za drugim, chłopskie wozy z węglem, prawie nieprzerwanym sznurem. Konie szły pewnie, dobrze znały drogę. Chłopi zbijali się w małe grupki na chodniku, coraz to któryś podbiegał i doganiał swój wóz, a inny znów zeskakiwał – i przyłączał do znajomych. Niektórzy jedli po drodze: jakiś chleb, odwinięty z papieru kawałek kaszanki... Ktoś tam podszedł do swojego wozu, wyjął piwo, wypili z sąsiadem po łyku – i z powrotem schował butelkę.

Był to jeden z tych dwóch dni w tygodniu, kiedy na naszej kopalni wydawano przydziały węglowe dla okolicznych wsi i dla własnych pracowników. Zawsze lubiłem te dni, długo mogłem patrzeć na ciągnące wozy. Wyobrażałem sobie, że tak właśnie wyglądają karawany na pustyniach: nie widać końca ani początku, nikt się niepotrzebnie nie śpieszy,

nikt nikogo nie wymija... Od czasu do czasu słyhać tylko okrzyki, którymi ludzie nie tyle nawet poganiają zwierzęta, co dają im odczuć, że są, że czuwają...

– Nareszcie jesteś! – powiedziała Elżbieta. – Ale tego węgla, co? Od samego patrzenia można się pobrudzić... Byłeś kiedy w kopalni, pod ziemią?

Uśmiechałem się: też pytanie! I pomyślałem wtedy, że ona może czuje się tu u nas trochę jak w innym kraju, że patrzy na to samo, co ja, ale co innego widzi... Nie wiem, czy tak było naprawdę, chciałem zapytać, ale wydało mi się to zbyt trudne.

– Wzięłaś koc? Po co? Tam jest przecież piasek... – dziwiłem się, nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby koc zabierać nad staw. Kiedy jest się nad morzem, to co innego, ale u nas? Wyśmialiby mnie wszyscy, gdybym to zrobił...

– Zabrałam też coś do jedzenia, kanapki... Ciotka zrobiła.

Kapaliśmy się od strony parku. Brzeg był tutaj najbardziej piaszczysty, na kilkumetrowej skarpie bawiły się w piasku całe tłumy małych dzieci. Panował taki wrzask, że prawie w ogóle nie można było rozmawiać. Zaproponowałem więc, żeby zostawić tu ubrania i przepłynąć na angielski brzeg.

Płynęliśmy powoli, blisko siebie. Woda była ciepła i zupełnie gładka, odbijała słońce jak nagrzana blacha, aż raziło w oczy. Myślałem o tym, że na wsi, u wujka, nie miałbym takich wakacji. A przecież jeszcze niedawno zły byłem na siebie, że wróciłem. Nie wiem, o czym myślała Elżbieta. Pozwoliłem jej się wyprzedzić, płynąłem trochę z boku. Patrzyłem, jak równo rozdziela rękami wodę i sunie przez nią cicho, prawie na samej powierzchni, lekko unosząc głowę, żeby nie za bardzo zmoczyć spięte do góry włosy. Błyszczały teraz w słońcu jeszcze bardziej niż zwykle...

– Dlaczego ty mówisz „angielski brzeg”? – pytała Elżbieta, kiedy wyszliśmy z wody i wracali skarpą. – A Zbyszek znowu chodzi na ryby na „włoski brzeg”. Całą Europę tu macie nad tym jednym stawem?

– To są takie nazwy jeszcze od czasów wojny, ale przyjęły się i wszyscy tak mówią...

– tłumaczyłem. – Podczas okupacji w naszej kopalni pracowali jeńcy angielscy, a potem i włoscy żołnierze, kiedy zbuntowali się przeciwko Niemcom. I jednych, i drugich strażnicy przyprowadzali tu z obozu do kąpieli. O tutaj, gdzie ten wysoki brzeg – kąpali się Anglicy. Ojciec mówił, że nikomu nie wolno się było wtedy do nich zbliżać. Na brzegu stał strażnik z karabinem. Włosi mieli dużo gorsze miejsce, o tam – widzisz? Woda wylewa tam na łąkę i zawsze jest pełno żab...

Szliśmy teraz samym brzegiem wody mijając wielu opalających się. Widziałem, że starsi chłopcy oglądają się za Elżbietą, czasem któryś zagadał do niej. Uśmiechała się wtedy i złościło mnie to. Dobrnęliśmy wreszcie do naszych ubrań, zawiniętych w koc. Biegały po nich dzieciaki, obsypując się piaskiem, pryskając wodą.

– Ubierzmy się! – powiedziałem. – Bo tu już zupełnie nie można z tymi dziećmi wytrzymać, o mało nie wchodzi na głowę...

Przytrzymując się wystających z piasku korzeni pierwszych parkowych drzew, wspięliśmy się na skarpę i weszli do starego parku. Było tu prawie zupełnie cicho. Zapuszczony, z od dawna nie ścinaną trawą i zarastającymi alejkami, zawsze bardziej mi się podobał niż tamten nowy park, w którym w niedzielę grywała orkiestra. Usiedliśmy na ławce. Słońce ostro przygrzewało i można się tu było opalać tak samo dobrze, jak nad wodą. Patrzałem na chwiejące się lekko czubki drzew, które raz zakrywały słońce, to znów gwałtownie odchyłały się od niego, jakby sparzone... siedzieliśmy niedaleko kortów tenisowych i uderzenia piłek dochodziły aż do nas.

– Wiesz, Jurek, chciałabym kiedyś pojechać do Włoch – mówiła Elżbieta. – Albo w ogóle przeprowadzić się tam. A ty?

Zaskoczyła mnie tym pytaniem. Zupełnie jakoś nie mogłem sobie wyobrazić, jak jest we Włoszech. – Bo ja wiem? – zastanawiałem się głośno. – Tak na stałe do Włoch tobym nie

chciał... Co ja bym tam robił?

– Właśnie! Zwłaszcza że nie umiesz po włosku... – usłyszeliśmy nagle. – Dzień dobry państwu!

Zrobiło mi się zimno, nie wiem dlaczego, ale właśnie zimno. Tuż za nami stał ojciec.

Widocznie nadszedł od strony ogródków i dlatego nie dojrzeliliśmy go wcześniej.

– Dzień dobry! – powtórzył. – Właśnie was szukałem...

Zerwałem się z ławki. Czułem się tak, jak wtedy, chyba w szóstej klasie, kiedy na klasówce matematyk zauważył, że ściągam od Grubego, i bez słowa wyrzucił mnie za drzwi, po prostu wskazał je ręką, a ja wstałem i wyszedłem. A może nawet teraz było mi jeszcze bardziej głupio. Dlaczego? Nie potrafiłbym powiedzieć dlaczego. Musiałem mieć bardzo niemądrą minę, bo ojciec uśmiechnął się, obszedł ławkę i stanął koło mnie.

– Spotkałem listonosza, który mówił, że oddał ci list od matki. A od Zbyszka wiem, że poszłście nad staw albo do ogródka. No i zacząłem cię szukać...

Teraz Elżbieta również wstała z ławki. Ona też była wyraźnie speszona. A mnie zaczęła kołatać po głowie nagła, natarczywa myśl: „Żeby tylko nie zaczął się wyśmiewać, żeby nie powiedział czegoś takiego...” Bez słowa wyjąłem list z kieszeni. Ale ojciec przywitał się najpierw z Elżbietą, potem zapalił papierosa i dopiero wziął kopertę.

– Widzę, że nie jesteście, drodzy państwo, zbyt rozmowni. To tak, jak w tym dowcipie: „Na jaki temat pan milczy? Na ten sam, co pani!”

Elżbieta uśmiechnęła się, a ja zacząłem powoli przychodzić do siebie.

– Jak wrócisz do Warszawy, pozdrów ode mnie rodziców – powiedział jeszcze ojciec do Elżbiety, podał jej rękę i nie patrząc wcale na mnie odszedł powoli w stronę kortów. Po paru krokach jednak odwrócił się w naszą stronę i krzyknął:

– Jurek! Na kolację idź dzisiaj do babci. Do widzenia!

Dopiero teraz, jakby na komendę, obydwójce usiedliśmy znowu na ławce. Nie mogłem się powstrzymać i odetchnąłem z ulgą tak głośno, że aż mnie samego to rozśmieszyło.

– Nawet nie wiedziałem, że ojciec jest taki równy! – powiedziałem raczej do siebie niż do niej i poczułem się nagle bardzo dumny z ojca, jakby dokonał nie wiadomo jakiego czynu.

– Ale skąd twój ojciec zna moich rodziców? – zastanawiała się Elżbieta. – I w ogóle skąd wie, kto ja jestem?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam pojęcia, skąd zna, ale kto ty jesteś, to wie chyba od Zbyszka. Tak, tylko co ten bałwan mu naopowiadał?

Nie musiałem długo czekać na odpowiedź. Wychodząc z parku natknęliśmy się na obydwóch, Zbyszka i Grubego. Nie widziałem ich od przedwczoraj, to znaczy od tamtego dnia, kiedy zabrali sprzed ogródka nasze rowery, i nie bardzo wiedziałem, jak się zachować. Bo właściwie kto tu powinien być obrażony, oni czy my?

Gruby jakby się ucieszył z tego spotkania, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Zbyszek

popatrzył na nas wyniośle i odezwał się:

– Radzę zmienić miejsce pobytu, bo ojciec cię szuka. Godzinę temu pytał, czy wiem, gdzie jesteście...

Elżbieta zachnęła się:

– Gdzie jesteśmy, czy gdzie jest Jurek? Skąd ty mogłeś wiedzieć, że jesteśmy razem?

Ale Zbyszek nie zwracał na nią uwagi.

– I powiedziałem, że Jurek ma właśnie randkę z moją kuzynką...

Czułem, że ręce same mi się zaciskają i jeszcze jedno słowo, a wyróżnę go tak, że długo będzie pamiętał. Zrobiłem krok w jego stronę, ale w tym momencie Elżbieta pociągnęła mnie za rękaw.

– Chodź, Jurek. Nie warto...

A wtedy Zbyszek krzyknął do niej:

– Zamknij się! Z tobą nie gadam!

Podszedłem do niego bardzo blisko.

– Ty, filozof! A ze mną pogadasz?

Odwinąłem rękę, ale zanim zdążyłem uderzyć, Zbyszek pierwszy rzucił się na mnie.

Elżbieta krzyknęła coś, ale już nie słyszałem dokładnie. Rozdzielił nas Gruby, spokojnie, bez większego wysiłku. Potem stanął między nami i mruknął do Zbyszka:

– Odczep się, Problem, od niego i nie zaczynaj! No już, nie ma o czym gadać, wrywaj do przodu, idziemy! Cześć, Jurek! Uśmiechnął się do Elżbiety, popchnął Zbyszka przed sobą i odeszli.

– No, chociaż jeden mądry między wami! – powiedziała Elżbieta.

Kiedy żegnałem się z Elżbietą przed domem, wiedziałem już, że pójde teraz na strych, do moich gołębi. Wiedziałem już o tym wcześniej. Wtedy gdy przyszła mi do głowy dziwaczna myśl: wydało mi się, że Elżbietę znam już bardzo długo, że właściwie zawsze ją znałem, jak sięgnąć pamięcią. A równocześnie druga: że przecież mógłbym jej nigdy nie spotkać...

Usiadłem na jakiejś skrzynce i oparłem się wygodnie o ścianę.

Dobrze mi tu było, z moimi gołębiami. I nie wierzę, żeby gdziekolwiek na świecie mogło być miejsce bardziej spokojne od tego! A rudy, ten łobuz, rudy, kręcący łebkiem we wszystkie strony, jakby szukał kompanów do następnej ucieczki z gołębnika – wydał mi się najpiękniejszym gołębim, jakiego w ogóle widziałem. Zupełnie nieoczekiwanie dla siebie samego doszedłem do wniosku, że to właśnie jego najbardziej lubię ze wszystkich tych trzydziestu siedmiu gołębi, które mieliśmy z ojcem. I strasznie byłem zdziwiony, że nie spostrzegłem tego wcześniej.

6

U nas w Borzechowie odpust jest na świętą Annę, a właściwie w najbliższą niedzielę po tym dniu. Od małego zawsze z niecierpliwością wyczekiwaliśmy z chłopakami odpustu, w tym roku nawet nie zauważyłem, kiedy przyszedł.

Elżbieta zaśmiewała się na widok straganów z najróżniejszymi śmieciami, jak nazywała te wszystkie dziwne i śmieszne, nikomu niepotrzebne rzeczy, które przywożą odpustowi sprzedawcy.

– Wiesz, myślałam, że odpusty są już tylko na małych wsiach... Albo w takich miastach, do których przyjeżdżają zagraniczni turyści. W Łowiczu na przykład albo gdzieś na Podhalu... Pierwszy raz widzę taki prawdziwy odpust!

– A w Warszawie nie ma? – zdziwiłem się i zaraz pożałowałem tego pytania. Możliwe, że było głupie, ale niepotrzebnie tak na mnie spojrzała.

– W Warszawie? A czy ty byłeś kiedy w Warszawie? Choćby z wycieczką?

– Nie... Z wycieczką byliśmy w Krakowie. I w Poznaniu; na targach... Aha i jeszcze w Szczyrku – przypomniałem sobie.

– W Szczyrku? A co to jest takiego? Gdzie jest ten Szczyrk?

Rozzłościło mnie to pytanie, a właściwie nawet nie pytanie, tylko ten uśmiech. Popatrzyłem na nią przez chwilę, ale pomyślałem sobie, że może mi się tylko wydaje, w końcu uśmiecha się tak jak zawsze... Nie każdy musi wiedzieć, gdzie leży Szczyrk. Postanowiłem jednak nie odpowiadać: nie wie, to niech nie wie. Nie moja strata.

– Obraziłeś się? – spytała już bez uśmiechu. – No, Jurek, nie bądź śmieszny...

Sama poddała mi to słowo. Może nie wpadłbym na nie, może w ogóle inaczej je rozumiem. Śmieszny jest ten odpust, te stragany, śmieszne jest, że nie byłem w Warszawie...

I Szczyrk jest śmieszny. I ja też? A może również cały Borzechów? Więc i śmieszne jest to, że stoimy tu razem, pośród pisku odpustowych trąbek, wśród ludzi, którzy przelewają się

w jedną i drugą stronę i potrącają nas obwieszeni odpustowymi obwarzankami, rozbawieni... Nie, na pewno nie tak pomyślała. Więc czemu mnie to przyszło do głowy?

Nagle poczułem, że chwyta mnie za rękę. Spojrzałem na nią zdziwiony. Roześmiała się:

– No, co tak patrzysz? Po prostu nie chcę, żebyśmy pogubili się w tym tłumie...

Pociągnęła mnie za sobą. Zaczęliśmy się przeciskać w stronę małego placzyku, gdzie rozłożyły się, obok strzelnicy, najbardziej obłożone stoiska – najróżniejsze odpustowe loterie.

– Zagramy? – spytała Elżbieta.

– Nie... ja nigdy nie gram! Nie mam szczęścia... – powiedziałem i nagle parsknąłem śmiechem.

Przypomniałem sobie jak to kilka lat temu mama namówiła ojca, < żeby zagrać na takiej loterii. Kazali mi popchnąć drażek, koło z numerami obróciło się parę razy, piórko oznaczające celownik zafurkotało o gwoździe i wreszcie zatrzymało się na największym z nich.

„Jedna z głównych nagród! – orzekł właściciel. – Kawaler masz prawo wyboru”. Do wyboru były tylko trzy rzeczy: wino za szesnaście złotych, wazonik gliniany i głowa Kościuszki.

Zacząła się straszliwa kłótnia ze mną. Matka chciała wazonik, ojciec był za winem,

w końcu ustalili, że jest im wszystko jedno co, byle nie Kościuszko. A ja się uparłem.

Kościuszko był w trzech kolorach: twarz złota, usta i czapka – czerwone, a brwi i kołnierz

sukmany – czarne. Mama powiedziała, że nie pójdzie ze mną ulicą, jeśli wezmę Kościuszkę.

Ojciec to samo. Więc wracałem do domu sam, ale z Kościuszką pod pachą...

Zacząłem Elżbiecie opowiadać tę historię. Jedliśmy watę na patykach, jeszcze była ciepła, lepiała się do ust, do policzków...

– I co z tą głową? Stłukłeś?:

– Bohatera narodowego miałem potłuc? Żartujesz! To on mnie zupełnie złamał...

Równo rok mnie prześladował!

Rzeczywiście miałem z głową okropne przejścia. Nie pozwolili mi trzymać jej

w domu, więc Kościuszko powędrował do komórki. Mielśmy wtedy parę królików. Ni stąd,

ni zowąd jeden zdechł i ojciec twierdził, że to przez Kościuszkę. Wyniosłem więc głowę do

piwnicy, a w zimie ofiarowałem ją na szkolną loterię fantową. Pani nie chciała przyjąć, ale

samorząd szkolny orzekł, że mój Kościuszko nadaje się na fant. Pech jednak chciał, że wygrał go właśnie Zenek. Jemu też nie pozwolili trzymać głowy w domu i wróciła do mojej piwnicy.

Na następny odpust poszedłem bardzo wcześnie rano i odsprzedałem Kościuszkę temu

samemu właścicielowi loterii, od którego głowę przed rokiem wygrałem. Za dziesięć złotych.

Ale nie koniec na tym.

Tak się złożyło, że nasza drużyna harcerska wybierała w tym czasie swojego bohatera.

W momencie kiedy ktoś zaproponował Kościuszkę – zerwałem się i zacząłem przeciwko

niemu walczyć jak lew. Po najbliższej wywiadówce kierownik poprosił ojca do kancelarii

i zwrócił mu uwagę, że bardzo niewłaściwie zachowuję się, kiedy chodzi o poważne sprawy.

Cała afera zrobiła się z tego...

Elżbieta śmiała się tak głośno, że aż ludzie zatrzymywali się przy nas i trochę mi głupio było.

W końcu wykrztusiła:

– A jakie imię nosi wasza drużyna?

– Jakie? Ładne: Czternasta Zagłębiowska Drużyna Harcerzy imienia Tadeusza Kościuszki!

Kolor chust: żółty. Z tym, że ja już wtedy przestałem chodzić na zbiórki...

– Ale wam wesoło! – usłyszałem nagle.

Obok nas przechodziła Irka, zatrzymała się na chwilę, spojrzała na mnie, potem na

Elżbietę...

– Poznajcie się! – powiedziałem, nie wiadomo czemu.

– A po co? – Irka odkręciła się na pięcie i odeszła w stronę strzelnicy.

Dopiero teraz spostrzegłem, że nie jest sama. Była z nią jeszcze jakaś koleżanka i dwóch młodych żołnierzy.

– Nie przejmuj się! – mruknąłem do Elżbiety, ale i mnie samemu też było nieprzyjemnie. – Głupia smarkata! Niech no ją tylko matka spotka...

Ale Elżbieta ani myślała się tym przejmować. Śmiała się:

– No, widzisz. A mówiłeś, że to sąsiadka...

Nie rozumiałem.

– Bo sąsiadka!

– Oj, Jurek! Albo udajesz, albo nie znasz dziewczyn... Ile ona ma lat?

– Do szóstej chodziła... i co z tego? Przyjedzie Zenek, spierze ją raz, a dobrze, to się uspokoi... Szkoda, że nie znasz Zenka!

Zjedliśmy już watę, wyrzucili patyki, można było iść dalej. Przy strzelnicy Elżbieta stanęła.

– Popatrzymy trochę, dobrze?

Nie miałem ochoty, ale ona jakby specjalnie przystanęła tuż koło Irki i tamtych. Obaj żołnierze ładowali właśnie wiatrówki, z takimi minami, jakby za chwilę cały świat mieli zadziwić.

Strzelali do tarcz, trzy strzały za dziesięć. Nie bardzo im szło. W tarczę nietrudno trafić, ale w środek tarczy trochę trudniej. Załadowali jeszcze raz...

– Jurek, ty umiesz strzelać? – spytała Elżbieta.

– Tak sobie, trochę...

Skłamałem. Strzelanie to był cały wielki rozdział w moim życiorysie – jak to piszą w gazetach. Mój ojciec był bardzo dobrym strzelcem, miałem pięć albo sześć lat, kiedy zaczął mnie uczyć. Uparł się, że muszę strzelać lepiej niż on. Jeszcze nie chodziłem nawet do szkoły, kiedy na jakiejś imprezie Ligi Obrony Kraju zmusił mnie, żebym strzelał z pistoletu wojskowego. Bałem się strasznie, płakałem, ale ojciec był uparty. Przytrzymał mi rękę i kazał strzelać. Szarpało mnie na wszystkie strony, mama później opowiadała, że miałem zamknięte oczy i byłem błydy jak ściana. Potem uczył mnie strzelać z karabinu, jeszcze później kupił wiatrówkę. Kiedy miałem dwanaście lat – uznał, że strzelam prawie tak, jak on i dał mi spokój. Daleko mi było do niego, ale trzeba powiedzieć, że strzelałem dobrze. Więc teraz skłamałem. Specjalnie. I nawet wiedziałem dlaczego...

Świetnie znałem właściciela strzelnicy i on mnie znał. Przychodziłem tu z ojcem dziesiątki razy. Wcisnąłem się więc między obu żołnierzy i powiedziałem głośno:

– Dzień dobry, panie Zenderowski! Mogę sobie strzelić? Ale zapłacę jutro...

Wiedziałem, że się zgodzi. Nieraz tak już było, kiedy nie miałem pieniędzy. Ale w tym momencie odezwała się Irka:

– Mogę ci pożyczyć... Ile chcesz?

To znowu poderwało jednego z żołnierzy. Nie wiadomo czemu, poczuł się w obowiązku zaproponować:

– Strzelaj, kolego, ja zapłacę! Ale strzelaj do kwiatków!

Spojrzałem na Elżbietę, widziałem, że jej się to nie podoba.

Czekała, co powiem. Śmiać mi się chciało. Cwaniak! Sam to strzelał do tarczy – a ja mam do kwiatków. Chce, żebym się wygłupił. Zenderowski uważnie obserwował całą scenę, uśmiechał się pod wąsem i ładował dla mnie wiatrówkę. Ojciec zawsze mi mówił: „Na każdej strzelnicy jedna wiatrówka jest lepsza od innych, rozumiesz? Wszystkie są dobre, ale jedna jest lepsza. Nie ma cudów, Jurek!” Wiedziałem, że stary da mi właśnie taką lepszą.

– No, więc jak? Strzelasz, kolego? – dopytywał się żołnierz. – Wystrzel dwa kwiatki dla pań!

– Trzy! – powiedziała złośliwie Irka. Odwróciła się do Elżbiety: – Prosimy o trzy, prawda?

Nie lubię się popisywać. Ale teraz miałem na to ochotę. Przy strzelnicy zrobiło się jakby ciszej, ludzie wyczuli, że o coś w tym wszystkim chodzi. Ani przez moment nie pomyślałem, że mogę chybić. Przy strzelaniu nigdy nie wolno o tym myśleć.

Wziąłem do ręki wiatrówkę, niezgrabnie, jakbym pierwszy raz w życiu to robił. Wiedziałem, że się zgrywam, i Zenderowski wiedział. Sprawiało mi to jakąś dziką przyjemność. Odwróciłem się do Elżbiety.

– Ty też chcesz kwiatek?

– Nie! – odpowiedziała sucho. Była wyraźnie zła, że dałem się sprowokować, że ośmieszę siebie i ją..

Strzeliłem trzy razy, raz po raz, bez opuszczania broni. Dlatego, że tak uczył mnie ojciec. I jeszcze dlatego, że to robi na widzach większe wrażenie... Na ziemię spadły dwa kwiatki. Zenderowski nie podnosił ich. Obojętnie spytał:

– Teraz w biegu, co? Masz jeszcze dwa strzały...

I nie czekając na odpowiedź, uruchomił taśmę. Kwiatki zaczęły się powoli przesuwac...

– Który chcesz? – spytałem Elżbiety.

– Już mówiłam, że nie chcę żadnego...

– Jurek! A ja chcę ten czerwony goździk! – powiedziała wtedy Irka i uśmiechnęła się do mnie.

Pierwszy strzał chybiłem. Musiałem chwilę odczekać, aż czerwony goździk znowu wróci na linię strzału. Trach! Udało się, kwiatek spadł. Odłożyłem wiatrówkę.

– Bravo! – odezwał się żołnierz, ale bez entuzjazmu. I wyjął z kieszeni pieniądze.

Stary Zenderowski nie wziął ich.

– Nie trzeba, panie wojskowy! To były reklamowe... Firma funduje, firma płaci!

Podał mi trzy zestrzelone kwiatki. Dwa pierwsze dałem temu żołnierzowi. Czerwony goździk – Zenderowskiemu. Wziął.

– Dziękuję, panie Zenderowski! Do widzenia!

– Do widzenia...

Odeszliśmy z Elżbietą. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy minęliśmy cały rząd straganów i wyszli na rynek, Elżbieta zatrzymała się i powiedziała cicho:

– Ale z ciebie jest... no, nie wiem co! Ile ja się strachu najadłam! Dlaczego kłamałeś, że nie umiesz strzelać?

– Wcale nie mówiłem, że nie umiem...

– Słuchaj, a ta twoja... sąsiadka wiedziała, że potrafisz?

– A czemu pytasz?

Elżbieta pokiwała głową:

– Ona ci nigdy nie daruje tego, co jej zrobiłeś... Z tym czerwonym goździkiem... Po co to zrobiłeś?

Nie odpowiedziałem.

Minęło kilka dni. Pogoda wciąż utrzymywała się znakomita, ojciec ani słowem nie wspomniał o tym spotkaniu w parku, Zbyszek przestał mi się pokazywać na oczy (podobno całymi dniami łowił ryby na włoskim brzegu!), a rudy znowu gdzieś przepadł. Jednym słowem, życie toczyło się normalnie. Każdego dnia chodziliśmy z Elżbietą nad staw, a po kąpieli opalaliśmy się na skarpie albo w parku.

Niekiedy przyłączał się teraz do nas Gruby, ale nie miał zbyt wiele czasu. Wciąż załatwiał różne zaświadczenia i jeździł z matką do Katowic, w sprawie tego technikum. Zrobił się jakby jakiś poważniejszy i na moje pytania, czy zrezygnowali ze Zbyszkciem z wyprawy do groty, odpowiadał lekceważącym machnięciem ręki, że niby gdzie jemu teraz w głowie takie głupstwa. I mnie też śmiać się chciało, kiedy sobie pomyślałem, że jeszcze nie tak dawno wybieraliśmy się po skarby. Po skarby do groty z wodospadem – dobre sobie!

Elżbieta bardzo się opaliła i z każdym dniem była ładniejsza, choć może mnie tylko tak się wydawało. Całymi dniami rozmawialiśmy, ale nie umiałbym powiedzieć o czym. Albo też nie mówiliśmy ani słowa i jakoś zupełnie nam to nie przeszkadzało. To wszystko było dla mnie bardzo dziwne. Czasami odnosiłem wrażenie, że to nie my z Elżbietą śmiejemy się, kąpiemy, jeździmy na rowerach – tylko oglądam to wszystko jakby na filmie. A może rzeczywiście już coś podobnego widziałem w kinie?

Nie, no skądże! Ale z tymi myślami różnie bywa, najdziwaczniejsze przychodzą czasem do głowy, i to najczęściej wtedy, kiedy człowiek zupełnie nie jest na nie przygotowany.

Coraz bardziej przekonywałem się o tym.

Któregoś dnia powiedziałem Elżbiecie:

– Ty chyba jesteś jakaś inna niż te dziewczyny z naszej klasy, no... i w ogóle te wszystkie tutaj...

– Dlaczego inna? – zdziwiła się. – Niby jaka jestem?

– Tak sobie myślę... wiesz, co? Tylko nie śmiej się! Myślę, że to jednak dobrze, że nie chodziliśmy razem do szkoły, na przykład od pierwszej klasy, no nie?

Czułem, że mnie nie rozumie, ale nie potrafiłem tego wytłumaczyć. Tych dziewcząt w klasie to jakoś się nie widziało. Niby były, ale... A może to nie o to chodzi? Może to tylko ja ich nie widziałem? No nie wiem... Obrywały dwóje albo dostawały piątki, kłóciły się ze sobą i przeproszały, spóźniały się na lekcje i ściągały na klasówkach – wszystko tak, jak my. Zawsze mnie złościło, kiedy robiły głupie miny i chichotały nie wiadomo z czego. Pisały do siebie na lekcjach listy... No, nie tylko do siebie pisały. Zenek i inni też różne kartki dostawali. Niektóre z dziewczyn były nawet dość miłe... W zespole tanecznym w świetlicy przez dwa lata tańczyłem w jednej parze z Hanką Karbowską. Przychodziła czasem do mnie do domu po zeszyt albo coś takiego. Mama ją nawet lubiła, mówiła, że to bardzo ładna dziewczyna. Może i ładna, no i co z tego? Potem wypisałem się ze świetlicy, to i przestała przychodzić. Zenek mi mówił, że ona się kocha w tym nowym od rysunków. Podobno artysta malarz, rok temu zaczął u nas uczyć... Też pomyśl, żeby się kochać w nauczycielu. Brodę miał. Głupie jakieś te nasze dziewczyny czy co...

Tak sobie myślałem o tej naszej klasie. Dobrze, że Elżbieta nie chodziła z nami... Ale teraz, po siódmej, to już by mogła chodzić. Ciekawe, jak to będzie w tej nowej szkole? Jaka tam będzie klasa?

Zamyśliłem się i zapomniałem, o czym była mowa. Jechaliśmy właśnie na rowerach do Grubego, żeby zabrać go nad staw. Elżbieta przyhamowała nagle i zatrzymała się. Ja również.

– Co się stało? – spytałem.

– Nic się nie stało. Czekam, żebyś mi w końcu powiedział, jaka właściwie jestem.

Myślisz i myślisz... pewno już coś wymyśliłeś. No? – i uśmiechnęła się.

Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Ani jedno mądre słowo nie przychodziło mi do głowy. Patrzałem na nią, nie – gapiłem się w nią i myślałem.

– Jurek, powiedz... powiedz mi, czy ty mnie lubisz?

To pytanie padło tak nagle, że dopiero po chwili dotarło do mnie, jakby z bardzo daleka. I miałem wrażenie, że ona również jest jakby trochę zaskoczona tym, że o to spytała. Czułem, że muszę teraz coś odpowiedzieć i że wiem, co chcę powiedzieć... Ale upływały sekundy, a ja wciąż milczałem. Czasami bywa tak we śnie: ktoś cię goni, jest tuż–tuż, ty chcesz krzyknąć... ale nie możesz wydusić z siebie ani słowa! A przecież to było takie proste.

Dlaczego więc nie powiedziałem tego?

Elżbieta jeszcze przez chwilę patrzyła na mnie wyczekująco i wreszcie odezwała się cicho:

– Dowiedz się wobec tego, że... no, że ja bardzo cię lubię...

Uśmiechnęła się, tak zwyczajnie, jak zawsze, i powtórzyła głośniejszym głosem: – Słyszałeś! Naprawdę bardzo cię lubię!

I nagle nacisnęła gwałtownie na pedały, wyminęła mnie i szybko odjechała. Nie od razu zrobiłem to samo.

Cały czas potem, całe popołudnie, Elżbieta dziwnie jakoś zachowywała się nad stawem. Inaczej niż zwykle. Rozmawiała prawie tylko z Grubym, wygłupiali się razem, spychali ze skarpy do wody, gonili po całym brzegu. Jakby mnie wcale nie było.

Nie mogłem tego zrozumieć. Leżałem wyciągnięty na piasku, z zamkniętymi oczami, udawałem, że się opalam albo śpię.

Na skarpie powoli zrobiło się zupełnie pusto, było już pod wieczór. Tylko po drugiej stronie stawu, na włoskim brzegu, siedziało kilku wędkarzy, widać stąd było ich pochylone sylwetki. Może i Zbyszek tam był? Nie interesowało mnie to. Za nami, wysoko na skarpie, drzewa w parku chwiały się od wiatru, szumiały.

– Chodźmy jeszcze raz do wody... – powiedziała nagle Elżbieta. – Jurek! Ty przecież w ogóle chyba nie kąpałeś się dzisiaj... Co ci się stało?

– Mnie? Co się miało stać?

– Może brzuch cię boli? – wysilił się na dowcip Gruby i sam się z tego roześmiał. – Elka, słuchaj no! A może on się zakochał, co? Tylko ciekawe w kim?

Zezłościło mnie to wszystko. Podniosłem się z piasku.

– W tobie, trąbo! – odpowiedziałem Grubemu i wskoczyłem do wody.

A oni za mną.

Woda nie była taka ciepła, jak się mogło wydawać. Dopłynęliśmy więc tylko do połowy stawu i zawrócili. Zwolniłem, jak mogłem najbardziej. Płynęliśmy teraz pod słońce, które zachodziło za potężnym, ciemnym blokiem wielkiej sortowni węgla, podświetlając z tyłu wieże wyciągowe, kominy – i kładło się na wodzie czerwonymi smugami.

Elżbieta pierwsza wyszła na brzeg. Stała tak, ociekając jeszcze wodą... Zrzuciła na siebie mój sweter, który leżał na samym wierzchu stosu naszych ubrań. Patrzyła na kopalnię. Dopłynąłem powoli. Parę metrów za mną, prychając wodą, sunął Gruby.

Nawet nie spostrzegła, kiedy stanąłem obok. Dotknąłem lekko jej ramienia, drgnęła.

– Zimno ci?

Nie odpowiedziała, zapatrzona wciąż w ten trochę bajkowy widok. Kopalnia była teraz jakby tuż przed nami, ogromna, jakaś tajemnicza, czarno-czerwona... Dudniła rytmicznie sortownia, gdzieś daleko zagwizdał przeciągle pociąg, szumiały na skarpie wielkie klony.

– Nie żałuję, że tu przyjechałam na wakacje... Wiesz, Jurek? Już nie żałuję...

Milczeliśmy przez chwilę. Z brzoźowego lasu, zza starych hałd, wytoczył się teraz długi pociąg z węglem. Przelatując przez mały, żelazny mostek, stukał każdym wagonem inaczej i powstawała z tego cała melodia, którą wiatr przybliżał i oddalał od nas.

Elżbieta liczyła półgłosem wagony.

– Osiemnaście... dwadzieścia siedem... trzydzieści cztery... jak dużo...

– Byłaś już tam dalej? – spytałem. – Tam jest drugi staw... Możemy kiedyś pojechać. A tu, za tymi hałdami, buduje się „Anna”, nowy szyb węglowy...

– Czterdzieści dwa...”Tyle wagonów, widziałeś? – przerwała mi. I nagle spojrzała na mnie jakoś bardzo uważnie, jakby dopiero teraz zobaczyła, że stoję przy niej.

– Jurek... a gdybyś ty zbudował kopalnię, to jak byś ją nazwał?

– Nie wiesz?

– Nie...

Gruby wygramolił się wreszcie na brzeg, podszedł do nas. Zimno mu było, otrząsnął się.

– Nazwałbym ją „Elżbieta”...

– O czym wy mówicie, jak pragnę wyschnąć? – zdziwił się Gruby. Wycierał się szybko ręcznikiem, sapał i parskał. – Mówcie po ludzku! Nic nie rozumiem...

Elżbieta roześmiała się na głos:

– To bardzo dobrze!

. – Co znowu dobrze? – dopytywał się Gruby z nie bardzo mądrą miną.

– To, że nic nie rozumiesz...

– Aha, rozumiem... – i rzucił w nią ręcznikiem.

Nie trafił, ale zaczął uciekać po skarpie. Popędziła za nim z jego własnym sandałem w ręce... Zacząłem pomału ubierać się, patrząc na nich z uśmiechem. „Masz rację, Gruby! – pomyślałem sobie. – Ja chyba zakochałem się naprawdę... Więc to tak jest, kiedy człowiek się zakocha?” Ale gdyby mi ktoś kazał opowiedzieć, jak to jest właściwie, na pewno bym nie potrafił. I nie chciałbym o tym mówić. Nikomu, nawet jej. Bo po co?

Czasem dawniej zastanawiałem się: jak to będzie? Chyba nie tylko ja myślałem o tym, inni chłopcy także. Ale głośno nikt by się do tego nie przyznał. Zaraz by go wyśmiali. Ile razy ja sam naśmiewałem się z innych! Nie wiem czemu, ale okropnie nas to bawiło, na przykład w piątej czy szóstej klasie. Wystarczyło, że ktoś trochę dłużej stał z jakąś dziewczyną na korytarzu w szkole albo na ulicy, a zaraz zaczynały się docinki: „Uciekaj, bo teściowa ze szczotką idzie!” Albo: „Ty, kiedy ślub?” A jeszcze wcześniej to wygłupialiśmy się tak, że starsza siostra Grubego, Zośka, popłakała się raz przez nas przy ludziach. Stała z narzeczonym przed kinem, a Gruby mnie namówił i zaczęliśmy wołać: „Zośka, do domu, bo matka kaszanką dzieli!” Nie przeszkodziło jej to wyjść za mąż, ale Gruby dostał wtedy od matki pasem, aż furczało. Mnie się upiekło. Mądrzy to my byliśmy, nie można powiedzieć. Teraz inaczej już patrzyliśmy na dziewczyny. Chyba zazdrościliśmy trochę tym chłopcom, którzy z nimi chodzą. Ale nie mówiło się o takich sprawach, choć nieraz czułem, że i Gruby, i Zenek mieliby może ochotę pogadać. Tylko nie było tego, który by pierwszy zaczął.

A kiedy byłem zupełnie sam, czasem myślałem sobie o dziewczynie innej niż wszystkie, jakie znałem, sto razy piękniejszej. Nie wiedziałem, czy jest wysoka, czy niska, jakie ma włosy i jak się śmieje. Bo ta dziewczyna nigdy nie istniała naprawdę. I męczyło mnie, że nie potrafię jej sobie wymyślić tak, jak bym chciał.

Czasem pojawiała się w jakiejś książce albo w filmie. Wolałem nawet, kiedy w książce. Bo na ekranie zawsze z nią ktoś był. A w książce można było samemu być tym kimś, kto z nią rozmawia, o kim ona myśli. Można było taką książkę jeszcze raz przeczytać i jeszcze, można zatrzymywać czas w miejscu i jedną kartkę czytać cały wieczór.

I teraz nagle dziewczyna ma już imię i twarz, uśmiecha się i ma długie jasne włosy, jest tak ładna, jak żadna inna, i nigdy nie wiadomo, co powie, co zrobi za chwilę. A kiedy ktoś trzeci jest obok nas, to sam czuje, że jest tylko obok, a nie z nami. Choćby był najlepszym kolegą, nie zrozumie nic.

Czy ona też o tym wie? Jak o to zapytać? A może nie trzeba wcale pytać, nie trzeba o tym mówić... Dobrze, że to właśnie ona, że nie ktoś inny. Śmieszne... przecież to w ogóle nie mógł być ktoś inny! Jak jej powiedzieć, że to mogła być tylko ona, że jest tylko ona i nikogo innego nie było nawet w myślach?

Szliśmy przez ciemny już park. Gruby co parę metrów podskakiwał. na jednej nodze, potrząsał głową, wyczyniał dziwne historie z uchem.

– Chłupie mi coś, szumi... – skarżył się. – Zawsze mnie potem boli ucho, jak mi się choć trochę wody naleje. Co za uszy!

Roześmiałem się na głos:

– To w głowie ci chłupie, a nie w uchu... Pamiętasz, jak Parasol ci kiedyś powiedział, że masz co prawda parę wiadomości z historii, ale porozstawianych po kątach, a w środku –

dużo wolnej przestrzeni. Więc ta woda ma się gdzie przelewać!

– Wesoły jesteś, wiesz? Chciałbym, żeby tobie tak chlupnęło... O rany! Już mnie teraz strzyka!

– Nie przejmuj się! – pocieszała go Elżbieta. – Zawsze lepiej, jak w ucho coś wpadnie niż w oko...

– W oko? Coś czy ktoś? – wysilił się Gruby. – A co, może tobie ktoś wpadł?

– Oczywiście... Ty! Nie widać tego po mnie?

Szliśmy blisko siebie i poczułem, że Elżbieta chwyta mnie za dłoń i mocno zaciska palce. Ale Gruby, który szedł pół kroku przed nami, odwracał się właśnie i też to zauważył. Popatrzył na nią przeciągle, ale nie cofnęła ręki. Pokiwał głową.

– Owszem, widać... – mruknął. – Jeszcze jak!

I ni stąd, ni zowąd zdenerwował się nagle.

– Po co ja z wami właściwie chodzę, co? Dajcie wy mi święty spokój! Ucho mnie boli jak diabli... Bawcie się sami, dobranoc!

Kiedy wróciłem do domu, w kuchni nie paliło się światło. Przez uchylone drzwi spostrzegłem ojca siedzącego przy stole w pokoju. Aż nie mogłem uwierzyć własnym oczom: reperował... piecyk elektryczny! W samym środku upalnego lata! Wybuchnąłem głośnym śmiechem.

– Jurek? Nie słyszałem, kiedy wszedłeś... Co ci tak wesoło?

Zrobiłem sobie herbatę i wszedłem z nią do pokoju.

– Pytam, co ci tak wesoło? – powtórzył. – Zrób i dla mnie, tylko, wiesz, mocną.

I siadaj, chciałem z tobą porozmawiać...

A kiedy postawiłem przed nim szklankę bardzo mocnej, aż czarnej herbaty, jaką zawsze pił, i usiadłem, ojciec powiedział:

– Coś ci ostatnio całymi dniami nie ma w domu... Lepiszewska mi mówiła, że już...

– Co ona może wiedzieć? – przerwałem gwałtownie. Nie cierpiałem tej baby. Bez przerwy przesiadywała w oknie i gapiała się ha podwórko, a potem obgadywała sąsiadów. – I ty wierzysz tej starej plotkarce? Ona o wszystkich mówi, co najgorsze!

– No, co cię tak nagle ugryzło? – zdziwił się ojciec. – Oczywiście, że to jest plotkarka, ale jak mówi, że ty całymi dniami nie przychodzisz do domu nic zjeść, to nie mam powodu jej nie wierzyć...

Ach, o to tylko chodziło! Uspokoilem się. A już myślałem, że Lepiszewska nagadała coś... bo ja wiem, o Elżbiecie albo coś takiego.

– Nie przychodziłem do domu, ale braliśmy... brałem ze sobą chleb nad staw.

A zresztą, w taki upał nie chce się jeść... – mruknąłem.

– Jeść ci się nie chce, całymi dniami jesteś zajęty, ale humoru nie tracisz, co? Już dawno nie widziałem cię takiego wesołego... – mówił powoli ojciec, ale chyba raczej do siebie, bo nie czekając na odpowiedź odsunął szklankę i znowu zabrał się do reperacji piecyka.

– A co w tym dziwnego? – spytałem.

– Dziwnego? Nic w tym dziwnego! – powiedział i popatrzył na mnie mrużąc oczy, jakby miał się za chwilę roześmiać. Był jednak zupełnie poważny. Nie wiedziałem, co to wszystko znaczy i do czego ojciec zmierza. A może po prostu tak sobie tylko mówił?

8

Postanowiłem skorzystać z okazji. Już dawno chciałem o to spytać, ale nie wychodziło mi jakoś. Od tamtego dnia, kiedy ojciec spotkał mnie z Elżbietą w parku, chodziło mi to pytanie po głowie. I już teraz prawie otwierałem usta, ale nagle nastąpiło coś nieoczekiwanego. Ojciec uśmiechnął się, wstał, podszedł do mnie i poklepał mnie po ramieniu.

– Oj, Jurek, Jurek... Stary koń już jesteś. Nawet nie zauważyłem, kiedy tak wyrosłeś.

Ale nie potrafisz jeszcze z własnym ojcem rozmawiać o sobie, co? No powiedz: nie potrafisz? Podniosłem głowę i spojrzałem na ojca: tak dobrze znałem przecież jego twarz, mogłoby się wydawać, że umiałbym z pamięci narysować każdą zmarszczkę koło oczu... ale teraz zobaczyłem, właśnie w tych oczach, coś zupełnie nowego, czego nigdy dotąd nie dostrzegłem; a może nie umiałem dostrzec? Nie potrafiłbym tego nazwać i nawet nie usiłowałem.

Czułem tylko, że ogarnia mnie dziwny spokój, a równocześnie zrobiło mi się tak jakoś, jakby smutno... czy ja wiem zresztą?

Wstyd może powiedzieć – ale tak, jakbym się miał za chwilę rozplakać.

I zrozumiałem, że nie ma takiej rzeczy, o której nie potrafiłbym teraz ojcu powiedzieć, że nie ma takiej myśli, którą chciałbym przed nim ukryć. Poczułem się jak wtedy, kiedy jeszcze byłem zupełnie małym chłopcem... o, jak to już strasznie dawno!...

Ojciec wciąż uśmiechał się. Może wiedział, o czym myślę? Albo czekał, co powiem?

A może uśmiechał się z jakiegoś innego powodu, do własnych myśli? Wrócił na swoje miejsce przy stole.

– Nie chciałem cię nigdy o nic pytać. Umówmy się–, że ty sam zawsze do mnie przyjdiesz... Z tym wszystkim, z czym będziesz chciał...

Odsunął rozebrany na części piecyk elektryczny, zapalił papierosa i spokojnie, jakby nigdy nic, zabrał się do czytania gazety.

Zastanawiałem się nad tym, co mi powiedział. Zabrzmiało to bardzo poważnie. Czy chciał, żebym tak to właśnie rozumiał? A może to ja inną wagę przywiązywałem do tych słów, większą? Nie, dlaczego miałoby tak być. Skąd te myśli? Tak jakbym nie mógł wciąż uwierzyć, że nie chce mnie już traktować jak małe dziecko...

I nagle przypomniała mi się Elżbieta. „Przypomniała mi się” – to może niedobrze powiedziane, bo przecież ani na chwilę o niej nie zapomniałem. Właściwie przypomniałem sobie to pytanie, które chciałem ojcu zadać. A teraz była przecież odpowiednia chwila.

Wystarczy powiedzieć parę słów i wreszcie będę to już miał za sobą.

– Słuchaj, miałem cię o coś zapytać... Wtedy, wiesz – w parku, spotkałeś mnie z tą dziewczyną... z Elżbietą. Ja teraz co dzień jestem z nią... chodzimy nad staw albo jedziemy gdzieś. Ona jest... to znaczy, chciałem cię właśnie zapytać, czy ty się o to gniewasz? Wiesz, tak w ogóle...

– Tak w ogóle, powiadasz? Tak w ogóle to ja cię o coś spytam – powiedział, nie odrywając oczu od gazety. – A czy mam się o co gniewać? Jak uważasz? Bo przecież to ty powinieneś najlepiej wiedzieć...

Odpowiedziałem tak stanowczo, że aż sam się dziwiłem:

– Nie! Zupełnie nie masz się o co gniewać!

– No, więc? Sam sobie odpowiedziałeś... – i ojciec złożył gazetę. – Może już wystarczy na dzisiaj, Jurek, co? Chodź, pójdziemy spać... Aha, jeszcze jedno: jutro pojedę na cały dzień do Katowic, nie zapomnij zjeść obiadu! I zmontuj z powrotem ten zakichany piecyk. Spirale już zmieniłem...

– Dobra! Zjem obiad i zmontuję piecyk! – powiedziałem wesoło. – Mogę jeszcze narąbać drzewa na połowę zimy i w ogóle pozamiatać całe mieszkanie!

Było mi teraz tak lekko na sercu, że z równym zapalem mógłbym się podjąć zmontowania całej lokomotywy, a nie tylko głupiego piecyka elektrycznego. Błyskawicznie rozebrałem się i wskoczyłem do łóżka. Patrzałem, jak ojciec kręcił się jeszcze po pokoju, i nagle postanowiłem, że muszę, ale to koniecznie muszę mu powiedzieć, co sobie w tej chwili pomyślałem...

– Wiesz, bo w ogóle to ty jesteś fantastyczny! Słowo daję!

Ojciec roześmiał się.

– Tak? No, to w ogóle wstawaj zaraz z łóżka i idź się w ogóle umyć! I przestań co

chwila mówić „w ogóle”!

Zbudziłem się dość późno. Łatwo było wczoraj powiedzieć: zmontuję piecyk. Pół dnia prawie nad tym żelastwem siedziałem! Jak z jednej strony weszło, to z drugiej wyskakiwało. A kiedy wreszcie wszystko już się jako tako trzymało i chciałem spróbować, czy grzeje, zaczepiłem nogą o kabel i cały piecyk spadł ze stołu. Spirala puściła z jednej strony i trzeba było zaczynać od nowa. Nie wiem, skąd ojciec taką spiralę wytrzasnął! Sprężynowało to draństwo tak, że materace powinno się z tego robić, a nie do piecyka zakładać.

Inna rzecz, że od początku całej tej roboty śpieszyłem się i myślałem zupełnie o czym innym. O Elżbiecie, oczywiście. Już rano przy śniadaniu postanowiłem, że opowiem jej całą rozmowę z ojcem. Niech wie, jaki on jest. Tak. I powiem jej to, czego wczoraj nie powiedziałem. Nie będę już tak stał, jak zaczarowany. Bo dlaczego niby miałbym nie powiedzieć? Cóż to straszego?

Kiedy piecyk był wreszcie gotów, zegar bił dwunastą. Szybko usmażyłem jajecznicę, żebym potem mógł uczciwie powiedzieć ojcu, że obiad zjadłem. Mieszkania oczywiście nie zamiotłem. Przecież ojciec chyba wiedział, że to był tylko żart. Wyskoczyłem po rower.

„No, ona już się pewno ze dwa razy wykąpała! Mocno chyba zdziwiona, czemu się spóźniam... – myślałem po drodze. – A może i Gruby tam jest?” Pedałowałem z całych sił i w parę minut byłem już nad stawem, na angielskim brzegu. Kąpało się tu parę osób, jakaś dziewczyna z chłopcem pływała na kajaku, ale Elżbiety nie było.

Objechałem staw dookoła. „Może jest na skarpie, od strony parku?” – myślałem, rozglądając się uważnie. Pchałem rower po piachu, koła wrzynały się, ale nie czułem tego. Elżbiety nigdzie nie było.

Nagle ktoś przytrzymał mi z tyłu rower. Odwróciłem się gwałtownie: to mały Jasio Zimek w długich, mokrych majtkach, pobrudzony piachem – z całej siły ciągnął rower za tylny błotnik. Śmiał się. W pierwszej chwili chciałem krzyknąć na niego, ale przyszło mi do głowy, że przecież w tej chwili to jedyny znajomy tutaj, nad wodą... Widział mnie już kiedyś z Elżbietą, więc może by ją poznał. Bo chyba była tu, tak jak codziennie, o dziesiątej... – Puść, Jasiu... Słuchaj no! Widziałeś tu może dzisiaj taką dziewczynę, co to kiedyś szła ze mną i przeżywałaś nas, pamiętasz?

– Nie pamiętam! – powiedział Jasio. – Przewieziesz mnie?

– Przewiozę, ale powiedz: była tutaj ta dziewczyna?

– Taka twoja panna?

– Niech będzie, że panna. Ale była czy nie?

– Była! – stwierdził Jasio. – Była... albo nie. Niebyła. A wiesz, ja mam królika! I on zdechl!

No i rozmawiaj tu z takim! Była albo nie była! I on ma królika, który zdechl. Zdenerwowałem się i szarpnąłem ostro rower. Przełożyłem go przez ramię, zacząłem wspinać się po skarpie...

W parku niedaleko ujechałem. Zaraz przy pierwszych drzewach natknąłem się na Grubego, który spał w cieniu. Potrąciłem go lekko, potem mocniej... Niechętnie odwrócił się na drugi bok, był zupełnie zaspany i zły.

– Czego się drzesz? – powiedział ze złością. – Przecież nie śpię i słyszę wszystko, co do mnie mówisz!

– Nic jeszcze do ciebie nie mówiłem, bałwanie, więc co mogłeś słyszeć?!

– No, to czemu mnie szarpiesz, jak nic nie mówiłeś? Odczep się, daj spać... – i już zamierzał odwrócić się z powrotem, ale powstrzymałem go jakoś, ciągnąc za ramię.

– Gruby! Ocknij się! Gadaj: była tu Elżbieta?

– Co znowu Elżbieta?

Ale po chwili otrzeźwiał i już zupełnie przytomnie powiedział:

– Czy to moja wina, że zgubiłeś Elżbietę? A kto ma wiedzieć, gdzie ona jest: ja czy ty?

– Nie wygłupiaj się... Miała tu być, a nigdzie jej nie ma!

– Może jest w domu? Byłeś tam?

– Zwariowałeś? U Małeckich miałem szukać?

– A czemu nie? Co to, nie byłeś tam nigdy? Nieśmiały się znalazł! – Gruby skrzywił się ironicznie i pokiwał głową: – Aleś się zmienił! Bolesław Wstydlivy – myślałby kto! Nic nie odpowiedziałem. Patrzałem na niego bezradnie, byłem zdenerwowany i nie wiedziałem zupełnie, co mam zrobić.

– Słuchaj, a może ona jest chora? – powiedział po chwili Gruby, już poważnie. – Co? Nie pomyślałeś o tym? Mnie też jeszcze ucho boli po wczorajszej kąpieli. Może się przeziębiła?

– Nie pomyślałem, że może być chora, to prawda. No, tak. Ale jeśli nie jest chora i mimo to nie przyszła? Może miała jakąś awanturę z ciotką? Dość późno ją wczoraj odprowadziłem... A może Zbyszek coś naskarżył?

– Gruby! Chodź tam ze mną, dobra? – poprosiłem. – Wiesz, głupio mi jakoś samemu iść po tej bójce ze Zbyszkiem. Pójdiesz?

– Niech stracę! – mruknął Gruby i podniósł się. – Tylko nie wiem, kiedy ja się odeśpię...

Szliśmy przez park na przełaj, zresztą – kto tu u nas chodził po ścieżkach? Park był stary i zapuszczony, trawa sięgała kolan, wkręcała się w szprychy roweru. Gruby mówił po mału, niechętnie:

– Dziś w nocy stary znowu przyszedł na gazie i szurał do trzeciej! Mówię ci, żyć się nie chce...

– Tak... niewesołe... A może ściągnij ty kiedy milicjanta, jak się będzie awanturował?

– powiedziałem. – Nastraszy go jakoś albo co?

Gruby się zatrzymał.

– Coś ty, głupi? – oburzył się. – Na własnego ojca będę milicję nasyłał?

– Jak nie ma innej rady...

Przecieliśmy jakąś alejkę, potem drugą.

– Wiesz co? On się właściwie tak bardzo nie awanturuje... – mówił Gruby. – Sami sobie z matką dajemy radę. On po prostu szura... No, nie wiesz, jak to jest, kiedy ojciec szura?

– Nie! Nie wiem. Mój ojciec nigdy nie szura...

– No tak! – westchnął Gruby. – Ty to masz ojca!

Przechodziliśmy właśnie koło grotu z wodospadem. To tutaj wybieraliśmy się wtedy po skarby.

Była to sztuczna grota, zbudowana z kamieni na stoku niewielkiego wzniesienia. Z góry ściekała po kamieniach woda. A tam gdzie był otwór, prowadzący w głąb grotu, tworzył się z tej wody jakby mały wodospad. Dawniej była to na pewno fontanna, woda biła z wierzchołka grotu i spadała do basenu. Ale musiało to już być bardzo dawno, bo basen zamienił się w porośniętą rzeszę bajorko, a fontanna udawała teraz wodospad.

– Ciekawe, czy ta grota rzeczywiście ma podziemne połączenie z naszym zamkiem? – powiedział Gruby i zatrzymał się. – Pamiętasz, jak to dwa lata temu zapadła się na rynku ziemia na skwerze? Ludzie gadali wtedy, że to właśnie tamtędy biegną zamkowe lochy...

– Jakie tam lochy! Ojciec mi opowiadał, że na rynku stał dawniej ratusz, który Niemcy zburzyli. To pewno zapadła się po prostu jakaś piwnica ratuszowa i ziemia się obsunęła. Chodź, nie zwracaj głowy! – pociągnąłem go. Ale Gruby nie ruszył się. Więc i ja musiałem przystanąć!

Trzeba przyznać, że ta grota z podrabianym wodospadem zawsze nas zastanawiała. I nie tylko nas, bo wszyscy chłopcy urządzali tutaj wyprawy. O grocie krążyły najbardziej

fantastyczne opowieści, bo nikt właściwie nie wiedział, kto ją zbudował, kiedy i po co. Zawsze to przyjemnie mieć coś takiego tajemniczego pod ręką, zwłaszcza w małym mieście. Toteż o grocie powstawały wciąż nowe legendy. Podczas okupacji podobno opowiadano, że zbierają się tu partyzanci. Zaraz po wojnie ludzie zaczęli mówić, że w grocie ukrywa się gestapowiec. Potem znów, że wampir, bo na Śląsku była właśnie moda na wampiry. A kiedy w całym kraju przysła moda na cuda, stare baby paliły przed grotą świece i zaklinały się, że w grocie ukazuje się jakiś święty, tylko nie wiadomo jeszcze jaki, bo głowy nie widać. Taka Lepiszewska to do dziś jeszcze, na wszelki wypadek, żegnała się przed tą grotą, jak jej wypadło tędy przechodzić.

– No i co się tak wpatrujesz? Nie bądź dziecinny... – złościłem się. – Chodź, szkoda czasu!

Ale Gruby pochylił się nieco, zaczął nasłuchiwać...

– Poczekaj chwilę... Zajrzymy do środka. Tam się coś rusza!

Szybko zdejmował trampki. Zaśmiałem się ironicznie, ale po chwili w grocie rzeczywiście coś za chrobotało.

– Gruby! To skarby przewracają się na drugi bok, czekając na ciebie. Kiedy ty zmądrzejesz, co? Przecież to jakiś szczur!

W grocie posypały się kamienie.

– No, tylko nie szczur, dobrze?! – usłyszeliśmy nagle z głębi i w otworze ukazał się Zbyszek Małecki. Wygramolił się wreszcie, bo otwór był niewielki, przeszedł pod wodospadem i stanął na środku sadzawki.

Cały był ubrudzony, w rękę trzymał latarkę i kawałek liny. Minę miał niewyraźną, zaskoczyło go to spotkanie. Nie spodziewał się nas tutaj, tak samo zresztą jak i my jego. Gruby mruknął:

– Teraz uważaj, Jurek, żebyś nie przegapił... Zaraz pewno wyjdzie twój skarb.

A widzisz, miałem nosa, żeby tu stanąć...

– Jaki znowu mój skarb?

– Nie udawaj, Bolesławie Wstydlivy! Najpierw ją gubisz, a potem nie chcesz się do niej przyznać. A kto tam mógł być w grocie ze Zbyszkiem? Łokietek?

Dziwna rzecz, ale ja również byłem przekonany, że za chwilę wyjdzie z groty Elżbieta. Od razu, kiedy zobaczyłem Zbyszka, przyszła mi ta myśl do głowy. Tylko udawałem, że nie rozumiem Grubego. No, teraz wszystko jasne: nie chcieliśmy ze Zbyszkiem iść na wyprawę po skarby, więc namówił Elżbietę. Pewno bał się sam pójść. I dlatego nie była nadstawem!

Z groty doszedł pojedynczy stuk spadającego kamienia. Nikt już jednak z niej nie wychodził. A Zbyszek podszedł do nas i powiedział:

– Eee tam! Nic nie ma, same śmieci. Wiecie... wiesz, Gruby – poprawił się – tam jest taka mała jakby piwnica, no, ze dwa metry na trzy. Nie wiadomo, po co to zbudowali... Ale nie ma żadnego lochu...

Gwałtownie przerwałem mu:

– Ty! A gdzie ona jest?

– Piwnica?

– Jaka tam piwnica! Pytam, gdzie jest Elżbieta?

– Elżbieta? Nie ma jej... Bo co?

Uśmiechnął się nieprzyjemnie i dodał, jakby od niechcienia:

– W ogóle jej tu już nie ma... Dziś rano wyjechała do domu! Do Warszawy...

Nie słyszałem, co Zbyszek jeszcze mówił; i tak zwracał się tylko do Grubego. Odszedłem z rowerem parę kroków i usiadłem na ławce. To może dziwne, ale nie myślałem w tej chwili o niczym.

Bywa tak czasami: masz szeroko otwarte oczy, rozglądasz się, ale widzisz tylko zupełnie oderwane, nie związane ze sobą i nic nie znaczące szczegóły. „Wróbel skacze po ścieżce... kołysze się gałąź... zaraz ta chmura zakryje słońce... z ławki wystają gwoździe...” – notujesz jakby to wszystko gdzieś tam w pamięci, ale nic z tego nie wynika, nic cię to nie obchodzi, nie myślisz o tym.

– No, to idziemy, Gruby! – powiedziałem, kiedy pożegnał się wreszcie ze Zbyszkim i stanął przy ławce.

Ale Gruby bez słowa usiadł koło mnie i zagapił się na tego samego wróbla, który skakał przedtem po ścieżce, a teraz dziobał coś zawzięcie na drugim końcu ławki.

– Możemy iść. Tylko dokąd? – spytał.

I właściwie dopiero w tym momencie, dopiero teraz kiedy dotarło do mnie to pytanie, uświadomiłem sobie, że Elżbieta wyjechała. No tak... Oczywiście, że nie musimy już nigdzie iść. Nie mamy się dokąd śpieszyć, możemy na tej ławce siedzieć do wieczora. Przecież ja już nie szukam Elżbiety, nie denerwuję się, dlaczego nie przyszła nad staw i co teraz robi... Wyjechała dzisiaj rano i jest teraz gdzieś tam, w innym mieście, w jakimś miejscu, którego nie potrafię sobie nawet wyobrazić, i robi coś, o czym nigdy nie będę wiedział. Elżbiety już po prostu tutaj nie ma...

– Wzięło cię, co? No, tylko nie mów, Jurek, że nie. Przecież widzę, że cholernie cię wzięło! – odezwał się Gruby.

Nie zamierzałem mówić, że nie ani że tak, ani w ogóle mówić cokolwiek. Chciałem posiedzieć trochę na tej ławce, bo przecież nigdzie mi się nie śpieszyło, nikt na mnie nie czekał.

Gruby również nie powiedział już ani słowa. A kiedy wyszliśmy z parku, odprowadził mnie aż pod sam dom, chociaż go o to nie prosiłem.

9

Ojca nie było jeszcze w domu. To dobrze. Nie chciałem, żeby poznał po mnie, że coś się stało. Może kiedyś opowiem mu o tym, ale nie teraz. A zresztą, po co miałem opowiadać? Nic mi przecież nie może pomóc, ani ojciec, ani ktokolwiek inny.

Nie wiem nawet, czy to by się w ogóle dało opowiedzieć. Bo cóż się właściwie takiego stało? Jakaś dziewczyna, która była tutaj na wakacjach – wyjechała nagle do domu. Tak przecież to wszystko wyglądałoby dla każdego. Tylko dla mnie to nie była „jakaś” dziewczyna. Teraz już wiedziałem o tym na pewno.

Do wieczora było daleko, ale zupełnie już nie miałem ochoty wychodzić z domu. Nawet na strych, do gołębi, nie chciało mi się dzisiaj iść. Kręciłem się po mieszkaniu, zajrzałem do jednej książki, drugiej. Ani przez chwilę jednak nie mogły mnie zainteresować losy ich bohaterów. Nic mnie w tej chwili ci ludzie nie obchodzili, poruszali się po kartach książki jak cienie i rozmawiali o jakichś nic nie znaczących głupstwach. Nie mogłem czytać...

Parno było, czułem się zmęczony. Rzuciłem się na łóżko i starałem nie myśleć o niczym, chociaż nie bardzo mi się to udawało. Najbardziej gryzła mnie myśl, że jestem bezradny, że nic na to wszystko nie mogę poradzić, nic tu ode mnie nie zależy... Ale byłem już chyba zupełnie spokojny, nie czułem już w gardle tego nieprzyjemnego skurczu, którego tam w parku, przy grocie, nie mogłem opanować.

Chyba długo leżałem tak, wpatrzony w okno, za którym ani jeden liść nie poruszał się na drzewie... Wciąż widziałem Elżbietę: raz nad stawem, to znów w ogródku, albo wtedy za kinem, kiedy myliłmy się przy studni, śmiejącą się przy odpustowych straganach, albo na rowerze, kiedy powiedziała, że bardzo mnie lubi. Wydawała mi się teraz taka ładna, jak nigdy przedtem. I nie tylko ładna. Taka jakaś bliska...

Myślałem i o ojcu'. Przyszło mi do głowy pytanie: czy zrozumiałby mnie? Czy on też

miał kiedyś takie zmartwienie, jak ja teraz? I jeszcze: jaki on był, dawno temu, kiedy miał moje czternaście lat? A ja, jaki ja będę za dziesięć lat na przykład, za dwadzieścia? Co będę wtedy myślał? Z kim wtedy będę i gdzie?

I znowu Elżbieta zjawiała się, słyszałem jej głos, widziałem ten uśmiech, tam znad stawu, kiedy pytała, jak nazwałbym kopalnię.

Było coraz bardziej parno, jakby powoli zbierało się na deszcz. Sortownia dudniła nieprzerwanie, monotonnie...

...Widocznie usnąłem, bo obudził mnie nagle ostry gwizd z ulicy. Było już ciemno, musiałem spać ze dwie, trzy godziny. Otwarte okno trzaskało głośno, zerwał się wiatr. Z daleka dochodziły stłumione jeszcze odgłosy burzy. Mocno szumiały drzewa za oknami, przecięła niebo błyskawica. I znowu ten głośny gwizd na palcach...

Zerwałem się i zapaliłem światło. Podskoczyłem do okna, ale w ciemności nie można było rozpoznać, kto na dole stoi.

– Jurek! Sam jesteś? – usłyszałem nagle. To pytał Gruby. Czego mógł chcieć o tej porze?

– Sam... Ale nie krzycz, bo ludzi pobudzisz! – odpowiedziałem półgłosem. – Co się stało?

Pomyślałem, że może tam u niego w domu coś zaszło, może jego ojciec znowu awanturuje się po pijanemu i Gruby nie ma gdzie spać. Było już tak raz, ze trzy lata temu. Spał wtedy u nas.

Wychyliłem się przez okno.

– No, co jest? Czemu się nie odzywasz?

– Wyjdź z domu, tylko szybko! Przyjdź na podwórko! – usłyszałem.

Złapałem sweter i zbiegłem po schodach, starając się robić to jak najciszej. Było już chyba koło dziesiątej.

W pierwszej chwili na podwórzu w ogóle nic nie widziałem. Dopiero kiedy oczy przyzwyczyły się trochę do ciemności, dostrzegłem, że ktoś stoi koło komórek. Potykając się poszedłem w tamtą stronę podwórka. Dziwiło mnie trochę, że Gruby nie odzywa się. Żarty sobie ze mnie robi, czy co?

– Gruby, to ty? – spytałem. Nikt nie odpowiadał. Przystanąłem niepewnie.

I wtedy usłyszałem głos Elżbiety. Mówiła cicho:

– Jurek, ja przecież jestem... On cię okłamał, że wyjechałam. Tak mi strasznie przykro... Jurek!

Nie mogłem powiedzieć słowa. Słyszałem to, co mówiła, ale równocześnie jakbym słyszał jakiś nagły, coraz głośniejszy szum, narastający wokół mnie w jeden wysoki, przeraźliwie wibrujący dźwięk. Jak człowiek, którego siłą wpychają pod wodę, nie pozwalając zaczerpnąć oddechu...

Podeszła powoli, stanęła tuż obok mnie.

I nagle zupełna cisza. Już można złapać oddech i palce nie poruszają się z trudnością, jakby w gęstej smole, i widać wszystko wyraźnie i jasno, jak w słoneczne południe. Pęka jakaś tama i człowiek słyszy, jakby ze zdziwieniem, własne słowa, dużo, dużo słów.

– Elżbieta, ja cały dzień... cały dzień myślałem, że cię już nie zobaczę... Powiedz, czemu on zrobił takie świństwo? Szukałem cię wszędzie... Chciałem... Pamiętasz, ty pytałaś wczoraj, a ja... I właśnie chciałem, Elżbieta... – wyrzuciłem z siebie oderwane słowa, zdania, które nie kleiły się. Wiedziałem dobrze, co chcę powiedzieć, i nie potrafiłem tego jakoś...

– Nie myśl już o tym. Przecież widzisz, że jestem... mnie wszystko mówił Gruby...

– Co on może wiedzieć? Elżbieta, on nic nie wie... I ty nie wiesz. Ja dopiero dzisiaj przekonałem się, że ja cię przecież... że ja...

Szybkim gwałtownym ruchem położyła mi rękę na ustach.

– Nie mów... Przecież ja też... Tak samo, jak ty!

Zapaliło się światło w jakimś oknie, wpadło między nas. Ale nie cofnęła się, powoli przesunęła tylko dłoń na moje ramię... I nagle spojrzała w górę. Nie widziałem jej twarzy, ale byłem pewien, że teraz uśmiecha się. Powiedziała cicho:

– Zaczyna padać... Jakie wielkie krople! Późno już, muszę wracać...

Wyszliśmy na ulicę, ale po paru krokach trzeba było schować się w pierwszej bramie. Lunęło na dobre.

– Musimy poczekać... – powiedziałem. Zdjąłem sweter i okryłem ją. Wcisnęliśmy się w sam kąt bramy, deszcz zacinał z Ukosa, tuż koło nas rosła w oczach wielka kałuża, potem druga, trzecia...

Rozpętała się burza, raz po raz waliły pioruny, na moment robiło się wtedy widno jak w dzień. Drzewa przy drodze kładły się na siebie, wiatr szarpał latarnię, rozkołysał ją – rzucała urywane błyski na mokre, lśniące gałęzie, na drogę i na nas.

Przekrzykiwaliśmy teraz burzę:

– Ale leje! Elżbieta, boisz się?

– Nie!

– Słuchaj! A gdzie Gruby? – przypomniałem sobie nagle. – Przecież był tam...

– Nie. On mnie tylko przyprowadził i wywołał cię... Nie chciałam sama. I zaraz potem poszedł...

– Dobrze, że poszedł! – i uśmiechnąłem się. Do niej i do samego siebie.

– Nie pytasz, gdzie byłam cały dzień?

A właśnie! Zupełnie mi nie przyszło do głowy, żeby o to zapytać. Teraz kiedy wiedziałem, że jest tutaj, obok mnie, przestało być ważne wszystko to, co działo się w dzień, wszystko, co się wydarzyło.

– Przyszłam nad staw jak zawsze, po dziesiątej. Nie było cię, więc usiadłam na skarpie... I nagle przyleciał zziębnięty Zbyszek, ciotka go przysłała. Przyszła depesza z domu z Warszawy... Zgadnij, co się urodziło?

Przez chwilę nie rozumiałem, o czym ona mówi.

– Jurek! Przecież opowiadałam ci w ogródku, pierwszego dnia...

No, tak, racja. Dopiero teraz przypomniałem sobie wszystko. Opowiadała, że jej matka spodziewa się dziecka, w lipcu, zgadza się...

– I co? Masz siostrę? Albo bliźniaki!

– Tak, jeszcze tego potrzeba: bliźniaki! Widzę, że ty mi dobrze życzysz. I wcale nie siostra, na szczęście. Chłopczyk!

Szczerze mówiąc, nie widziałem żadnej różnicy – chłopiec czy dziewczyna, czy to nie jest wszystko jedno?

– ...No i ojciec pisał w tej depeszy, żebym od dwunastej czekała na pocztę, na telefon od niego, to mi wszystko opowie. Od razu znad stawu poleciałam na pocztę, prawie trzy godziny czekałam... Ale wszystko w porządku, zdrowi są i tak dalej... Po obiedzie chciałam cię szukać, ale niby gdzie? Zostałam w domu i napisałam list do mamy, do szpitala.

Elżbieta zamyśliła się.

– Wiesz co? – powiedziała nagle. – Może nie uwierzysz, ale to był pierwszy list do niej, pierwszy od dnia, kiedy tu przyjechałam...

– Uwierzę... ja też jeszcze do mamy ani razu nie napisałam. Nie było jakoś czasu!

– Oj, Jurek! – pokiwała głową i pogroziła mi palcem. – Nie było czasu! To przez ciebie wszystko... Widzisz, jacy my jesteśmy? Może już pójdziemy? Ciotka umrze ze strachu...

Wystawiłem głowę z bramy, rozejrzałem się.

– Jeszcze tylko chwilę, zaraz się przewali... Nawet szybko przesuwają się ta burza.

A cały dzień było tak duszno, Potworny dzień!

– Nieprawda! Właśnie, że piękny dzień... jeszcze takiego nie było, wiesz? I ta burza też jest ładna! Może nie?

– Ładna? Podoba ci się? No, to chodź! – pociągnąłem ją szybko i wyskoczyliśmy z bramy.

Przebiegliśmy ulicę, potem jeszcze kilkanaście kroków, jeszcze kilka... Zupełnie ciemno i ta ulewa, szumiąca głośno ściana deszczu, przez którą trzeba było przebijać się z trudem. Na moment stanęliśmy pod drzewem, żeby złapać oddech. Odgarnąłem jej mokre włosy z czoła... i nagle pochyliłem się szybko i pocałowałem ją. Jeszcze sekundę wcześniej nie wiedziałem, że to zrobię. A chwilę później nie odważyłbym się już na to. Nic nie myślałem, nie widziałem jej twarzy, nie było koło nas burzy. Usłyszałem dźwięczącą ciszę. Elżbieta oderwała się od drzewa i wyskoczyła w deszcz, który lunął jakby gwałtowniej. Znowu wrócił głośny szum, otoczył nas ze wszystkich stron, szalała burza...

Biegliśmy teraz środkiem jezdni. Zgrabnie przeskakiwała wielkie kałuże, a ja waliłem w nie trampkami, aż woda rozpryskiwała się na wszystkie strony.

Byliśmy już zupełnie mokrzy i ubłoceni, znowu brakowało tchu.

I nagle zacząłem się śmiać, pełną piersią, na cały głos.

– Wariat z mokrą głową! – krzyknęła Elżbieta. Dogoniłem ją i złapałem za rękę. Biegliśmy teraz razem.

Usłyszałem nagle, jak jacyś ludzie, którzy przystanęli pod balkonem koło piekarni, żeby przeczekać deszcz, wymienili ze sobą głośne uwagi:

– Popatrzcie, jak im wesoło! Smarkacze włóczą się po nocy...

– A matka pewno z paskiem czeka!

Zaśmiałem się jeszcze głośniej.. „Co wy w ogóle o nas wiecie?” – pomyślałem. Ścisnąłem mocniej jej dłoń i pobiegliśmy dalej.

10

Wracałem już nie środkiem ulicy. Przemykałem się od domu do domu, kryjąc się przed deszczem pod balkonami i większymi drzewami – chociaż właściwie nie miało to już znaczenia; i tak byłem zupełnie mokry. Kiedy przebiegałem koło restauracji, przyszło mi na myśl, że mógłbym przecież zajść do dziadków, którzy mieszkali w tym samym domu. Nie jest chyba jeszcze za późno, a dostalibyśmy kolację. Dopiero teraz poczułem, jak bardzo jestem głodny.

Stanąłem pod wielkim jesionem, prawie na wprost schodków, po których wchodziło się do gospody. Chciałem poprawić choć trochę włosy, żeby babka nie pomyślała, że milicja mnie goni.

Nie spali jeszcze, bo świeciło się światło. „Która może być godzina? – zastanawiałem się. – Może jedenasta? Ojciec chyba już w domu. Pewno martwi się, gdzie ja jestem...” Wytarłem twarz chusteczką i zmieniłem zamiar. Nie wejdę do dziadków. Co tam kolacja, wytrzyma się jakoś...

Nagle otwarły się gwałtownie drzwi restauracji. Wyszło z niej paru ludzi, a potem kierownik, z wielką sztabą do zamykania okiennic. Snop światła padł prawie wprost na mnie i zupełnie bezwiednie cofnąłem się za drzewo.

Z otwartych drzwi buchał dym papierosowy. Stąd wyglądało to, jakby cała sala wypełniona była mgłą. Kierownik gospody kłął na głos, majstrując coś przy okiennicach.

„Po co ja tu właściwie stoję?” – pomyślałem.

Nie zdążyłem jednak zrobić nawet kilku kroków, kiedy usłyszałem głos ojca.

Stał na schodkach restauracji i zęgnął się głośno z Cholewą. A potem zszedł powoli ze schodków i ruszył przed siebie. Przebiegłem szybko na drugą stronę ulicy, chociaż nie wiedziałem, czemu to robię. I tak, od drzewa do drzewa, posuwałem się za ojcem, kilkanaście metrów z tyłu...

Deszcz lał nieprzerwanie, choć może mniej już gwałtownie niż przedtem, ulicą płynęły całe strumienie wody, coraz rzadziej rozświetlane błyskawicami, które wyskakiwały już tylko gdzieś na horyzoncie. Była to jedna z tych sierpniowych burz, które niepostrzeżenie przechodzą w monotonną, wielogodzinną ulewę.

Ojciec jakby nie widział tego wszystkiego, jakby nie zauważył, że w ogóle pada.

Szedł środkiem tej samej ulicy, którą pół godziny temu – śmiejąc się w głos – przebiegaliśmy z Elżbietą, szedł bardzo powoli, zataczając się lekko, z rozpiętą marynarką i pochyloną nisko głową, jakby liczył własne kroki albo zastanawiał się, dokąd go prowadzą.

Wiedziałem już, co mam zrobić, co muszę zrobić. Wbiegłem na jezdnię i zatrzymałem go. Nie zdziwił się, skąd się tu wziąłem, nie powiedział ani słowa. Podeszliśmy pod nasz dom. Na schodach wyraźnie czułem, jak opiera się o mnie.

Kiedy zapaliłem w kuchni światło, spostrzegłem, że zostawiamy już nie tylko mokre ślady, ale całe kałuże wody. Ojciec zdjął marynarkę, podałem mu ręcznik. Wciąż nic nie mówiąc siedział teraz przy stole, wpatrzony w jakiś jeden, stale ten sam punkt. Poczujęm nagły dreszcz. Nigdy jeszcze nie zmokłem tak jak dzisiaj, ale nie jestem zupełnie pewien, czy te dreszcze były właśnie z tego powodu.

Zrobiłem herbatę i dopiero kiedy postawiłem ją na stole przy ojcu, odważyłem się spojrzeć z bliska w jego twarz. To nie była ta twarz, którą znałem. I nagle spostrzegłem, że ojciec wcale nie jest tak bardzo pijany, jak wydawało mi się tam, w deszczu, na ulicy.

– Weź dwie tabletki aspiryny, połknij je zaraz... i kładź się, synu, spać...

To były pierwsze słowa, które przerwały przeraźliwie długą, trochę niesamowitą ciszę.

Pierwsze słowa, od kiedy na ulicy wziąłem go pod rękę.

– Tatusiu... – zacząłem, ale w gardle czułem jakby gorący piasek. Nie mogłem dokończyć zdania. Odwróciłem się, żeby nie patrzeć w jego oczy, jakieś przejmująco smutne czy zmęczone.

– Idź spać...

– Nie. Chcę spytać, czy coś się stało? Tatusiu... czy ty masz jakieś zmartwienie?

Ojciec opuścił głowę.

– Jakie? Powiedz jakie?

Patrzył teraz jakby gdzieś przeze mnie, gdzieś daleko. Potrząsnął przecząco głową.

I zrozumiałem, że nic mi nie powie. Ale nie mogłem się powstrzymać:

– Tatusiu...

I znów ten przeczący ruch.

Zegar bił drugą w nocy, kiedy kładłem się spać. Ale ojciec wciąż siedział przy stole, wpatrzony w ten sam punkt. Czułem w głowie jednostajny szum, oczy zamykały mi się i piekły nieznośnie. Deszcz bębnił o dach, po szybach spływały brudne strugi wody. Ze strychu słychać było przytłumione gruchanie gołębi, one zawsze były jakieś niespokojne, kiedy padał deszcz. „Co za dzień! – myślałem. – Co za dzień...”

Rano – jak to często bywa po dużym deszczu – słońce przygrzewało mocno i powietrze było przyjemnie wilgotne.

Ojciec stał przy otwartym oknie, ubrany już, z rękami założonymi do tyłu. Palił papierosa. Odniosłem wrażenie, jakby czekał, kiedy się zbudzę. A ja, choć nie spałem już, leżałem przez dłuższą chwilę z przymkniętymi oczami, obserwując go nieznacznie. Wydało mi się, że jest bardziej przygarbiony, a może tylko w tym momencie pochylił się nieco? Nie wiedziałem, jak mam się zachować, co powiedzieć. Ale jak długo można udawać, że się śpi, kiedy tak nie jest?

– Dzień dobry! Ale pogoda! – powiedziałem głośno, możliwie najwesелей, choć sam usłyszałem w tych słowach coś podejrzanie sztucznego.

Odwrócił się do mnie. I choć nie uśmiechał się teraz, była to już ta sama twarz, którą dobrze znałem. Może tylko oczy jakieś takie...

– Dwa słowa, Jurek! – powiedział. – Po pierwsze, przykro mi, że przeze mnie tak bardzo zmokłeś, pewno denerwowałeś się i... no, tak. Krótko mówiąc – przepraszam cię...
– Tatusiu, przecież ja wczoraj... – chciałem powiedzieć o Elżbiecie, o tym, że zmokłem już wcześniej, kiedy biegliśmy z nią przez największy deszcz. Chciałem przerwać mu jakoś, żeby nie mówił w ten sposób, żeby nie mówił do mnie tak, jakbym to ja miał go usprawiedliwiać.
– Nie przerywaj mi! Wiem, co myślisz, Jurek... – mówił spokojnie. – Ale trudno, muszę cię przeprosić. I teraz druga sprawa: umówmy się, że to zostanie między nami, dobrze?
– Tak! – powiedziałem, choć szczerze mówiąc, niezupełnie zdawałem sobie sprawę, o co właściwie ojcu chodzi. Mruknąłem, nie bardzo chyba z sensem: – Nic się nie stało... taki tam deszcz...
Uśmiechnął się jakoś smutno i już bez słowa wyszedł. Skoczyłem do okna i kiedy ojciec pokazał się na ulicy, zapytałem, dokąd idzie.
– Na kopalnię, na parę godzin... Coś się tam zepsuło na moim oddziale...
– Przecież masz urlop, nie? A ciągle siedzisz na kopalni, całymi dniami...
– Jest mała awaria! Muszę tam być... A zresztą – co tu mam do roboty?
Zrobiłem sobie śniadanie i jadłem powoli. Różne myśli przychodziły mi do głowy. Nie mogłem się ich pozbyć, wracały natrętnie. Ojciec zachowuje się inaczej niż dawniej. I jeszcze ta wczorajsza historia... Co on przede mną ukrywa?
Powiedział, że ma zmartwienie. No... nie powiedział, ale to chyba jasne, tak zrozumiałem. Czy to chodzi o pracę, o coś tam na kopalni? A może... może mama gorzej się czuje, może coś się z nią stało?
Jak to właściwie jest z tą chorobą mamy? Co to w ogóle za choroba, czy coś poważnego? Ale przecież ten wyjazd do sanatorium wynikał jakoś tak nagle, tuż przed wakacjami. Przysłała list, już tak dawno, że dwa tygodnie temu. A ja nawet się nie spytałem, co było w tym liście. I sam też mi nic o nim nie powiedział... Trzeba napisać do mamy! Dziś jeszcze albo jutro. Spytam ojca o adres i napiszę! – postanowiłem.
Na ulicy pełno było śladów wczorajszej burzy i całonocnego deszczu. Gdzieś tam leżały poobrywane przez wiatr gałęzie, we wgłębieniach stały jeszcze kałuże, rynsztoki zamulone były błotem, liśćmi.
Na moście spotkałem Irkę, niosła coś ze sklepu. Chciałem ją wyminąć bez słowa, ale zatrzymała się i sama zagadała:
– Zenek przysłał list i zdjęcia... Przyjedzie za dwa albo trzy dni, wiesz?
– Już? – zdziwiłem się. – Tak szybko?
– Szybko? Przecież już sierpień... Dziesiąty. Może tylko tobie tak szybko czas leci!
Popatrzyłem na nią, ale nie chciało mi się nic odpowiadać.
– Jurek... mogę ci już oddać książkę, tego „żółtego tygrysa”...
– To oddaj. Przeczytałaś?
– Oddaj! Kiedy? Ciebie teraz nigdy w domu nie ma...
– Eeetam! Gadanie! Przynieś wieczorem...–i chciałem odejść, ale Irka wyciągnęła przed siebie dużą torbę, którą niosła.
– Chcesz jabłko? Właśnie kupiłam, bardzo dobre...
– No, daj... Można dwa?
– Weź dwa! – uśmiechnęła się. A po chwili:
– Jurek, chciałam ci powiedzieć, że ten żołnierz to był syn ciotki... On tu na Śląsku służy, za Katowicami. Na przepustkę przyjechał.
– Jaki żołnierz?
– Nie pamiętasz? No, ten na odpuście, przy strzelnicy...
– Ach, ten strzelec wyborowy! – przypomniałem sobie. Po co ona to mówi?
Wzruszyłem ramionami.

– No i co z tego, że syn ciotki?
– Nic. Chciałam ci to powiedzieć... Żebyś wiedział.
– A co mnie to może obchodzić? Zastanów się, co ty pleciesz?
Posmutniała jakoś, a może zmieszała się, bo opuściła głowę.
– Irka... A gdzie Zenek teraz jest? Przecież z obozu powinien wrócić w końcu lipca, nie?
Ożywiła się trochę, ale spojrzała na mnie jakoś nieufnie.
– To ty nie wiesz? Do ciebie ani razu nie pisał? Niemożliwe...
– Możliwe. Dlaczego niby miał pisać? O obozie harcerskim opowiadać? A co tu jest do pisania z obozu? Do domu to jeszcze. Pisze się o pieniądze...
– Właśnie...
Zdziwiło mnie to wszystko. Coś wie, ale nie chce powiedzieć. Co ten Czarny zrobił?
– Mów, bo mi się śpieszy... Więc gdzie on jest? Gdzie pojechał z obozu?
– Oficjalnie to on jest na jakimś kursie harcerskim. Pisał w połowie lipca, żeby matka mu posłała pięćset złotych, to po obozie pojedzie jeszcze na trzy tygodnie na kurs... No i posłała.
– Co to znaczy oficjalnie? A nieoficjalnie? Co ty właściwie kręcisz?
– Domyślam się czegoś... Ale nie chcę mówić. Niech ci sam powie, jak przyjedzie.
Tacy przecież jesteście przyjaciacie! – skrzywiła się ironicznie. – Przyjaciacie! A nic nie wiesz...
Rozzłościła mnie smarkata. Co ona zmyśla?
– Możesz być spokojna, że wszystko opowie! I nie zwracaj mi głowy!
Po paru krokach usłyszałam:
– Jurek! Dlaczego my się zawsze kłócimy? Przecież...
– Bo głupia jesteś! – krzyknąłem. – Głupia gęś!
Elżbietę spotkałem w parku przy kortach tenisowych. Wracała już znad stawu. Przystanęła, założyła ręce z tyłu i patrzyła na mnie groźnie. Zaśmiałem się:
– Wiesz co? Wyglądasz dokładnie tak samo, jak Parasol!
– Jak co?
– Kto, a nie co. Parasol, uczył geografii i historii. Zawsze nam różne dziwne rzeczy opowiadał. A kiedy pytał na stopnie, to stawał właśnie tak, jak ty teraz... Tylko że on jest prawie łysy!
– Ty też zaraz będziesz łysy, zobaczysz! Wszystkie włosy ci wyrwę... Dlaczego się spóźniasz? Właśnie dzisiaj! Czekam dwadzieścia minut...
– No, to masz za to jabłko! – powiedziałem i wyjąłem z kieszeni to drugie, które wzięłem od Irki.
Elżbieta była jakby trochę blada, może nie wyspana. A może przeziębila się wczoraj?
Spytałem o to. Potrząsnęła głową.
– Płakałam rano. Przez ciebie! Prawie godzinę...
– Przeze mnie? Co ty mówisz?
– Chodź na korty, usiądziemy i popatrzymy, jak grają... Potem ci opowiem...
Sporo dziś było chętnych do tenisa, jak nigdy. Właściwie te nasze korty przeważnie stały nie wykorzystane. W Górniku była niby sekcja tenisowa, ale należało tam tylko parę osób, tak samo jak i do szermierczej. To trudne dyscypliny, latami całymi można ćwiczyć i do niczego nie dojść. Gruby próbował kiedyś szermierki, ale mu szybko wytłumaczyli, że refleksu nie ma. Ojciec podobno dawniej trochę grał w tenisa, tyle mu z tego pozostało, że nauczył mnie, jak się liczy punkty. Też się to przydaje, bo przynajmniej człowiek wie, która strona wygrywa, i nie patrzy na kort jak na malowane wrota. Na dwóch kortach grali już, kiedy weszliśmy. Na trzecim zakładano siatkę. Dwaj chłopcy technikum, znałem ich trochę z twarzy, mocowali się z korbką do naciągania linki. Skrzypiała niemożliwie. Jakaś dziewczyna

przy ławce zdejmowała sweter... Dopiero kiedy odwróciła się, poznałem ją i parsknąłem głośno.

Boruńska, z naszej klasy. Też się tenisistka znalazła! Zobaczyli nas i wymienili ze sobą parę słów. Boruńska podeszła po chwili, kiedy usiedliśmy już na sąsiedniej ławce.

– Przepraszam... Jurek, czy ona gra? – wskazała głową na Elżbietę. – Brak nam dziewczyny do miksta!

– Do miksta! Od kiedy tak się fachowo wyrażasz? A co to w ogóle jest mikst? – śmiać mi się z niej chciało, ale i zły byłem, że tego nie wiem.

– To jest gra mieszana, parami... – wyjaśniła Elżbieta. – Trochę gram, ale...

– To chodź, zagrasz z nami! – zawołał jeden z tych chłopców z technikum. Uporali się wreszcie z korbką, siatka była już rozpięta. – Mamy zapasową rakietę, tam leży...

– Ona nie ma czasu... – mruknąłem, trochę rzeczywiście niemądrze, ale nie chciałem, żeby z nimi grała. A ja co, będą siedział? A zresztą mieliśmy pogadać...

– Dlaczego nie mam czasu? – zdziwiła się Elżbieta. – Co ty pleciesz?

– Pewno zazdrosny! – powiedziała Boruńska.

„Idiotka – pomyślałem o niej ze złością. – Po cośmy tu przyszli?”

– No, to graj, jeśli chcesz...

– Dziękuję za pozwolenie! – uśmiechnęła się Elżbieta, dygnęła przede mną przesadnie, wzięła z ławki rakietę i wbiegła na kort.

Boruńska obejrzała się za nią i powiedziała do mnie po cichu:

– Fajna dziewczyna, wiesz. Gdzieś taką poderwał? I to kto – ty?! Świat się zmienia...

A Hanka Karbowska dwa lata za tobą biegała i nawet tego nie zauważyłeś, co?

– Wypchaj się swoimi uwagami! Tenisistka! Graj, jak masz grać...

11

Kilka już razy łąpałem się na tej myśli, ale dopiero teraz, kiedy patrzałem, jak oni grają, i miałem dużo czasu, zacząłem zastanawiać się nad tym. Taka Boruńska na przykład. Czy ja ją znałem? Gdyby ktoś kazał mi opowiedzieć o niej, czy skleciłbym więcej niż trzy zdania? Tak samo o innych kolegach z klasy. Spotykaliśmy się na kilka szkolnych godzin przez siedem lat. I nic o sobie nie wiemy. Mama czasem pytała mnie o klasę, co w niej słychać, o kolegów. Coś tam zawsze opowiadałem, ale to były takie rzeczy, których już następnego dnia się nie pamiętało, a co dopiero po miesiącu albo po roku. W szkole to każdy właściwie zna tylko parę osób. Mógłbym teraz wymienić kilka takich dziewczyn z klasy, chłopaków również (ale mniej), z którymi, jak się tak zastanowić, to całymi miesiącami w ogóle nie rozmawiałem. Aż trudno w to uwierzyć, ale nawet więcej niż miesiącami.

Boruńska... Dałbym sobie głowę uciąć, że w siódmej klasie nie powiedziałem do niej nawet jednego słowa. Ani ona do mnie. W szóstej... a może w piątej. Czarny jej w drzwiach nogę podłożył i była awantura... Dlaczego to zapamiętałem? Bo Czarnego wezwali do kierownika, tylko dlatego. Gdyby to nie Zenek zrobił, a kto inny, pewno już po dwóch dniach bym o tym nie pamiętał. Tyle o Boruńskiej. I że siedziała od okna. Aha! Jej ojciec jest milicjantem... Co jeszcze? Napisała raz takie głupie wypracowanie o grzybach, że cała klasa ryczała ze śmiechu...

Kiedy w połowie lipca przyjechałem ze wsi od wujka, martwiłem się, że sam przesiedzę wakacje. Sam, to znaczy, że nie będzie Zenka ani Zbyszka, ani Grubego. Poza tym mogła na miejscu być nawet cała klasa, a ja i tak uważałbym, że jestem sam. Czy przyszłoby mi do głowy na przykład iść do Boruńskiej i spytać: „Boruńska, pójdziesz może nad staw?” Nigdy do niej nie mówiłem po imieniu, zawsze tylko po nazwisku. Z większością klasy byliśmy po nazwisku.

A przecież dla tych dwóch chłopaków z technikum to ona nie jest wcale jakaś tam Boruńska, która siedzi od okna, tylko... Może dla któregoś z nich jest nawet tak bardzo ważna, jak dla mnie Elżbieta? Przecież to ładna dziewczyna... A tam, w klasie, nikt tego nie zauważył. Więc co, przez te jedne wakacje tak się zmieniła? Na pewno nie. A może to jest również bardzo miła dziewczyna, miłsza od innych? I jakoś nie wiedziało się o tym, to znaczy, ja nie wiedziałem. Dziwne to wszystko. Nie chodzi o Boruńska, bo z innymi też tak jest. Więc każdy z nas jest dla różnych ludzi zupełnie kimś innym? Dla jednych jest, dla drugich w ogóle go nie ma? Albo: dla kogoś był i przestał być, zniknął, zapadł się w ziemię... Jak dla mnie teraz

Zbyszek. A Boruńska – nie było jej i nagle jest: gra z Elżbietą w tenisa, rozmawiają, śmieją się razem. Więc jest i dla mnie.

Dlaczego to tak jakoś dziwnie... Czy tylko ja mam takie myśli, czy innym też one przychodzą do głowy? Takie i różne inne, o tylu różnych sprawach, o których nigdy nie mówiło się w szkole ani w domu, ani w ogóle nie mówi się z nikim...

– Nie nudzisz się, Jurek? Może zły jesteś?

To mówi Elżbieta. Stoi przed ławką, na której siedzę, macha rakieta, zgrzana cała i wesoła. Uśmiechnąłem się:

– Nie... dlaczego? Tak sobie myślę...

– O kim?

– Zastanawiam się, dlaczego płakałaś rano...

– Eee, nie warto mówić! Ciotka mi zrobiła awanturę, że włóczę się po nocach, podczas burzy, nie wiadomo gdzie i z kim...

– Zbyszek nie poskarżył, z kim?

– Nie, widocznie nie. On teraz buduje akwarium, zakłada hodowlę rybek. Ma zajęcie!

Do mnie w ogóle się nie odzywa, to lepiej. Ale ciotka wpadła w histerię! Więc rano specjalnie płakałam. Żeby jej się zrobiło żal...

Z głębi kortu Boruńska zawołała:

– Elżbieta! Zagrasz jeszcze?

– Zmęczyłam się trochę. Niech oni teraz sami zagrają! Chodź, Jadziu, siadaj z nami...

„No, proszę... Już się znają lepiej niż ja z Boruńska! – pomyślałem. – A za chwilę okaże się, że Boruńska znam lepiej od Zbyszka... Więc po co było te siedem lat? Śmieszne to wszystko jakieś, zmienia się tak szybko, że nadażyć nie można...”

– Witek dobrze gra, prawda? – powiedziała Boruńska takim tonem, jakby chciała się tym pochwalić.

– Który to Witek? – spytałem.

– Ten z lewej... Nie pamiętasz go? Dwa lata temu wyszedł z naszej budy.. Zawsze mówił wiersze na akademiach, pamiętasz? Chciał być aktorem...

– Aha... – mruknąłem, ale zupełnie nie mogłem go sobie przypomnieć ze szkoły. Nigdy nie słuchałem wierszy na akademiach, graliśmy wtedy z chłopcami w szewca albo w okręty. Dopiero jak rozlegały się oklaski, to przyłączyliśmy się do nich i głośno wołali: „bis!”

– A co on teraz robi?

– Chodzi do Dąbrowy Górniczej, do tego dużego technikum. Też tam pójde od września...

– Jakie to technikum? – spytała Elżbieta.

– Górniczo–hutnicze, idę na wydział mechaniczny.

Popatrzyłem na Boruńska z niedowierzaniem. Pewno dlatego tylko idzie, że tam jest ten chłopak... Ona na mechaniczny?

– Zula też tam, wiesz? Razem ze mną...

– Jaka Zula?

– Ciechomska... A Wanda Lipnik do Katowic, do Liceum Technik Plastycznych...
Zupełnie mnie to nie obchodziło, gdzie która z nich idzie. Ale trzeba było o czymś mówić. I przyszło mi do głowy, że ja nawet nie wiem, do jakiej szkoły Elżbieta będzie od września chodziła... Wyręczyła mnie Boruńska:

– A ty, Elżbieta?

– Do ogólniaka, do liceum...

Tamci dwaj też już widocznie zmęczeni się, bo przerwali grę i podeszli do nas.

– Co mówicie o liceum? – spytał któryś. – Wakacje są, a oni o szkole!

– Tak sobie mówimy... – powiedziała Boruńska. A po chwili do Elżbiety: – Gdzie ty mieszkasz? Ale na stałe...

– W Warszawie...

– W Warszawie? – zainteresował się Witek. – No, kto by pomyślał... Byłem tam dwa razy. Niezła dziura, nawet huta jest! Tylko tłok w tramwajach. I wszyscy się gdzieś śpieszą, nie wiadomo do czego... Raz to byłem na meczu. Polska–USA. Ładny stadion, prawie jak w Chorzowie!

– Chciałabym mieszkać w Warszawie... – westchnęła Boruńska.

Głupio się jakoś czułem, nawet nie wiem czemu. Może dlatego, że w ogóle nie zwracali się do mnie, tylko gapili w Elżbietę. A może i dlatego, że ona tutaj przy nich wydawała mi się jakaś inna niż wtedy, kiedy była ze mną albo z Grubym. I jeszcze ta Boruńska ze swoimi pytaniami. Najchętniej wstałbym i poszedł sobie, tylko nie wiedziałem, jak to zrobić. No... i nie wiedziałem, czy Elżbieta też wtedy pójdzie.

Była roześmiana, jakby cała ta głupia rozmowa bardzo ją interesowała i bawiła. Zachowywała się jakoś sztucznie... nie, to mnie się chyba tylko tak zdawało. Ale wiedziałem już na pewno, że nie lubię, kiedy koło niej są chłopcy starsi ode mnie. Tak jak złościło mnie zawsze nad stawem, ilekroć zaczepiał ją ktoś, zagadywał. Dlaczego ona bez przerwy się uśmiecha? Skończyłaby już tę rozmowę i poszlibyśmy stąd...

– Słuchajcie, mam pomysł... – powiedział nagle któryś z nich. – Chodźmy na lody, mam dwie dychy, starczy!

Wstałem, teraz już bez namysłu.

– To cześć! Ja muszę iść do domu...

– Dlaczego musisz? – spytała Elżbieta. – Jeszcze wcześniej...

– Może zostawił mleko na piecu i wykipiało? – zażartował Witek.

– O właśnie! – odpowiedziałem. – Coś koło tego... – i odszedłem.

Za furtką kortów dogoniła mnie Elżbieta. Przez chwilę szliśmy obok siebie bez słowa.

I nagle zaczęła się śmiać. Najpierw chichotała po cichu, jakby starała się powstrzymać, a potem wybuchnęła głośnym śmiechem. Przystanąłem. Ona też.

– Bo czkawki dostaniesz! Z czego się śmiejesz?

– Z siebie... I z nich też!

– Dlaczego z nich?

– Bo umówiłam się z nimi jutro na korcie. O dwunastej mamy zagrać...

– Aha... – zacząłem i zupełnie mnie zamurowało.

Podeszła bliżej.

– Jurek... głupi jesteś, wiesz?

– Nie wiedziałem... dziękuję!

Znowu zaczęła się śmiać.

– Proszę bardzo! Ale teraz już wiesz... Chodź! – pociągnęła mnie za rękę. – Pójdziemy tędy, przez park...

A po chwili, kiedy dochodziliśmy do groty z wodospadem, Elżbieta powiedziała:

– Wiesz, gdzie będziemy jutro o dwunastej? Pojedziemy na rowerach do zamku. Możemy wziąć ze sobą Grubego... Albo nie. Pojedziemy sami. A może spotkamy tam Kazika?

– Jakiego znowu Kazika?

– Wielkiego. Przecież to on zbudował zamek w Borzechowie. Kazimierz Wielki.

Przynajmniej tak się uczyłam!

‘– No, to dobrze się uczyłaś... – mruknąłem i uśmiechnąłem się, chociaż wcale nie chciałem tego zrobić. Ale jakoś nie mogłem się powstrzymać.

Usiedliśmy na jednej z ławek niedaleko grotu. Widać ją stąd było, może to nawet ta sama ławka, na której wczoraj siedzieliśmy z Grubym? Elżbieta myślała widocznie o tym samym...

– Słuchaj, Gruby mi mówił, że to było tak: Zbyszek wyszedł z tej dziury, a ty spytałeś, gdzie ja jestem. I on ci wtedy skłamał, że wyjechałam. Tak?

– No, tak... Dlaczego pytasz?

– Powiem ci, tylko się nie śmieję... Nie będziesz się śmiał? Bo ja zawsze wieczorem, kiedy mam już zasnąć, to sobie przypominam różne takie rzeczy, które się wydarzyły... i rozmowy też... Oczy mam już zamknięte, ale wszystko widzę, jak na filmie. To, co chcę zobaczyć. Czy to jest śmieszne?

– Nie. Ja też tak robię... Ale nie zawsze. Przeważnie od razu usypiam. Gruby też może usnąć w jednej minucie, o każdej porze dnia. Ojciec mówił, że to mu się w wojsku przyda! Elżbieta...

– Co?

Ale nic nie powiedziałem. Ona też zamyśliła się przez chwilę. Podniosła jakiś kamyk, rzuciła przed siebie, wzięła z ławki ostrugany z kory patyk, który pewno jakieś dziecko tu zostawiło, zaczęła go oglądać.

– Dziwne to...

– Co jest dziwne?

– Wszystko... Wiesz dobrze. A jak się czyta o tym w książkach, to inaczej wygląda. Albo na filmach... Czy ja wiem zresztą? A może nie inaczej...

– Pamiętasz, jak wczoraj biegliśmy przez tę burzę? – odważyłem się spytać. – Jak najpierw czekaliśmy w tej bramie... I potem...

– Nie mów. Dobrze wiem, co pamiętasz...

– Gniewasz się o to?

– Nie...

Kreśliła patykami jakieś koła na żwirze, kwadraty, zygzaki. Długo nie podnosiła głowy. Siedziała tak, jakby mnie tu zupełnie nie było. Dlaczego? Nie rozumiałem jej, dziwne są dziewczyny.

– Ela... – zacząłem i urwałem nagle, bo spojrzała na mnie prawie ze złością.

– Co ci do głowy przyszło? Nie mów do mnie Ela. Nigdy tak nie mówiłeś, to i nie mów! Ela... Eluniu... „Elu, włóż sweter, bo zimno!” „Eluńku, zczesz inaczej włosy, do szkoły tak nie wypada...” „Ela! Jak się wyrażasz? Używasz słów jak chuligan. Co to znaczy: wyłożyłam się na matmie? Chciałaś powiedzieć: dostałam dwójkę, bo nie umiałam lekcji, tak?”

„Eluchna, zmyj naczynia po obiedzie...”

– Kto tak mówi? – przerwałem jej.

Trajkotała jak pistolet maszynowy robiąc przy tym śmieszne miny.

– Mama tak mówi. A ojciec mówi na mnie „Elek” albo po prostu Elka to, Elka tamto...

– A chłopcy?

– Jacy chłopcy?

– No, tam u was w klasie... koledzy...

– Nie wiesz, jak do nas mówią chłopcy? Kłaniają się nisko, mówią zawsze „dzień dobry, panienko”, „dziękuję, droga koleżanko”, „czym mogę służyć, mój aniele”. Takie słowa, jak: „płyn stąd, idiotko!”, to my znamy tylko z książek, oczywiście. No, nie? A u was tutaj to chłopcy są może inni, co?

– Jak chcesz, to mogę ci mówić „mój aniele”...

– Obejdzie się! – wstała z ławki i nagle zaczęła zdejmować sandały.

– Co ty robisz? – zdziwiłem się.

– Zajrzę do tej groty... Dobrze? Co tam jest właściwie?

Podeszliśmy do sadzawki.

Krok po kroku przechodziła ostrożnie przez wodę. A ja stałem na ścieżce i znowu, tak jak wczoraj, patrzyłem na czubki drzew, poruszające się lekko, na przepływające chmury. Znowu po ścieżce skakał jakiś wróbel, a po kamieniach groty spływała powoli woda nikomu niepotrzebnym wodospadem. Ale dziś patrzyłem na to wszystko inaczej i wszystko było inne. Więc nawet to samo za każdym razem jest zupełnie czymś innym?

Elżbieta zajrzała do groty, ale szybko cofnęła się.

– Nie! Nie wchodzę... tam jest okropnie ciemno! Sama to się boję... – i zawróciła.

12

To był dobry dzień, dopóki nie przyniósł wieczoru, a wraz z nim mojego pytania.

Zwykle przecież pytanie o adres mamy...

Po kolacji wyjąłem jakiś nie zapisany zeszyt, wziąłem kopertę i długopis, usiadłem przy stole. Ojciec nie pytał, co robię, czytał książkę, „żółtego tygrysa”. Widocznie Irka odniosła, kiedy byłem na strychu, żeby sypnąć trochę ziarna gołębiom. Mało się nimi ostatnio zajmowałem, chyba więcej ojciec tam zachodził. „A może Elżbiecie kiedyś je pokazać? – przyszło mi nagle do głowy. – Wykluły się małe, dziewczyny to lubią takie rzeczy... Tylko czy będzie chciała przyjść?” Zabrałem się do listu.

Co by tu można napisać? Po kilku zdaniach zabrakło mi pomysłów. Jak się samemu wyjeżdża, łatwiej pisać do domu. Ale kiedy człowiek siedzi w domu, o czym pisać w liście? Jeszcze jedno, jeszcze dwa zdania, kartka wypełniła się powoli.

– Daj mi kopertę z adresem! – powiedziałem. – Z adresem tego sanatorium, gdzie mama jest...

Ojciec odłożył książkę i patrzył na mnie przez chwilę.

– Co ty chcesz?

– Kopertę. Od tego listu, co mama przysłała...

– A po co ci koperta?

– No, przecież widzisz, że napisałem list! Chcę zaadresować...

– Aha! Chcesz adres... – mruknął ojciec, jakby dopiero teraz zrozumiał, o co mi chodzi.

Sięgnął do kieszeni, potem do drugiej... – Masz!

Wziąłem kopertę do ręki, odwróciłem, żeby spojrzeć tam, gdzie adres nadawcy. Przeczytałem go szybko i wtedy... Przeczytałem jeszcze raz, głośno, słowo po słowie, nie mogąc uwierzyć, że jednak się nie myłę.

– Jak to? Przecież to jest adres ciotki Wandy, tak? To mama nie pojechała do sanatorium? Ty wiedziałeś o tym?

Ojciec zmieszał się. Nie patrząc na mnie, wyciągnął rękę po kopertę.

– Wiedziałem... Jest u ciotki Wandy. Ale przecież ciotka mieszka w Otwocku!

W sanatorium czy u ciotki to wszystko jedno... To samo powietrze, nie?

– A mówiliście, że jedzie do sanatorium. Dlaczego?

– Przepisałeś już? To oddaj...

– Pytam, dlaczego tak mówiliście? Czy mama jest chora na płuca? To coś powabnego?

– Tak, na płuca... niepoważnego... Odpocznie trochę, w lepszym powietrzu niż tutaj u nas... Nie martw się!

– A kiedy przyjedzie? Kiedy wróci?

Ojciec spojrział na mnie. Patrzył tak przez chwilę i wreszcie powiedział cicho:

– Nie wiem... Może za miesiąc, dwa... No, za jakiś czas...

Wstałem od stołu. Wziąłem do ręki kartkę, którą przed chwilą napisałem, i podarłem ją.

– Co ty wyprawiasz? – spytał ojciec ostro.

– Nic. Napiszę inny... Jeśli nie jest w sanatorium, to napiszę inny. Ten nie pasuje...

Wyszedłem do kuchni, żeby wyrzucić skrawki listu. I nagle poczułem jakiś lęk. Co on przede mną ukrywa? Wyjechała niby do n sanatorium, wszystkim o tym głośno mówili. A mieszka u ciotki Wandy... Prawda, że powietrze jednakowe w całym Otwocku, ale... o co tu chodzi? Poczułem się tak, jakby wisiało coś nade mną, coś niedobrego. Bo przecież dobrych wiadomości nie ukrywa się przed nikim.

Kiedy wróciłem do pokoju, ojciec znów czytał książkę. Spytałem więc jak najspokojniej:

– Słuchaj... a co mama pisała do ciebie, no – w tym liście?

– Nic szczególnego... głównie o tobie. Jak sobie dajemy radę i tak dalej. Przesyłała ci ucałowania... Mówiłem już chyba?

– Nie! – odpowiedziałem. – Nie mówiłeś o tym liście ani jednego słowa!

Jakby nie słyszał tej uwagi. I na tym skończyła się rozmowa, w ogóle nie rozmawialiśmy już tego wieczora o niczym. Ale cisza panująca w mieszkaniu była jakaś napięta, zbyt dużo wisiało w niej nie zadanych pytań, nie dopowiedzianych słów. Minuty rozciągają się w takiej ciszy w całe kwadransy trudne do zniesienia.

Wstałem rano bardzo wcześnie. Obudziłem się już po szóstej i nie mogłem zasnąć. Więc wstałem i ubrałem się po cichu. Ojciec jeszcze spał.

Poszedłem do kuchni, zamknąłem za sobą drzwi i napisałem długi list. Sam byłem zdziwiony, że aż tak długi. Nigdy przecież nie umiałem pisać listów większych niż na dwie strony z zeszytu. Nie było jeszcze ósmej, kiedy znalazłem się na poczcie, musiałem parę minut poczekać, zanim otworzą okienko. Nadałem ten list jako ekspres. Za pięć, sześć dni powinna być odpowiedź... co napisze do mnie? Co mi odpowie na te wszystkie pytania? Kiedy wróciłem do domu, ojciec jadł śniadanie. Był w dobrym humorze albo tylko udawał.

– Zaraz zabieram się do prania! – powiedział wesoło. – Kilka koszul już czeka... Zjedz coś i pójdziesz do sklepu po proszek. A gdzie byłeś teraz?

– Na poczcie, wysłałem list.

– Tak? To dobrze... A ja już myślałem, że z tą dziewczyną spotykacie się tak wcześnie rano...

Po co to powiedział? Nigdy dotąd nie wspomniał słowem o Elżbiecie. Więc dlaczego właśnie teraz to powiedział? Chyba nie po to, żeby dać mi odczuć, że każdy ma swoje tajemnice i że ja też nie wszystko mu mówię, a jednak on nie pyta... Nie, bzdura. Skąd mi to przyszło do głowy?

– Z Elżbietą? Nie. Z nią i z Grubym spotykamy się zawsze o dziesiątej, nad stawem...

– Rozumiem... – i ojciec uśmiechnął się. – Właśnie był tu Gruby i mówił, że wczoraj cały dzień cię nie widział. Przynieś ten proszek do prania i idź do niego... Czeka na ciebie w domu!

Ulica Polna, przy której mieszkał Gruby, nie bez powodu tak się nazywała. Była to ostatnia ulica przed wzgórzami kamionki, na samym skraju miasta. Nie wiem, czy choć raz na miesiąc pokazywało się tu jakieś auto, gromady małych dzieci bawiły się zawsze na środku jezdni.

Gruby siedział na krawężniku przed swoim domem i co chwilę rzucał przed siebie spory kamień, który jego zwariowany pies momentalnie mu odnosił. Wiedziałem, że mogą się tym zajmować i pół dnia, bo pies był niezmordowany. Podniosłem więc z ziemi jakiś patyk

i krzyknąłem:

– Fiołek, do mnie! Hop! No – hop!

Patyk trzymałem nie wyżej, jak metr od ziemi, ale wilczur nie chciał przeskoczyć.

Podbiegł, machnął parę razy ogonem, ale nie skakał.

– Dobrze, że jesteś! Nareszcie... – mruknął Gruby.

– Słuchaj, jak to jest z tym twoim psem? – zastanawiałem się. – Kiedyś gonił kurę

i przeskoczył za nią prawie dwumetrowy płot... A przez patyk nie chce!

– Bo to jest mądry pies. Nie będzie bez powodu przez głupi patyk skakał... A ty byś

skakał na jego miejscu? Ale nie zagaduj mnie psem... Nie po to na ciebie czekam od godziny!

– Czekasz! Przecież sam się z nim bawiłeś, nie? – i usiadłem obok Grubego. – Czego się rzucasz?

– Nie bawiłem się, tylko odchudzam łobuza, bo ostatnio utył. Trzeba go trochę pogonić... I odczep się wreszcie od tego psa! Nic, tylko o psie mówisz!

Gruby był wyraźnie zły. Nie miałem pojęcia, co mu się mogło stać; ale nie pytałem.

I tak pytaniami nigdy nic nie można było z niego wyciągnąć. Trzeba czekać, aż sam powie.

– Taka jakaś głupia historia, wiesz? – zaczął wreszcie, – Wczoraj wieczorem spotkałem naszego starego... on tu obok mieszka, parę domów dalej...

– Jakiego starego?

– Naszego Parasola... Szedł z wiadrem po wodę, tam do studni. W palcie, rozumiesz?

Sierpień, a on w grubym palcie, z podniesionym kołnierzem. Podszedłem i mówię, że mogę mu przynieść tę wodę... A on jakiś taki dziwny, wiesz? Dopiero potem się domyśliłem, że ma gorączkę... Aż biła od niego!

– Trzeba było spytać, co mu jest! A nie domyślać się...

Gruby popatrzył na mnie i pokiwał głową.

– Ty bystry jednak jesteś... „Trzeba było spytać!”

Nie odzywał się przez chwilę, tylko zagapił w gromadę dzieciaków na środku ulicy.

Wreszcie wstał, ja też.

– No i co zrobimy?

– Ale z czym? Gadajże po ludzku! – rozżłościłem się,

– Bo widzisz, jak mu zaniósłem wiadro z wodą, to powiedział, że już tak leży parę dni...

I żebym rano zajrzał do niego, jeśli mam ochotę, bo może będzie chciał o coś poprosić...

On sam mieszka!

– Sam? Taki stary? Ile on może mieć lat właściwie?

– Dużo... Może siedemdziesiąt? Ale sam jest... Wiedziałeś o tym?

– A skąd? No, to chodź, zajrzemy tam! – i ruszyłem w stronę domu, w którym stary mieszkał. Ale Gruby wciąż sterczał w miejscu. Więc i ja stanąłem.

– Nie idź, to nie ma sensu... Ja już tam byłem przed chwilą. On jest prawie nieprzytomny. W ogóle nie zamknął się na noc, drzwi były otwarte, jak przyszedłem... Ciężko oddycha i ledwo coś mówi... Lekarza chyba trzeba! Co robimy?

Tyle wiedziałem, co i on. Na kopalni jest ambulatorium, ale lekarz kopalniany nie przyjdzie, bo leczy tylko pracowników. Pogotowia u nas nie ma, żeby można zadzwonić.

Zostaje chyba szpital? Teraz zrozumiałem, dlaczego Gruby od początku taki zły. Wpakowała nam się ni stąd, ni zowąd w ręce cudza sprawa, i to jeszcze taka. Kto lubi przykre sprawy?

A przecież wycofać się z tego chyba nie można...

Gruby pewno myślał o tym samym. Zaklął cicho i powiedział:

– Że też akurat go musiałem wczoraj przy tej studni spotkać...

I nagle poczułem się jakoś bardzo dziwnie. Spojrzeliśmy na siebie. Gruby zagryzł usta, ale tych słów nie dało się już cofnąć.

Byłem w lepszej sytuacji: powiedział to, co i ja pomyślałem, ale to on to powiedział...

Poszliśmy do szpitala. To było dość daleko, ale przez całe miasto nie odezwaliśmy się

już do siebie. Dopiero przed samym wejściem do szpitalnej przychodni Gruby pociągnął mnie za rękę i mruknął cicho:

– Jurek... nie tak to chciałem powiedzieć... Źle zrozumiałeś!

– Oczywiście, że nie tak chciałeś... – odpowiedziałem. I obydwaj wiedzieliśmy, że się okłamujemy.

Przy okienku, gdzie rejestrowali chorych – kolejka. Z pół godziny czekaliśmy, nikt nas nie chciał przepuścić. Wreszcie stanąłem twarzą w twarz z młodą pielęgniarką.

„Nazwisko... imię... wiek... adres...” – wyrzucała z siebie, jak maszyna. Gruby mi podpowiadał, wybrnęliśmy jakoś. I wtedy pytanie:

– Na co ten człowiek chory? Książeczkę ubezpieczalni proszę...

– O rany! – jęknął Gruby. – Przecież nie mamy książeczki...

– Co to znaczy: nie mamy? – podniosła głos pielęgniarka. – Nie zawracajcie mi głowy, bez książeczki nie rejestrujemy wizyt domowych! Następny!

Prosiłem, tłumaczyłem, że to ważne, że stary człowiek, nauczyciel. Kurczowo trzymałem się okienka, bo ludzie zaczęli mnie odsuwać. Ktoś z tyłu wołał, żebym nie zajmował miejsca. Zrobił się szum. Pielęgniarka wykrzykiwała:

– Wszystko mi jedno, czy piekarz, czy nauczyciel! Wszyscy muszą mieć książeczkę ubezpieczalni!

– Cholerna księżniczka! – powiedział głośno jakiś mężczyzna, który stał tuż za mną. – Wszystko jej jedno, czy nauczyciel... Jakby nigdy do szkoły nie chodziła!

Dosłyszała to. Aż wychyliła się z okienka.

– Pan jest pijany! – krzyknęła. – Proszę stąd wyjść!

To prawda, że trochę czuć było od niego alkohol, może piwo wypił, może nie tylko piwo. Ale na nim wszystko się skrupiło. Po chwili zjawiała się jakaś starsza pielęgniarka, nas w końcu załatwiono: lekarz miał przyjść około szóstej wieczorem. Tamtego mężczyznę wyproszono z poczekalni, w ogóle nie chcieli z nim rozmawiać. A przecież on też przyszedł po pomoc dla jakiegoś chorego...

– Popatrz, Jurek, sami ludzie go wyrzucili! – powiedział Gruby, kiedy wyszliśmy wreszcie. – Sami ludzie... A tylko dzięki niemu nam się udało!

Dłonie mi się trzęsły, patrzyłem na nie prawie wystraszony, nigdy dotąd nie zdarzyło mi się to. Odruchowo wsadziłem obie ręce do kieszeni, starając się powstrzymać to drżenie. Wstydzilem się go przed samym sobą. Było to dziwne uczucie, pierwszy raz mnie opanowało, zaskoczyło.

– No, tylko znowu nie przejmuj się za bardzo... Było, nie ma, koniec. Życia nie znasz?

Facet się jeszcze na niej odegra, nie on, to inny. Usadzą madonnę! Nie ma takiego kozaka, co... – i nagle Gruby roześmiał się w głos, – Jurek! To przecież właśnie Parasol tak zawsze mówił w klasie, nie? „Nie ma takiego kozaka, co by nie trafił na większego od siebie!” Szkoda dziadka, równy był...

– Zawsze mówiłeś, że stara piła... że ostry jak siekiera... – przypomniałem mu. – Więc teraz nie czaruj!

– Bo groźny, był... A ty niby nie bałeś się go?

Coś tam jeszcze Gruby mówił, ale nie słuchałem już. Przyszło mi do głowy, że w gruncie rzeczy nie tak wiele znów załatwiliśmy w tym szpitalu. Do wieczora jeszcze bardzo daleko. A jeśli Parasol nie może czekać na lekarza aż tyle godzin? Spojrzałem na zegarek – dochodziła jedenasta. Zaraz... już jedenasta? I dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że przecież Elżbieta czeka na mnie od godziny! Mieliśmy w południe jechać do ruin zamku... Więc co robić? Głupia sytuacja!

– Masz rację, że z tym lekarzem o szóstej wieczór to może i nie jest najlepiej! – zgodził się Gruby. – Ale co poradzimy? Zamówiliśmy wizytę do starego, to wszystko, co można zrobić... Lepsze to niż nic. Aha! Zapomniałem ci coś powiedzieć...

- Co znowu?
- Bo właściwie to ja już muszę cię zostawić, wiesz... Wybieramy się z matką do Sosnowca, ubranie kupować. Niedługo początek roku... nowa szkoła i w ogóle. Muszę mieć jakiś łach na grzbiecie, nie pójde w krótkich majtkach do technikum!
- Stanąłem jak wryty. Byłem wściekły. To on mnie teraz zostawi na środku ulicy i pojedzie do Sosnowca. Cwaniak! A co ja zrobię sam ze starym?
- Gruby! – zacząłem. – Bo jak ja cię...
- Jak Boga kocham, Jurek, muszę jechać! – zaklinał się. – Matka i tak już się pewno złości. Specjalnie wzięła zwolnienie z pracy na dzisiaj... No, muszę jechać! Przecież mi wierzysz, nie?
- Pewno, że wierzyłem. Ale głośno nie chciałem tego przyznać. Nie mogłem się pogodzić, że zostaję sam z całą tą sprawą, która i tak wyglądała chyba dużo gorzej i trudniej niż na początku. Dlaczego właśnie ja? On zaczął, a teraz wszystko spada na mnie. Ja też mam w końcu swoje własne zmartwienia. Przypomniała mi się wczorajsza rozmowa z ojcem i ten list do mamy, który rano pisałem. Tam znowu czeka Elżbieta... Jak nie przyjdę, co sobie pomyśli? A jeśli pójdzie na korty? Tak się przecież umówiła z tymi chłopcami i Boruńską. A ten sobie jedzie po ubranie jakby nigdy nic!
- To spływaj do swojego Sosnowca i daj mi święty spokój! – powiedziałem ze złością, może niepotrzebnie tak ostro. – Cześć!
- Jurek, ale zrozum... – zawołał za mną Gruby. – Przecież ja...
- Pocałuj mnie w nos!

13

- Postanowiłem iść nad staw, po Elżbietę. A gdyby jej tam nie było, zajrzeć na korty. Chyba wzięła ze sobą rower, więc potem ja skoczę po swój i pojedziemy do zamku. Dawno już nie byłem na górze zamkowej. Nie wiem czemu, ale najczęściej jeździliśmy tam z chłopakami wiosną, później w ciągu lata już nie, wszyscy woleli siedzieć nad stawem... Szedłem dość szybko, byłem przecież spóźniony dobrą godzinę. Ale koło kina zwolniłem, zaskoczyło mnie, że gromadzą się tam ludzie, ustawiła się już spora kolejka. Czyżby wreszcie skończyli remont i kino zaczyna działać? Podszedłem bliżej, rozglądając się, czy nie ma kogoś znajomego. Może kupiłby dla mnie bilety? Pierwszy raz poszedłbym z Elżbietą do kina... Jest ktoś, Kamiński.
- Znałem go trochę z SKS-u, graliśmy razem w kosza. On też przed wakacjami skończył naszą szkołę. Tyle że chodził do siódmej „c”, a my do „a”. Nie pamiętałem, jak mu na imię, więc mówię:
- Cześć, koszykarz! O której kasę otworzą?
 - Powinni zaraz... kasjerka wypije herbatę, umaluje się i pewno zacznie sprzedawać. Kupić ci?
 - Bo ja wiem... Ale nie dadzą ci tyle. Ja bym chciał dwa. A ty?
 - I tak już biorę cztery, dla całej rodziny. Dwa więcej, dwa mniej – jaka różnica?
 - Nie sprzedaje ci sześciu biletów...
 - Mnie? – Kamiński uśmiechnął się ironicznie. – Mnie nie sprzedaje, dobre żarty! A z kim idziesz? Z dziewczyną?
- Kiwnąłem głową. Postaliśmy chwilę, wreszcie Kamiński powiada nagle:
- Z Kozłowską, tak?
 - Co z Kozłowską? – spytałem, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.
 - Mówię, że pewno idziesz do kina z Kozłowską...
 - Zwariowałaś? – roześmiałem się. – Z Irką do kina? Co ci się przyśniło?
- Nie odpowiedział, studiując cennik biletów wywieszony na ścianie.

- Zdrożały, bo przerobili kino na panoramiczne... – mruknął.
Ale nie dałem się zagadać. Skąd mu Irka Kozłowską przyszła do głowy? I skąd on wie, że znamy się z Irką?
- A co, Kamiński, tak się nią interesujesz? To ty idź sobie z nią do kina, a nie każ mnie! Ktoś ci musiał głupstw nagadać...
- Może... Nieważne zresztą. Jak chcesz wiedzieć, to ona sama koleżankom opowiada, że za nią latasz...
- Wariatka! – powiedziałem.
Nie byłem nawet zły, śmieszyło mnie to tylko. I śmiać mi się z niego chciało, że tak poważnie o tym mówi i najwyraźniej jest speszony.
Z domu naprzeciw kina rozległ się z otwartego okna hejnał mariacki przez radio.
- O rany, już dwunasta? – prawie wystraszyłem się. – Tak późno?
I wtedy właśnie przypomnieli mi się równocześnie oni obydwój: Elżbieta, która już teraz pewno gra w tenisa z tamtymi chłopcami z technikum, i Parasol, czekający w mieszkaniu... Chociaż nie. On przecież nawet nie czeka! W ogóle stary nie wie, że zamówiliśmy do niego lekarza. Przyjedzie o szóstej wieczorem,. Dopiero za sześć godzin!
To strasznie długo...
- Kamiński, wiesz co? Nie chcę biletów... – rozmyśliłem się. – Nie mogę iść do kina!
- No, co ci się stało?
- Widzisz, bo właściwie to ja szukam lekarza... Nie wiesz, skąd by go wziąć? Potrzebuję lekarza, ale szybko i za darmo! Masz jakiś pomysł?
- Mój brat... Ale co on tam za lekarz? Zobacz: jak mi wczoraj wyrwał zęba, to mi cała gęba spuchła! I boli mnie ciągle... Kiepski dentysta. Nikomu nie radzę do niego iść. Rzeczywiście, mocno był spuchnięty.
- Dentystą to ty się możesz wypchać! No, to klops... – zmartwiłem się. – Już chyba nic nie wymyślę. Musi jednak czekać do wieczora, trudno...
- A o co chodzi? Stoisz tu pół godziny i nagle taki alarm. Kto jest chory? – pytał Kamiński.
Opowiedziałem mu całą historię. Parasol u nas był od trzech lat wychowawcą, ale ostatecznie w ich klasie też uczył. Więc pomyślałem, że może by teraz Kamiński trochę się tym wszystkim zajął, poszedł tam do Parasola albo co. A ja poleciałbym do Elżbiety... To była niezła myśl, ale nie powiedziałem tego głośno, jakoś mi jednak głupio było tak powiedzieć.
- Kamiński skrzywił się niechętnie.
- Faktycznie, dzika sprawa... Wpakowałeś się. I że to akurat chodzi o niego!
- Nie rozumiem.
- Nie lubię Zabelaka... Wy mówiliście na niego Parasol, tak? Co się tak patrzysz?
Powiedziałem, że nie lubiłem go, zwyczajnie... Jednego nauczyciela się lubi, innego nie.
- No i co z tego, że go nie lubiłeś?
- Otwarto właśnie kasę, kolejka zafalowała i ruszyła do przodu. Ale szybko szło. Po paru minutach Kamiński wrócił z biletami. Nie wiem, po co na niego właściwie czekałem, przecież dla mnie nie kupował. Zwinął w harmonijkę pasek biletów, schował do kieszeni i patrzył na mnie. Jakby się nad czymś zastanawiał.
- Niby i racja: co z tego, że go nie lubiłem – powiedział wreszcie. – Chodź na kopalnię!
- Po diabła znowu na kopalnię? – zdziwiłem się. – Po co?
- Głupka udajesz czy jak? Po co! A o czym my tu cały czas mówimy? O lekarzu, nie? Idziesz? Czy mam sam iść?
- Poszedłbyś sam? – ucieszyłem się i chyba to zauważył, bo uśmiechnął się ironicznie i wzruszył ramionami.
- A dlaczego nie? Tylko podaj adres, gdzie stary mieszka.

– Idę z tobą! – powiedziałem ze złością i odeszliśmy sprzed kina.

Byłem zdumiony, jak on to załatwiał, ja bym tak nie potrafił. Od początku sądziłem, że wyrzucą nas stąd lada moment, i to z wielkim hukiem. Nigdy właściwie dotąd nie musiałem nic załatwiać, może dlatego wszystko wydawało mi się takie bardzo trudne? Opłacić w szkole składki na komitet, iść na pocztę albo do sklepu... Co jeszcze? Takie rzeczy umiałem, ale to były śmieszne głupstwa. Mama też nigdy nic poważniejszego nie załatwiała, od tego mieliśmy ojca. Już dawno uwierzyłem, że on wszystko umie i zawsze musi sobie z każdą sprawą dać radę. Bardzo wygodnie było w to wierzyć. A teraz stałem cicho w kącie poczekalni kopalnianego ambulatorium i zazdrościłem, że to nie mnie tak gładko idzie, tylko Kamińskiemu.

Przecisnął się przez ludzi, oparł o barierę za którą urzędowała pielęgniarka, powiedział bardzo głośno: „Dzień dobry! – i od razu wszyscy na niego zwrócili uwagę.

W poczekalni u lekarza ludzie zawsze mówią półgłosem, jak w kościele. Zwykle „dzień dobry” Kamińskiego zabrzmiało niecodziennie, jak gong, i zrobiło wrażenie. Największe chyba na mnie.

– Dyrektor kopalni mnie przysłał. Pilna sprawa do pana doktora! W którym pokoju? Zdrętwiałem w swoim kącie pod oknem. Kłamię bezczelnie... Jak on potem z tego wybrnie?

– A co się stało? Pan dyrektor Chruszczewski zachorował? – ożywiła się pielęgniarka. Ludzie czekający w kolejce też.

Kamiński rozejrzał się i zrobił minę, z której moim zdaniem zupełnie nic nie wynikało. Potem odchrząknął i poprawił sobie włosy, co też nic przecież nie znaczyło. Ale pewno każdy zrozumiał to na swój sposób, tak jak chciał, i wszyscy byli zadowoleni z odpowiedzi, która nie padła. Pielęgniarka wskazała jakieś drzwi, Kamiński znowu bardzo głośno powiedział: „Dziękuję, można wejść?”, i bez wahania wszedł, a w poczekalni wszystko wróciło do poprzedniego stanu: pielęgniarka półgłosem dyrygowała ludźmi, a ci przepychali się z jakimiś karteczkami, receptami i prawie szeptem kłócili o to, kto przyszedł wcześniej. Po paru minutach z pokoju wyrzwał lekarz i zarządził:

– Niech pani zadzwoni do dyspozytora, żeby przysłał samochód! Zerwała się z krzesła.

– Oczywiście, już dzwonię! A co z panem dyrektorem?

Lekarz spojrział na nią jak na wariatkę.

– Co znowu? Niech mi pani nie zawraca głowy, bardzo proszę!

- Tak jest, panie doktorze! Oczywiście...

Pielęgniarka uśmiechnęła się z szacunkiem, ludzie udali, że tego wszystkiego nie słyszą, a ja czułem się jak na przedstawieniu szkolnego teatru. Ale równocześnie czekałem, kiedy też w tym kiepskim teatrze zarwie się dach i spadnie na nasze głowy.

Nic się jednak nie stało. Kamiński wyszedł, przesadnie głośno powiedział spokojnie:

„Do widzenia pani!”, kiwnął na mnie i po chwili byliśmy już na ulicy.

– Kazał tu poczekać. Pojedziemy razem, jak przysłał auto...

– Ty, ale co mu właściwie powiedziałaś? – zaniepokoiłem się.

– Nieważne. To, co trzeba... mniej więcej zgodnie z prawdą. Trafiliśmy, jego też Zabielał kiedyś uczył... No i co robisz miny? Coś ci się nie podoba? Inaczej nic byś nie załatwił, tylko tak z nimi trzeba...

Dochodziła pierwsza, kiedy znaleźliśmy się w mieszkaniu Parasola. Gdybym był sam, cofnąłbym się chyba od drzwi, wołałbym ludzi – no, nie wiem, co bym zrobił, gdybym tu teraz wszedł sam.

– Cholera jasna... – wycodził przez zęby lekarz. – Popatrzcie, za tyle pracy...

I on znieruchomiał w drzwiach, tak jak my. Ale w chwilę potem wykonywał już dziesiątki błyskawicznych ruchów, nie mogłem nadążyć za jego rękami. Pyskały na podłogę

główek ampulek, kilkakrotnie zmieniane igły trzaskały sucho o dno metalowej kasetki ze strzykawkami.

W mieszkaniu był półmrok, okna zasunięte grubą, lekko naderwaną zasłoną, przeraźliwie duszno, bałagan. Przy łóżku rozbita szklanka, rozlana po podłodze woda prawie już wysychała. Pewno stary potrafił ją albo upuścić nie mogąc podnieść. Ubranie zsunęło się z krzesła, wisiała na nim tylko biała koszula ze sztywno odstającym, wykrochmalonym kołnierzykiem i krawat, granatowy krawat, w którym zawsze przychodził do szkoły. Próbowałem teraz pozbierać to jakoś, trochę ułożyć. Nie było sensu stać bezczynnie pod ścianą i patrzeć, co robi lekarz. Kamiński też ocknął się wreszcie, usłyszałem z kuchni szum wody nalewanej do czajnika.

– Znajdź tam jakiś ręcznik, zmocz go i dawaj! – powiedział do niego lekarz i zabrał się do poprawiania poduszki, koca. – Odsłoń trochę okno i uchyl je lekko... – to było pod moim adresem.

Może to dziwne, ale teraz zobaczyłem w tym mieszkaniu nie to, co mnie uderzyło w pierwszej chwili. Dopiero teraz spostrzegłem, że pełno tu fotografii i obrazków na ścianach do połowy wysokości zastawionych półkami, na których książki ułożone były nie tak, jak w szkolnej bibliotece, tylko bokiem, jedna na drugiej, na skos, grzbietami do góry, różnie... W kącie, koło szafy, oparte jakieś rulony, może mapy.. Na stole, oprócz książek i szklanek, garnuszków, rozkrojonego chleba, obok glinianego dzbanka z różnokolorowymi ołówkami, stał niewielki, dziwny globus, z drewnianą podstawką wyrzeźbioną w kształcie ludzkiej dłoni: kula ziemską umocowana była na wskazującym palcu, jak sygnet.

Chory po paru minutach doszedł jakby trochę do siebie, otworzył oczy, nie wyglądał już tak strasznie. Może to te zastrzyki? A może świadomość, że nie jest tu już sam? Ale rozmawiał z trudem, bardzo cicho, powoli..

– Panie Zabielał, jak można było do tego dopuścić! – tłumaczył lekarz. – Czy to nie ma sąsiadów? Ludzi nie ma?

– Sąsiedzi pracują... mają swoje kłopoty. Nie można na starość ludziom zawadzać... To mi przejdzie... Chyba grypa?

– Właśnie, grypa... – lekarz mówił teraz łagodnie jak do małego dziecka. – Wie pan, co? Tak w ciemno, na pierwsze wrażenie, to mogę panu co najmniej z pięć chorób naliczyć... A ja jestem właściwie chirurg, nie internista. Ten by może i więcej znalazł... Nawsiąkało w pana tego świństwa jak w gąbkę...

Parasol powtórzył za nim jak echo:

– Tak... Nawsiąkało tego świństwa... przez tyle lat...

– No, widzi pan? A tu niedługo wrzesień... nowy rok, trzeba znowu do szkoły. I co teraz będzie?

– Nic nie będzie... – odpowiedział Parasol. – Już nie trzeba do szkoły... Od paru lat jestem na emeryturze, ale uczyłem. Od tych wakacji już nie będę..

– To świetnie, panie Zabielał! Doskonale! – i lekarz uśmiechnął się wesoło. Jakby mu ta wiadomość zrobiła wielką przyjemność.. Czuję, że nadrabia miną. Wyjął papierosa, ale nie zapalił go, schował z powrotem. Chciałem o coś zapytać, ale dałem spokój, Kamiński stał przy stole i bawił się globusem. Zrobiło się nagle cicho, chory znowu przymknął oczy, Zaskoczyło mnie to, co Parasol powiedział... Zawsze chyba, kiedy nauczyciele odchodzą, robi się w szkole pożegnanie. A tu nic. Byliśmy przecież jego klasą, powinniśmy wiedzieć pierwsi. Tymczasem w czerwcu to właśnie on nas żegnał, a nie my jego. Mówił, że kończymy siódmą klasę, że wypuszcza nas w świat... Życzył, żeby nam się w życiu udało.

Więc, jak to jest? Naprawdę nie wróci już do szkoły? Byliśmy jego ostatnimi uczniami?

Zapytałem jednak, nie mogłem wytrzymać. Wyczekałem, aż znowu otworzył oczy i zapytałem:

– Proszę pana... dlaczego pan nam o tym nie powiedział? O tym, że już pan przestaje uczyć? Przecież...

– A po co? – przerwał mi. – Powiedz, po co? Specjalnie prosiłem kierownika, żeby nie robił zbędnego przedstawienia. Bo tak naprawdę, to kogo to obchodzi?

– No, panie Zabelak, jeśli tak będziemy mówić... – zaczął lekarz z wyrzutem, ale urwał zdanie. Pewno nic mu nie przychodziło do głowy.

Nagle zauważyłem, że Zabelak wpatruje się w Kamińskiego, jakby go sobie nie bardzo mógł przypomnieć. Tamten też to spostrzegł, podszedł bliżej do łóżka.

– A ty... z siódmej „c”? Nie pamiętam...

– Tak, proszę pana. Ja jestem właśnie z tamtej klasy...

Wydawało mi się przez moment, że dziwnie jakoś zabrzmiała ta odpowiedź. „Z tamtej klasy...” Ale może to tylko przez ten spokojny sposób mówienia Kamińskiego. Jakoś tak dziwnie akcentował zdania.

Po chwili Parasol znowu go spytał:

– Słuchaj... co miałeś u mnie?

– Słabo... trójki, dwójki, jak kiedy... Raz tylko dostałem czwórkę. Za rysunek mapy Afryki, pamiętam! – Kamiński się uśmiechnął, ale na moment.

– No, to mi przykro... – powiedział Zabelak. – Ale te stopnie to były przynajmniej sprawiedliwe? Nauczyciel też się myli...

– Nie pomylił się pan... Mnie nie szła geografia! Nie lubię jej...

– Nie lubisz... Bo nie znasz!

– A ja zawsze miałem piątkę u pana Zabelaka! – pochwalił się lekarz. – Choć na to nie wyglądam... – i nagle wstał, zmienił ton. – Chłopcy, trzeba teraz jeszcze coś załatwić.

Głupio zrobiłem, że odesłałem samochód... musicie się pośpieszyć, ja tu zaczekam...

Wysłał nas z kartką do tej swojej pielęgniarki po jakieś lekarstwa. Szybko to załatwiliśmy i w powrotnej drodze Kamiński mówi:

– Ty... a może skombinujemy kogoś, żeby mu ugotował coś do zjedzenia? Jakaś kaszę albo co?

Pomyślałem o Elżbiecie. Ale gdzie jej teraz szukać, było już po drugiej. A poza tym: czy ona umie gotować? Nigdy nie mówiliśmy o takich rzeczach. Pewno jeszcze nieraz okaże się, że o wielu innych też nie rozmawialiśmy. Wciąż niby jesteśmy ze sobą, a czasu ciągle za mało.

– Mojej mamy nie ma... wyjechała. Bo ja wiem, kogo szukać? – zastanawiałem się głośno. – A może twoja matka?

Odpowiedział mi dopiero po chwili.

– Ja nie mam rodziców. Zginęli oboje w wypadku... już dawno. Jestem u brata. Ale bratowa nie przyjdzie, ma małe dzieci...

Byliśmy już na Polnej. Zapytałem:

– Jak ci właściwie na imię? Bo nie pamiętam. Mnie Jurek...

– Adam...

14

„Dobrze, że go spotkałem pod tym kinem! – myślałem sobie. – Nic bym bez niego nie załatwił. Zabelak ciągle by jeszcze czekał...”

Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że można było od razu rano polecieć do ojca i on chyba bez trudu ściągnąłby kopalnianego lekarza. Ale z drugiej strony – może i dobrze, że na to wtedy nie wpadłem. To by było najprostsze: niech ojciec załatwi. Całe życie będzie wszystko za mnie załatwiał? A potem Gruby powiada: życia nie znasz. Więc chyba nawet

lepiej, że tak się to wszystko ułożyło i spotkałem Adama...

– Wiesz co? – odezwał się nagle. – Tak sobie przypominam, że ty nawet nieźle grałeś w kosza, ale prędko wysiadłeś... Kondycji ci brak? I potem cię jakoś przestali wystawiać...

– Pierwszy raz nie wystawił mnie Greła za karę, bo opuściłem dwa treningi... A potem to ja się obraziłem!

– Szkoda, bo masz warunki: wysoki jesteś i dość szybki. Ale właściwie w podstawówce to nie można zmontować dobrej drużyny do kosza... niepoważne bractwo, nie chcą trenować: Może w liceum będzie inaczej...

– Idziesz do ogólniaka? – spytałem. – Do „Kopernika”? No, to się spotkamy! Żeby tylko trafić do tej samej klasy...

– Załatwi się jakoś! – uśmiechnął się Adam. – Najwyżej powiemy, że mamy wspólny długopis i musimy razem siedzieć...

Pod samym domem Zabielała przyszło mi coś nagle do głowy.

– Poczekaj... mówiłeś, że warto by znaleźć kogoś do gotowania, choćby na dziś... Tu gdzie mieszkała jedna dziewczyna od nas, z naszej klasy... – zacząłem sobie przypominać – o, chyba tam na parterze!

Podeszliśmy. Parter nie był wysoki. „Zajrzę przez okno!” – pomyślałem i wspiąłem się na murek. Skąd mogłem wiedzieć, że jej matka jest krawcową i akurat będzie tam jakaś klientka do przymiarki. Kiedy wystawiłem głowę nad parapet, w mieszkaniu podniósł się pisk.

Zeskoczyłem. Po chwili w oknie stanęła Wójcikówna. Śmiała się:

– Taki ciekawy jesteś? Przyszedłeś podglądać?

– Właśnie – odpowiedział za mnie Kamiński. – Nie mamy jakoś nic do roboty i pomyśleliśmy sobie, że można by coś podejrzeć... Słuchaj! Czy ty umiesz gotować? Na przykład kaszę?

– A co, żenić się chcesz ze mną? Umiem gotować... Bo co?

Wy tłumaczyliśmy, o co chodzi, i Wójcikówna może by i wyszła, gdyby nie jej matka.

Słyszała chyba całą rozmowę, bo powiedziała głośno: x – Nigdzie nie pójdziesz! Wiadomo to, na co chory? Jeszcze się zarazisz albo co. Nie będziesz nikomu usługiwać, słyszysz?

A zresztą, skończyłaś już szkołę, nie jesteś uczennicą... Nie musisz się podlizywać!

– Chodź! – mruknął do mnie Adam i splunął przez zęby.

Odeszliśmy powoli.

– Powiem ci coś... – zacząłem, żeby jakoś to wszystko zagadać. – Jak ci opowiem, to pęknieś ze śmiechu! Do półroczka ona miała same lufy z matmy. Po prostu tuman stepowy, jak zawsze nas nazywał Parasol. Mówił: „wy tumany stepowe” albo – „masz pod włosami pustynię Gobi”. U was w klasie też tak mówił? No, ale na koniec roku wyżebrał jednak dla Wójcikówny trójkę od matematyka... Wychowawca, jak chce, to zawsze może tak zacudować, że inni nauczyciele ustąpią. Ale przedtem, chyba w maju, ta jej matka kupiła na wszelki wypadek życzenia dla Zabielała. W radiowym koncercie życzeń, sam słyszałem... „Od uczennicy Zofii Wójcik i całej wdzięcznej klasy!” – tak tam było powiedziane.

Spytaliśmy potem Parasola, czy słyszał. Odpowiedział, że nie, bo jego radio zawsze trzeszczy podczas głupich audycji! Wesole, nie?

– Tak. Faktycznie, wesole! – powiedział Kamiński z tą swoją kamiennie spokojną twarzą. – Ale przynajmniej już teraz wiemy, co robimy przez cały dzień! Podlizujemy się...

Szukamy u Zabielała protekcji... pewno na tamtym świecie!

– Daj spokój! Ty naprawdę myślisz, że z nim jest tak groźnie? – spytałem.

– Nic nie myślę... Głodny jestem jak diabli. Cały dzień nic nie jadłem... – Ja też... Weszliśmy na schody. Nagle Adam zatrzymał mnie.

– Słuchaj... to teraz ja ci coś opowiem. Też będzie wesole... Wiesz, dlaczego on po tych wakacjach już nie wróci do szkoły?

– No, nie... mówił o emeryturze...

– Nauczycielom wolno podczas emerytury uczyć. Dopóki mogą. A wiesz, dlaczego on już nie będzie uczył? Przez nas. Przez naszą klasę... tę cacaną siódmą „c”, ulubioną klasę kierownika...

– Nie rozumiem... – wzruszyłem ramionami. – Może ci się coś zdaje...

– Nic mi się nie zdaje, bo wiem. Brat jest w komitecie rodzicielskim, opowiadał.

A zaczęło się od tego, że zrobiliśmy drakę, jeden z nas ustawił stojak do tablicy w taki sposób, że kiedy Zabielał chciał powiesić mapę – wszystko runęło z potwornym hałasem. W klasie powstał ryk. Przyleciał kierownik, zrobiło się piekło. Dyżurny, taki tam jeden Koterba, dał słowo honoru w imieniu całej klasy, że w ogóle nie dotykaliśmy tablicy, że to Zabielał tak widocznie energicznie się oparł o nią... Tak powiedział Koterba. Cała klasa poświadczyla, że skąd, nikt nie ruszał... U nas było dużo złych stopni z geografii i historii, właśnie od Zabielałaka. Gdyby nie te przedmioty, klasa byłaby wzorowa... Więc wszyscy mieli żal do Zabielałaka. Rodzice też się skarżyli na zebraniach... A po tej hecy z tablicą wytłumaczono grzecznie Zabielałakowi, że już jest widocznie za stary, bo nie panuje nad uczniami, i tak dalej... Zrozumiał ich i powiedział, że przestanie uczyć... Teraz już wiesz? I dam sobie głowę uciąć – on musiał się zorientować, że z tą tablicą to była specjalna robota... Nic na to nie powiedziałem, zupełnie nic. Co tu można było powiedzieć?

Lekarz czekał już na nas w kuchni.

– Śpi... nie wchodźcie tam. Popilnujcie go, posiedźcie trochę... Za jakieś dwie godziny przyślę karetkę. Mówiłem już staremu, zgodził się jechać... przecież tu nie może sam zostać!

– To coś poważnego? – zapytałem.

– Ciężka sprawa... Co chcecie, w tym wieku? I serce bardzo słabe. Wezmę go do szpitala w Sosnowcu, mam tam przyjaciela, bardzo dobry lekarz. Jasne? Trzymajcie się!... – i wyszedł.

Siedzieliśmy bez słowa. Adam uchylił drzwi do pokoju, żeby było słychać, gdyby Parasol chciał czegoś od nas. Przyglądałem się staremu i nie mogłem uwierzyć, że to ten sam Zabielałak, którego wszyscy tak się w klasie bali. W siódmej już mniej, ale – kiedy byliśmy młodsii! Mówił na lekcjach ciekawe rzeczy, dużo więcej, niż było w książce. Tylko że potem każdy to wszystko musiał umieć! A jak nie – to dwójka. Oprócz geografii i historii nic nam jednak nigdy nie miał do powiedzenia. Może i dlatego nie lubiono go? Na innych lekcjach, nawet na matmie, można było czasem porozmawiać z nauczycielem, choćby o tym, co ostatnio w telewizji, albo że nasz Górnik znowu dostał lanie od rezerwowej drużyny sosnowieckiego Zagłębia. Z Zabielałakiem mówiło się tylko o jego przedmiotach. Nawet najwięksi w klasie specjaliści od „zagadywania” nic z Parasolem nie mogli osiągnąć. Zawsze to samo ciemne ubranie, zawsze ten granatowy krawat do wykrochmalonej koszuli... A potem – skończyło się szkołę i już przestał być groźny. Wystarczyła pierwsza godzina tych właśnie wakacji, żeby wszystko przewrócić do góry nogami. W jednej chwili wyleciał z głowy Zabielałak i inni, i wszystkie te szkolne strachy. Nagle coś się urwało. Zamknęły się jakby jakieś wielkie drzwi, myśmy zostali na zewnątrz. Było, nie ma – jak mówi Gruby.

A teraz siedzę w tym mieszkaniu, w którym jestem dziś pierwszy raz w życiu i na pewno ostatni, i znowu jest Zabielałak. Ale to już nie jest ten szkolny Parasol (dlaczego myśmy go tak nazwali? Zupełnie nie pamiętam...), tylko jakiś inny, zwyczajny sobie człowiek. Wciąż nie mogłem się pogodzić z tymi myślami, które w ostatnich dniach coraz to na nowo mnie zaskakiwały: że coś, co było znane, wiadome – nagle stawało się czymś zupełnie innym... Karetka szpitalna rzeczywiście przyjechała około piątej i przed domem wywołało to sensację. Połowa Polnej zleciała się nagle, zaczęli zaglądać sąsiedzi, pytać, co się stało. Kamiński powstrzymywał baby przy drzwiach, żeby nie przeszkadzały, a wreszcie przekreślił

klucz i trochę się uspokoiło.. Pomagałem Zabelakowi ubrać się, ledwo stał na nogach. Zawołaliśmy potem przez okno sanitariusza, przyszedł razem z szoferem, wzięli starego na nosze.

Kiedy mieliśmy już wszyscy wychodzić, Adam pochylił się ni stąd, ni zowąd nad noszami i powiedział:

– Z tą tablicą u nas w klasie to nie był przypadek... Czy pan wiedział o tym?

Parasol otworzył oczy i popatrzył na niego dziwnie bystro, uważnie.

– To było dawno... przed wakacjami... – szepnął. I po chwili: – Kto to zrobił? Może ty?

– Ja... Przepraszam.

Nie chciało mi się to pomieścić w głowie. Zamknąłem drzwi, podałem klucz Zabelakowi, schodziłem po schodach ostatni. Myślałem tylko o tamtym. Po co on to powiedział?

Dlaczego się przyznał właśnie teraz?

Przy samochodzie Parasol uśmiechnął się do nas:

– Dziękuję, chłopcy... Zmarnowaliście sobie cały dzień...

– Ale skąd! Wakacje są przecież... – odpowiedział Kamiński spokojnie, prawie wesoło. – I tak nie mieliśmy co robić...

– Życzymy panu zdrowia... – dodałem tym samym tonem. Sanitariusz zatrzasnął drzwiczki, karetka odjechała. Wiedziałem, dlaczego Adam teraz tak powiedział. Żeby Zabelak nie dziękował nam. Nie jest przyjemnie, jeśli ktoś dziękuje, kiedy nie ma za co. Po paru krokach zatrzymałem się, odwróciłem do Kamińskiego.

– Adam... Skłamałeś, prawda? Z tą tablicą...

– Skłamałem...

– A kto to zrobił?

– Koterba... ten, który potem dał to słowo. Ale jego tu nie ma... A i tak nigdy by się nie przyznał!

– Więc dlaczego to powiedziałeś? Dlaczego ty się przyznałeś?

– Po co stary ma myśleć, że cała klasa to świny? Niech uwierzy, że świnia była tylko jedna. Na przykład ja... Tak chyba lepiej, nie?

– Nie wiem... I nie wiem, czy on w ogóle uwierzył. Adam! – powiedziałem po chwili.

– Dobrze, że cię spotkałem. Nie tylko ze względu na starego...

– O rany! Wpół do szóstej! – przerwał mi nagle. – Muszę lecieć do tego kina, bo się bilety zmarnują i brat mnie ochrzani! Trzymaj się!

– Cześć!

Pobiegl w stronę rynku. A ja powoli poszedłem za nim.

Jeszcze parę minut temu nie wiedziałem, że pójde teraz szukać Elżbiety. Ojciec pewno zły, cały dzień mnie nie ma. Będzie awantura: on chyba sądzi, że ja znowu gdzieś z nią jestem od samego rana. Bolała mnie głowa, może z głodu, powinienem iść do domu. Ale nie poszedłem. Czuję, że muszę zobaczyć się z Elżbietą, zaraz, właśnie teraz. Nie bardzo wiedziałem dlaczego, co jej powiem. Chciałem ją zobaczyć.

Nie zastanawiałem się zupełnie, co sobie pomyśli Zbyszek, poszedłem pod ich dom i zawołałem kilka razy. Cisza. Więc co – nie i matka Zośki Wójcik, i wszyscy inni – kiwnęli-by z żalem głowami i odpowiedzieli: „My się już poprawimy, panie Zabelak!” Na moment poczułem się jakby starszy od ojca, doroślejszy.

Ale jeśli on jednak nie wierzy w to i mimo wszystko uważa, że należy krzyknąć, że nie wolno się godzić? Patrzałem na ojca i myślałem o Zabelaku... Nie! Nie o nim samym, tylko o tych właśnie wszystkich sprawach. Parasol wyprowadzał nas na każdej swojej lekcji na szerokie morza, odkrywał dla nas wszystkie lądy świata, a potem surowo stawiał stopnie w dzienniku. I cóż komu z tych stopni i dalekich lądów, skoro tu obok słyszę potem: życia nie znasz! Czego mnie nauczył? I tę jedną czwartą miasta – czego nauczył stary Zabelak? Czy o tym myślał, kiedy powiedział do Adama, że nauczyciel też się myli?

A może to jest wszystko zupełnie inaczej, nie tak wygląda, jak mnie się wydaje, i w całym tym dzisiejszym dniu zupełnie co innego było najważniejsze. To, co zrobił Adam. Albo to, że nie był to dla mnie jeden z tych zwyczajnych dni, które niczego nie przynoszą. Dość późno wieczorem wpadł do nas Gruby, w nowym ubraniu. Wyglądał jakoś świątecznie, nie tak jak jeszcze dziś rano. Przed domem czekał przeraźliwie jego pies. Wiedziałem, że na pewno gapi się teraz w nasze okna, zawsze tak było, kiedy Gruby zostawiał go na podwórku.

– O, byłeś u fryzjera! – zainteresował się ojciec. – Jurkowi też by się to już przydało... namów go, to ci lody postawię!

– No i jak to ubranie? Dobre? – pytał Gruby. – Coś ty taki zdechły? – I trochę ciszej, żeby ojciec nie słyszał: – Znowu Elżbietę gdzieś zgubiłeś? Co ja z wami mam... Dobrze, że to już niedługo szkoła się zacznie!

Zupełnie nie chciało mi się teraz z nim rozmawiać. Bo o czym? Pochwaliłem ubranie, że owszem, ujdzie. Ale jednak wolałem go w tych zwyczajnych, starych i zdartych aż do połysku farmerkach, takich jak i moje, Zenka i innych chłopaków. Oczywiście, za parę dni bardzo Wielu z nich pewno kupi sobie ubrania do nowych szkół, pójdą w kąty stare portki z podstawówki. I w tym nowym ubraniu Gruby wydał mi się już trochę inny, jakby już chodził do swojego technikum mechanicznego, w którym ja z nim przecież nie będę...

– To ja już muszę lecieć... pies strasznie szczeka! – powiedział po chwili, może rozczarowany, że nie zachwycam się za bardzo ubraniem, albo zaskoczony, że rozmowa się nie klei. Szczerze mówiąc, ja też byłem tym trochę zdziwiony, ale cóż mogłem poradzić.

W drzwiach Gruby spytał jeszcze:

– Byłeś potem u Parasola? Przyszedł wieczorem lekarz?

– Byłem. Już w porządku, nie musisz się przejmować...

15

Z początku tłumaczyłem sobie, że cztery, pięć dni to jeszcze za mało. Ale kiedy po tygodniu również nie było na mój list żadnej odpowiedzi od mamy, zacząłem się naprawdę bać, że stało się coś złego. Nie tam, gdzie ona teraz jest, ale tutaj, wtedy gdy postanowiła wyjechać. Mówili o sanatorium, okazało się, że to nieprawda. Ale musieli mieć jakiś powód, żeby właśnie tak wszystkim mówić. Nie bardzo już teraz wierzyłem, że mama w ogóle jest chora i ten wyjazd był potrzebny dla jej zdrowia.

Zacząłem sobie przypominać, kiedy po raz pierwszy usłyszałem od nich o sanatorium.

Nie było to łatwe. Nie pamięta się przecież wszystkich tych zwyczajnych, codziennych rozmów w domu, przy obiedzie, – po kolacji. Chyba w czerwcu... prawie pod koniec roku szkolnego. Wtedy gdy spytałem któregoś dnia, czy wyjedziemy gdzieś w tym roku.

Powiedzieli mi, że nie. To znaczy ja wyjadę na wieś, do wujka. Nie był to właściwie wujek, tylko młodszy brat dziadka, ale tak się na niego mówiło. Nie bardzo miałem ochotę tam jechać. Wieś była duża, prawie miasteczko, niedaleko Nysy. Ale rzeki nie było i do lasu też kawał drogi. Wujek był zupełnie inny niż dziadek, nudny. I właśnie żeby mnie przekonać, że muszę tam jechać, mama powiedziała o tym sanatorium.

Jakoś to lekko wtedy przyjąłem. Nie bardzo nawet wiedziałem, co to takiego sanatorium.

Takie tam coś, w każdym razie nie szpital. U wujka wytrzymałem tylko dwa tygodnie.

Doszedłem do wniosku, że skoro takie same nudy tam, jak w domu – lepiej być już w Borzechowie, bo przynajmniej człowiek ma duży staw pod ręką. Wróciłem nagle. I od razu zauważyłem, że byli mocno zaskoczeni moim przyjazdem, ale już nic na to nie mogli poradzić. Mama po dwóch dniach wyjechała, a ojciec, nie wiadomo czemu, nagle postanowił wziąć urlop. Ale wtedy, w połowie lipca, zupełnie mnie to wszystko nie dziwiło. Nie miałem nawet czasu zastanawiać się nad tym. Bo przecież zjawiała się Elżbieta...

Tydzień czekania na list to bardzo dużo. Zwłaszcza gdy czuje się, że coś wygląda inaczej, niż miało wyglądać. A nie ma kogo spytać, o co w tym wszystkim chodzi. Z ojcem nie rozmawiałem już na ten temat. Skończył mu się teraz urlop, zaczął pracować... choć właściwie podczas urlopu też ciągle przesiadywał na kopalni, więc niby wychodzi na jedno. Kilka razy dopytywał, czy była poczta. Mówiłem spokojnie, że nie. I odnosiłem wrażenie, że on denerwuje się nie mniej ode mnie. Nie opowiadałem o tych sprawach Elżbiecie, ale chyba czuła, że coś mi jest. Może tylko inaczej to sobie tłumaczyła. Ona też nie była już taka, jak dawniej. Często teraz zamyślała się, nagle smutniała bez powodu i patrzyła na mnie tak, jakby za chwilę miała się rozplakać.

Któregoś dnia rano usłyszałem wołanie pod oknem.

– Jurek! Możesz już wyjść? Słuchaj... jedźmy dzisiaj gdzieś, dobrze? Znudził mi się już ten staw. A zresztą – za chłodno dziś na kąpiel.

Siedziała na rowerze, trzymając się jedną ręką płotu, zupełnie jak wtedy Zbyszek, pierwszego dnia, gdy ją tu przywiózł. I nagle uświadomiłem sobie: to już miesiąc, cały miesiąc!

– Dobrze! Ale chodź na chwilę na górę! – powiedziałem. – Na pięć minut. Muszę skończyć jeść...

Widziałem, że zerknęła w okno na parterze, domyśliłem się dlaczego. Pewno Lepiszewska warowała już na swoim obserwacyjnym posterunku. I wcale bym się nie zdziwił, gdyby Elżbieta odpowiedziała, że nie pójdzie, że tam zaczeka. Ale ona zeskoczyła z roweru, oparła go o płot i przybiegła na górę.

Ledwo weszła do kuchni, powiedziała cicho:

– Wiesz co? Wcale tu nie przyszłam dlatego, że ty chciałeś, tylko żeby tej babie zrobić na złość! I nie tylko jej...

– Świetnie! – przerwałem. – Ale czemu mówisz szeptem? Tu nie kaplica!

Roześmiała się:

– Bo ja wiem, dlaczego powiedziałam po cichu? Tak jakoś... Inie zagaduj, Jurek! Ta twoja druga sąsiadka też mnie widziała... Możesz mieć kłopoty!

– Irka była w oknie? No, to co? Jakie kłopoty?

Elżbieta weszła do pokoju, odsunęła sobie krzesło i usiadła przy stole.

– Ciekawa rzecz, Jurek: ile razy ja coś powiem o tej dziewczynie, to ty zawsze udajesz, jakbyś nic nie rozumiał. Ani be, ani me! Po prostu aniołek, niewinna dziecina...

– Bo nie lubię, jak mi coś wmawiasz, choćby żartem... Złości mnie to! Elżbieta... – i urwałem.

– Co?

– Czy ty jesteś zazdrosna?

– Nie. A zresztą – o ciebie? Zwariowałeś? Choćbym się skręcała z zazdrości, to i tak ci się nie przyznam. Więc nie pytaj... A wiesz, dlaczego nie jestem zazdrosna? Bo jestem zarozumiała smarkata i jeszcze będę tego żałowała...

– Kto ci tak powiedział? – zacząłem się śmiać.

– Ciotka, pół godziny temu. Rozmawialiśmy dziś rano o życiu, jak to się mówi. Ciotka długo kręciła się na stołku, ale wreszcie wykrztusiła: „Eluniu! Czy ty masz jakiegoś chłopca?”

Powiedziałam, że mam, owszem. A ciotka: „Czy mamusia o tym wie?” Wie mamusia, owszem. „Co mamusia na to?” Nic mamusia na to. Wtedy ciotka: „To nie do pomyślenia. Jak ja miałam piętnaście lat, to się rumieniłam, kiedy chłopcy mnie wołali...” A ja mówię: „Zależy po co ciocię wołali!”

Myślałam, że mnie objedzie, ale ciotka nie chwyciła, na szczęście: Więc szybko zagadałam:

„A mama mówiła, że jak była w moim wieku, to uciekała do partyzantów, bo się zakochała w jednym plutonowym!” Ciotka pomyślała chwilę i westchnęła: „Rzeczywiście... Na szczęście dziadek ją wtedy znalazł na dworcu i przyprowadził do domu. Twoja matka zawsze

była postrzelona! Teraz też to drugie dziecko jej potrzebne jak dziura w moście...”
Czekałam spokojnie, o co ciotka jeszcze spyta. Ale już jej się pomysły wyczerpały i tylko powiedziała: „Nie będę się wtrącać, niech cię chowają, jak chcą... Eluniu! A piszesz listy do tego swojego chłopca?” „Nie, ciociu. A po co mam pisać?” „No, to on przez wakacje może o tobie zupełnie zapomnieć. Dziewcząt jest dużo!” – i ciotka roześmiała się, bo to był widocznie dowcip.

Znudziło mnie to już i powiedziałam: „O, mnie tak łatwo nie można zapomnieć! Ojciec kiedyś mówił, ciociu, że jestem najładniejszą dziewczyną, jaką zna, w rodzinie mamy i w Europie Środkowej!” Mówię ci, Jurek, ciotka zdębiała. Spojrzała na mnie ze złością: „Jesteś zarozumiała smarkata i jeszcze będziesz tego nieraz żałować!”

Dawno się tak nie śmiałem. Zakrztusiłem się herbatą i musiałem wyskoczyć do kuchni po ręcznik. Elżbieta opowiadała to wszystko zupełnie na poważnie. Tylko kiedy naśladowała ciotkę, wyciągała śmiesznie szyję i robiła miny.

– No, już wszystko wiesz. Taka to była z ciotką rozmowa o życiu. Jaki z tego wniosek?

– Że ona chyba nie jest zbyt mądra...

– Chyba! Na pewno, a nie chyba... Ale nie o to mi przecież chodzi. Wniosek jest taki, że ciotka nic o nas nie wie, nawet się nie domyśla. Czyli że Zbyszek nie sypnął. Choć właściwie, to co on niby może sypnąć? A swoją drogą, mógłbyś się z nim pogodzić, on wcale nie jest taki zły chłopak... Skończyłeś jeść? To chodźmy już. Nie możemy tu tak długo siedzieć... twoje sąsiadki pękną, zobaczysz!

Elżbieta zakręciła się po pokoju, majtnęła małym misiem, zawieszonym na macie słomianej nad tapczanem, uśmiechnęła się:

– Jak on się nazywa? Mojemu jest Pimpuś...

– Głupio się nazywa: Ogórek.

– Dlaczego: Ogórek? – zdziwiła się. – Pierwszy raz słyszę takie imię u miśka...

– To cała historia... Dzieci mnie przezywały, jak byłem mały: „Jurek – ogórek...i tak dalej. A ja płakałem. Więc mama wymyśliła, że miś będzie się nazywał Ogórek i dzieci wcale mnie nie będą przezywać, tylko będą po prostu wołały Jurek – na mnie i Ogórek – na misia. Uwierzyłem w to i przestałem ryczeć...

– Dobry pomysł! Muszę sobie zapamiętać, może kiedyś będę miała syna...

Podeszła do ściany, na której wisiało powiększenie fotografii. Sam ją kiedyś, na imieniny mamy, oprawiłem w ramki i powiesiłem tutaj.

– To twoja mama? Jaka ładna...

Przez chwilę oglądała uważnie zdjęcie, a potem wyszła do kuchni, poprawiła włosy przed lustrem i położyła rękę na klamce.

– No, chodź... idziemy!

Wyszliśmy na korytarz. I tam przypomniałem sobie, że chciałem przecież pokazać Elżbiecie moje gołębie, pisklęta.

– Chcesz zobaczyć? – zaproponowałem. – Przy okazji dam im jeść!

Kiedy szliśmy na strych, wydało mi się, że drgnęły drzwi u Kozłowskich, uchyliły się lekko. Ale udałem, że tego nie widzę.

Sypałem gołębiom ziarno, zmieniałem wodę. Sporo z tym było roboty, ale nie śpieszyłem się. Elżbieta usiadła na jakiejś skrzynce, podobało jej się tutaj.

– Widzę, że dzisiaj od rana jesteś w dobrym humorze! – powiedziałem. – Ostatnio byłaś jakaś taka smutna...

– Wcale mi nie jest wesoło... Więcej udaję. No i ciotka mnie trochę rozbawiła...

– Elżbieta... Wiesz, jak długo się już znamy? Właśnie sobie o tym pomyślałem, kiedy cię zobaczyłem przez okno.

– Poczekaj, policzymy... – zastanawiała się. – Była połowa lipca. A więc przeszło miesiąc... bardzo długo!

– Albo krótko...

– Tak. Albo bardzo krótko... – powtórzyła. – Ciągle teraz o tym myślę, że już niedługo trzeba będzie stąd wyjechać. Zostało tylko dziesięć dni!

Czekałem na jej następne zdanie. Co teraz powie? Tak, już koniec wakacji. I co?

Ani razu dotąd nie mówiliśmy o tym, że przyjdzie wreszcie wrzesień. Nawet o tym nie pomyślałem. Dopiero wtedy, kiedy żegnałem się z Adamem pod domem Zabiela. I potem jeszcze raz, jak Gruby przyszedł pokazać swoje nowe ubranie. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że wakacje naprawdę już się kończą.

A teraz czekam, jakie będzie to następne zdanie, które Elżbieta powie, i wydaje mi się, że z góry już je znam.

Patrzemy na siebie i myślimy o tym samym.

Cisza. Milczenie przeciąga się... Więc wracam do tego, co robiłem przed chwilą, rozlewam wodę do blaszanych miseczek w klatkach, sypię ziarno. Już teraz wiem: nie powiemy więcej na ten temat ani słowa! Przez moment żał mi trochę, że nie padło to zdanie, na które czekałem: o następnych wakacjach, i jeszcze następnych, o listach, które będziemy do siebie pisać.

Ale tylko przez chwilę tego żałuję. A potem spoglądam” na Elżbietę i ogarnia mnie dziwne uczucie: jakbym słyszał własne myśli i widział Elżbietę i siebie, ale nie dziś, i nawet nie podczas następnych wakacji, tylko później, jeszcze później... Nie było mi smutno.

Elżbieta poruszyła się, gołębie w najbliższej klatce spłoszyły się nieco, uśmiechnąłem się do niej.

– O czym myślisz, Jurek?

– Myślę o gołębiach... – powiedziałem. – Cieszę się, że tu przyszaś. Na gołębie można patrzeć godzinami... Zawsze mi się wydawało, że w tych małych łebkach aż się kotłuje od różnych myśli. To nieprawda, że są cichymi i spokojnymi ptakami... Ale chyba dobrze, że nie potrafią mówić. Byłyby bardzo gadatliwe...

Wzruszyła ramionami.

– No, wiesz... Tyto masz pomysły! A chcesz wiedzieć, o czym ja sobie teraz myślałam? Tak mi przyszło do głowy, że w tej nowej szkole będę już pewno miała jakąś przyjaciółkę. Teraz właściwie nie mam, mówiłam ci już... Więc jakbym miała przyjaciółkę, taką prawdziwą, to jej opowiem o tobie...

– Po co? – zdziwiłem się. – Co będziesz opowiadać?

– Ty tego nie zrozumiesz, ale będę miała co mówić. Taka prawdziwa przyjaciółka to na pewno będzie umiała słuchać i nie znudzi się nigdy... Może ona też o kimś chciałaby mi opowiadać? I wtedy te wakacje nie skończą się we wrześniu, tylko jeszcze długo będą trwały... Jak myślisz, Jurek? Można spotkać taką przyjaciółkę?

Nie umiałem jej odpowiedzieć. Chciałbym, żeby spotkała.

Przecież ja też marzyłem o tym, żeby to nasze lato nie skończyło się tak nagle, jak się zaczęło, i tak szybko, jak kończy się w kalendarzu.

– Szkoda, że ty nie jesteś stamtąd... że ja będę musiała jechać, a ty tutaj zostaniesz – powiedziała Elżbieta. – Gdybyś mieszkał tam gdzieś, niedaleko mnie, wcale by mi nie zależało tak bardzo, żeby mieć przyjaciółkę, wiesz? Bo po co? Jakież koleżanki zawsze przecież są...

– Koledzy też...

– No tak, koledzy też – zgodziła się. – I obesłoby się bez przyjaciółki. Gdybyś tam był. A tak, to nie wiem, jak mi będzie...

– W domu będziesz teraz miała więcej pracy. Przy tym małym dziecku, zobaczysz!

Każą ci pilnować go, prac i w ogóle...

– Chyba tak... – uśmiechnęła się. – Ale to dobrze, bardzo lubię takie malutkie dzieci.

A może i z mamą teraz będzie łatwiej się dogadać? Przy tym małym to ja przecież będę

strasznie dorosła! Może wreszcie mama to zauważy?

Zbieraliśmy się do wyjścia, kiedy na schodach prowadzących na strych rozległy się szybkie kroki.

Elżbieta podniosła głowę, nasłuchiwała.

– Pewno Gruby idzie... – mruknąłem. – Zauważył twój rower przed domem i szuka nas...

16

Powiedziałem: „pewno Gruby”, ale przecież dobrze wiedziałem, że to nie on.

Gruby wbiegał zawsze po dwa stopnie, a właściwie jakby wspinał się po schodach, nie biegł. Nigdy go nie było słychać, kiedy szedł pod górę, za to z góry – robił rumor na cały dom. Więc dlaczego tak powiedziałem? Nie wiem.

I wcale nie byłem zdziwiony, kiedy otworzyły się drzwi i na strych wpadła Irka Kozłowska. Rozejrzała się szybko i udała zaskoczoną. Ale tak to zrobiła, że każde dziecko by ją wyśmiało.

– O, bardzo przepraszam! Nie wiedziałam, że nie jesteś sam!

– Wiedziałaś – odezwała się Elżbieta. – Przecież dobrze wiedziałaś, więc po co udajesz?

Irka wzruszyła ramionami i odwróciła się od niej.

– Przeszkadzam państwu, prawda? – rzuciła w moją stronę i momentalnie sobie sama odpowiedziała: – Oczywiście, że przeszkadzam. Bardzo przepraszam!

Czułem, że ma wielką ochotę pokłócić się dzisiaj. Ale dlaczego z nami, niech się kłóci z matką, jak zawsze. Tak też jej miałem zamiar odpowiedzieć, ale rozmyśliłem się. Przyszedł mi do głowy pomysł.

– Nie wygłupiaj się, Irka! Po pierwsze, powiedz, czego chciałaś. A po drugie, i tak schodziliśmy już i właśnie mieliśmy zamiar cię zawołać...

Elżbieta otworzyła szeroko oczy, ale na szczęście nie powiedziała ani słowa. Irka była zaskoczona, spuściła z tonu.

– Mnie zawołać? A po co?

– Chcemy się przejechać na górę zamkową. Weź rower, pojedziemy razem...’

– Naprawdę? – Irka popatrzyła na mnie przez chwilę. Byłem zupełnie poważny, chociaż śmiać mi się z niej chciało. Zwróciła się do Elżbiety: – Tak? Mówicie poważnie?

Zdażyłem teraz mrugnąć, bo stała do mnie tyłem, ale myślę, że Elżbieta nie zauważyła nawet, że dają jej jakieś znaki.

– Dlaczego miałabyś nie jechać? – odpowiedziała Irce, bez specjalnego entuzjazmu, ale spokojnie.

– No, wychodźcie, zamykam interes!

Powiedziałem to, żeby nie przeciągać rozmowy, bo wreszcie Irce mogło się wszystko wydać podejrzanym. Zeszliśmy na dół. Ciekaw byłem, co zrobi. Pojedzie czy nie? Nie wiem, co sobie pomyślała i jak tłumaczyła to zaproszenie. Na schodach nie powiedziała ani słowa. Ale kiedy wyszliśmy przed dom, zwróciła się – nie do mnie, tylko do Elżbiety:

– Dobrze, mogę jechać, jeśli chcesz... I tak się nudzę! Pójdę po rower...

– Irka! – zawołałem za nią. – Ale coś chciałaś powiedzieć, nie? – Tam na górze?

– Aha... no tak. Chciałam powiedzieć ci, że Zenek dzisiaj ma przyjechać. Po obiedzie.

Wiesz, skąd przysłał list? Z Olsztyna! – Skąd on się tam znalazł? Przecież obóz mieli w Górach Świętokrzyskich...

– Dzisiaj? To świetnie! Nareszcie... – ucieszyłem się. – Skąd się tam znalazł? Przyjedzie, to powie.

– Co ty wyrabiasz, Jurek? – spytała Elżbieta, kiedy zostaliśmy sami. – Po co ją mamy brać na zamek? Z litości, że się nudzi?

– O widzisz! To ty jednak jesteś zazdrosna. Co ci przeszkadza biedna dziewczyna? – zażartowałem. – Pogadamy sobie z nią...

– Nie wygłupiaj się! Chodzi mi o to, żebyś nie robił z niej wariatki. To nieprzyjemne, nie można tak!

– Nic się nie martw! Mam plan: pojedziemy w parę osób, jeszcze kogoś weźmiemy po drodze!

– Jak chcesz... – powiedziała Elżbieta, dość niechętnie.

Pojechaliśmy. Koło rynku zwoleńłem i zacząłem rozglądać się po domach. Wiedziałem, że to gdzieś tutaj, i szukałem tabliczki dentysty. Jeśli to jego brat, musi się nazywać tak samo. Jest! Zeskoczyłem z roweru.

– Poczekajcie chwilę! – krzyknąłem. – Mam tu coś załatwić!

Adam był na podwórku, bawił się z dwójką małych dzieci. Raz jedno, raz drugie podsadzał do trzepaka, chwytaly się rękami i huśtały, jak na drążku. Zdziwił się, kiedy mnie zobaczył.

– Co się stało? Jak mnie znalazłeś? Cicho, rebiata! – wrzasnął na dzieci. – Nowy wujek przyszedł!

– Zwyczajnie znalazłem. Taka sztuka? Adam, masz rower?

– Nie... To znaczy: niby mam, ale młodzieżowy. Już za mały. Czeka teraz na tych dwóch gnojków. Kiedy oni urosną? Jak Boga kocham – zwariować można! Już mnie ręce bolą od tej zabawy... Dlaczego pytasz o rower?

– Jedziemy na zamek... Chodź z nami. Wezmę cię na ramię, chcesz?

– Co to znaczy: jedziemy? Kto jedzie?

– Zobaczysz. Czekają na ulicy, dziewczyny...

– O!

Roześmiałem się. Miał taką minę, jakbym go poinformował, że właśnie został szachem perskim. Chyba domyślił się, że tam jest również Irka, bo nie spytał, jakie dziewczyny. A może było mu wszystko jedno jakie. Długo się nie zastanawiał.

– Zośka! – zawołał. – Zocha!

– Mamusiu! – zaczęły mu wtórować dzieci. Wrzask się zrobił na całym podwórku.

– Idę z kolegą! – powiedział do młodej kobiety, która wyjrzała przez okno. – Popilnuj teraz ty...

– Dobrze, tylko zajmij ich czymś!

– No widzisz... – mruknął do mnie. – Wszystko ja. Ty wiesz, że ja się lepiej bawię z tymi dziećmi niż ich ojciec? On się ich boi. Pojęcia nie ma o dzieciach... o zębach zresztą też! Ciągłe mnie jeszcze szczęka boli...

– Pośpiesz się, Adam! – przerwałem. – Bo nas dziewczyny ochrzanią!

Ciekaw byłem, jak on te dzieci zajmie. Ale Adam okazał się specjalistą. Zresztą dzieci patrzyły w niego jak w obraz.

– Uwaga, indiańscy wodzowie! – Adam przykucnął i ściszył głos. – Ja teraz pójdę upolować wielkiego koguta... Wytrzymaj nos, Mariola! Chustką! No... Więc upoluję koguta i wyrwę mu pióra z ogona. A po obiedzie zrobimy pióropusze, jasne? Tylko jeśli ktoś z was wyjdzie na ulicę – marny jego los, nie dostanie pióropusza. A teraz kopać tam w piasku, aż się pokaże woda! Przyjdę i sprawdzę!

Dzieci zgodnie kiwnęły głowami i odeszły w kąt podwórka. Kobieta w oknie uśmiechnęła się i powiedziała:

– W porządku, będzie trochę spokoju. Możesz przyjść później na obiad, około trzeciej!

Wyszliśmy na ulicę. Obydwie dziewczyny odwróciły się w naszą stronę, jak na komendę, ale nic nie mówiły. Gdyby i Adam milczał, miałbym trudną sytuację. Nie umiałem zabawiać towarzystwa.

– Kolega... – bąknąłem i nie bardzo wiedziałem, co dalej.

– My się trochę znamy! – powiedziała Irka. – Ze szkoły...

– My już też! – dodał Adam i przywitał się z Elżbietą. – No to co, weźmiecie mnie ze sobą, bo Jurek nie chce...

– Dlaczego nie chcesz, żeby on jechał? – zdziwiła się Irka. Spojrzałem na Elżbietę, uśmiechała się lekko.

– No, ostatecznie... siadaj na ramę! – powiedziałem do Adama i pojechaliśmy.

Dziewczyny wysunęły się do przodu, zauważyłem, że nawet rozmawiają ze sobą.

Zadowolony byłem, że tak mi się wszystko udało. Ale właściwie, po co to zrobiłem? Chyba dość trudno by mi było wytłumaczyć, gdyby ktoś spytał. Uważałem to za dobry kawał, zrobiony... komu? No, właśnie. Irce? Adamowi?

– Ty jednak cwaniak jesteś, nawet nie myślałem! – odezwał się Adam, kiedy wyjechaliśmy z rynku i skręcili w polną drogę prowadzącą do zamku. – Miałeś niegłupi pomysł... Ale zjedź trochę na bok, bo trzęsie... Potem się zmienimy, ja cię wezmę na ramę.

Zmienialiśmy się kilkakrotnie, to jednak było prawie dwa kilometry. Kiedy zaczęło się wzniesienie, Elżbieta zaproponowała, żeby zejść z rowerów. Szliśmy więc koło siebie, na całą szerokość drogi.

Adam mówił prawie bez przerwy, dziewczyny śmiały się, a ja dopiero teraz naprawdę byłem dumny ze swego pomysłu. Gdyby tu Gruby był z nami albo Zbyszek, nie byłoby chyba tak wesoło. Może tylko Zenek potrafiłby tak... Chociaż... bo ja wiem? Nigdy z Zenkiem nie byliśmy w takiej sytuacji, żeby iść gdzieś z dziewczynami. Zawsze włóczyliśmy się wszędzie w swoim własnym gronie, w naszej paczce. On, Zbyszek, Gruby i ja. Nie wiem, czy Adam by do nas pasował. Ale kiedy o tym wszystkim myślałem, wiedziałem już, że lubię Adama. Może właśnie dlatego wpadłem na ten pomysł wspólnego wyjazdu na zamek.

Chłodniej tu było, wśród starych murów syjących się do fosy, porośniętej wysoką trawą, w baszcie pachniało wilgocią. Zamek z bliska wydawał się zupełnie mały, aż dziw, jak się tu kiedyś mogła zmieścić jego załoga. Ruiny nie były groźne, w niczym nie przypominały zamków straszących ponurymi lochami, zakratowanych twierdz wykutych w skale. Na dnie jedynej baszty skakały wesoło żaby, wokół zamku pasły się kozy.

Elżbieta była trochę rozzarowana.

– Naprawdę żadnych legend nie znacie? – dopytywała. – Nie było tu jakiejś zamurowanej księżniczki, złego rycerza? Nikt się z baszty nie rzucał na skały? Nikogo nie otruto?

– Jakoś nie... – powiedział Adam. – Przepraszamy cię bardzo, ale co zrobić? Poprawimy się na przyszłość... Możemy kogoś z miejskiej rady zamurować, kierownika kwaterunku na przykład.

– Parasol mówił, że ten zamek należał do linii obronnej, która ochraniała Kraków od zachodu... – zacząłem się popisywać historią, ale Adam mi przerwał.

– A wiesz... widziałem go wczoraj! Nic mu chyba nie lepiej, tyle że tam ma opiekę.

– Byłeś u Zabelaka w szpitalu?

– Pojechałem tam z bratową do wujka. I przy okazji odszukałem starego... Dał mi klucz od mieszkania, prosił, żeby mu jakieś książki zawieźć. W niedzielę poślę, przez brata, bo się tam wybiera...

Pokręciliśmy się jeszcze trochę po ruinach, ale nie było tu specjalnie co robić. Namówiłem więc Elżbietę, żeby wspiąć się na wewnętrzny mur, zajęło nam to trochę czasu, ale widok stąd był najlepszy.

Adam został z Irką na dziedzińcu, widzieliśmy z góry, jak przysiedli na kamieniach i rozmawiali o czymś.

– Dlaczego nigdy go nie przyprowadziłeś nad staw? – spytała Elżbieta. – To miły chłopak...

– Bo właściwie to ja go dopiero niedawno poznałem... Jak ci wytłumaczyć? Znałem go niby, ale...

– No, to nie tłumacz, wszystko jedno... Specjalnie go chciałeś z nią spotkać? Przy nim

to orla nawet mniej się na ciebie gapi, wiesz? A dlaczego Gruby jakoś ostatnio się nie pokazuje?

– Pojęcia nie mam... Przejął się tym swoim technikum. Może jeszcze coś załatwia? – odpowiedziałem, ale zdawałem sobie sprawę, że to chyba nie jest jedyny powód. Ten dzień, kiedy wyniknęła cała sprawa z Zabelakiem, zostawił jakby jakiś ślad. Trudno to było nazwać, ale coś się popsulo między nami dwoma... a może tylko tak mi się zdawało?

– Ładny widok... dopiero stąd widać, ile tu wszędzie kopalń, kominów! I trochę dziwnie... Ten zamek jakoś nie pasuje tutaj, prawda?

Nie umiałem jej odpowiedzieć, mnie on tu pasował, przyzwyczaiłem się do tych ruin.

Gdyby któreś nocy zniknęły, bardzo goło by wyglądało to wzgórze, brzydko.

– Ale zawsze zamek, to zamek! Chociaż bez legend...

– No, to wymyślimy sobie sami jakąś legendę! – Elżbieta zapaliła się do swojego pomysłu, ale po chwili rozmyśliła się i uśmiechnęła tajemniczo: – Nie! Zrobimy inaczej. Ja sama wymyślę legendę i napiszę ci w liście. Dobrze? W pierwszym liście z Warszawy!

– Dobrze... – zgodziłem się i nagle zrobiło mi się jakoś smutno.

Wracaliśmy trochę inaczej. Powiedziałem Adamowi, żeby jechał na rowerze Elżbiety, a ja wezmę ją na swój. Roześmieli się wszyscy troje i zupełnie niepotrzebnie zacząłem się tłumaczyć:

– Bo ona jest lżejsza, koła nie będą się wrzynać w piach, to jest polna droga...

– Aha, o to chodzi! – powiedział Adam. – No, tak, bardzo bystrze zauważyłeś: tu jest rzeczywiście polna droga! Nigdy bym nie pomyślał!

– A pamiętasz, jak wtedy nie chciałeś mnie wziąć na swój rower? – spytała Elżbieta, już po drodze. – No, wtedy jak jechaliśmy pierwszy raz do ogródka, z nasionami...

– Nie pamiętam... – mruknąłem. – To było dawno. Ale przypomniawszy mi: wpadnij po obiedzie do ogródka, przyjedzie Zenek, spotkamy się tam wszyscy!

Dogoniłem Irkę i powtórzyłem jej to samo. Kiwnęła głową.

– Powiem Zenkowi, dobrze. Adam, ty też przyjdiesz?

– Nie mogę dzisiaj po obiedzie... Już się zaczynam śpieszyć. A jeszcze powinienem teraz jechać z wami pod sam dom, żeby w ogóle mógł was znaleźć potem! Może jutro przyjdę...

„Sprytny jest! – pomyślałem. – Ja bym na to nie wpadł. Rzeczywiście, przecież on nie wie, gdzie Irka mieszka...”

17

Jak to jednak nic nie można przewidzieć i czasami jedno słowo zupełnie wszystko zmienia! Naprawdę przecież cieszyłem się, że Zenek już przyjechał. Dlaczego od razu tak na niego wyskoczyłem? W chwilę potem zły byłem o to na siebie, ale trudno, już się stało. Gdyby zresztą tylko o to chodziło!

Dość długo czekaliśmy z Elżbietą na nich w ogródku. Domyśliłem się, że pewno poszli najpierw nad staw. Zawsze tak było, jak ktoś z nas wracał do Borzechowa z wakacji. Jeśli tylko pogoda pozwalała – szliśmy się wykąpać, jakby na przywitanie miasta. Namawiałem Elżbietę, żeby poszukać ich nad stawem, ale nie chciała.

– To idź sam! Ja tu posiedzę...

Przyszła po obiedzie zupełnie bez humoru, smutna jakaś czy może zła. Nie chciała powiedzieć dlaczego. Usiadła w altanie i milcząco wpatrywała się w liście dzikiego wina, które wchodziły do altany ze wszystkich stron, oplatały pręty ścianek, pięły się aż pod dach.

– Sam nie idę... Jak będą tu chcieli przyjść, to przyjdą! – powiedziałem.

I tak siedzieliśmy jakiś czas. Potem Elżbieta ni stąd, ni zowąd zabrała się do pielenia

jakiejsz grządki, a ja zrywałem agrest, o który mnie babka już kilka dni temu prosiła, na kompot. Kiedy z alejki między ogródkami usłyszałem głośną rozmowę, zacząłem nasłuchiwać.

Elżbieta też przerwała pracę. Od strony stawu zbliżało się kilka osób, głosy wydawały się znajome.

– To oni? – spytała. – Chyba Zbyszka słysząc, nie?

„A on tu po co? – myślałem ze złością. – Chyba nie wejdzie do ogródka? Bałwan...”

Tymczasem właśnie Zbyszek zachowywał się najgłośniejszy, wtórowała mu Irka. Po chwili podeszli pod ogród. Z mokrymi włosami, kąpielówkami w rękach, roześmiani. Był też Gruby, a z nim i pies.

Zenek pchnął furtkę, stanął w wejściu i zawołał wesoło:

– Jak się masz, szwagier? Nie kąpałeś się dzisiaj? Co to, ogródka, pilnujesz?

Gdyby nie Elżbieta, nie zwróciłbym uwagi na tego „szwagra”, zawsze tak mówił do mnie, przecież to tylko żart. Ale teraz była tu Elżbieta, widziałem, jak odwraca głowę w ich stronę i wcale jej ten żart nie bawi. Była też Irka... Znowu zaczniesz robić głupie miny! Więc choć ucieszyłem się, że widzę Zenka, odpowiedziałem ostro:

– Skończ z tym „szwagrem”, bo to już nudne! – i poszedłem w stronę altany.

Czarny stał przez chwilę zupełnie zaskoczony. Nie zdążył się jednak odezwać, bo Gruby odsunął go z przejścia i wszedł pierwszy. Wołał do Elżbiety:

– Nie masz czegoś do jedzenia? Głodny taki jestem, że nie wiem... Dawniej, jak braliście mnie ze sobą, to zawsze nosiłaś jakiś chleb!

– Cały ogródek możesz zjeść... Po co ci chleb? Jedz agrest!

– Jurek! Chyba nas poprosisz do środka? – spytała głośno Irka.

Nie odpowiedziałem nic. Myślałem teraz tylko, jak nadrobić to odezwanie się do Zenka, tym bardziej że przeszedł przez ogród i w ogóle nie przywitał się ani ze mną, ani z Elżbietą. Zabrał się do jedzenia agrestu za przykładem Grubego.

– No, to przyjechałeś... – wykrztusiłem wreszcie. – Cześć, Czarny!

– Cześć... – burknął, nie odwracając się nawet w moją stronę.

Usłyszałem skrzypnięcie furtki i przyszło mi do głowy, że pewno Zbyszek odszedł.

Spojrzałem tam: nie, właśnie zamknął furtkę za sobą i szedł spokojnie z Irką w naszą stronę. Postanowiłem udawać, że nie widzę go, i zachowywać się tak, jakby go tu nie było. Nie dawało mi to jednak dobrego humoru.

Wytworzył się jakiś nieprzyjemny nastrój. Najpierw nikt nic nie mówił, potem zaczęli mówić, nawet bardzo głośno, ale prawie tylko do siebie. Drażniło mnie to. Widziałem wyraźnie, że Elżbieta też nie jest zadowolona z tego spotkania. Zresztą, chyba wszyscy czuli, że coś tu między nami nie jest w porządku, że powinno być inaczej. Nikt chyba wcześniej nie wyobrażał sobie w ten sposób naszego spotkania.

– Dlaczego nie napisałeś ani razu? – zagadnąłem Zenka, żeby w ogóle coś powiedzieć.

– Gdzie ty pojechałeś po obozie? Irka robiła jakieś tajemnicze miny, mówiła, że się domyśla...

– A co ty, dziewczyna jesteś, żebym miał listy pisać? – odpowiedział i wszyscy nagle roześmiali się, jakby to naprawdę było śmieszne. Wszyscy, to znaczy oni, bo Elżbieta się nie śmiała.

– Wiesz, gdzie on był? Zupełnie zbaraniejesz, jak się dowiesz... – zaczął Gruby.

„Więc im już Czarny opowiedział – przemknęło mi przez głowę – a ja się dowiem na końcu...” zawsze było na odwrót. Przecież to ze mną Zenek przyjaźnił się najbardziej.

Dotknęło mnie to, ale spokojnie słuchałem Grubego. Mówił z takim zapalem, jakby to wszystko o nim było, a nie o Zenku, nawet nie ukrywał, że mu zazdrości.

Może nieuważnie słuchałem, a może Gruby tak to jakoś niezręcznie opowiedział, dość że niewiele z tego wszystkiego zrozumiałem. No, świetnie, po obozie Czarny przyłączył się do kogoś tam, przejechali autostopem całe Mazury... I co z tego? Tymczasem oni wszyscy

najwyraźniej oczekują, kiedy ja wybuchnę zachwytem.

– To były wakacje, co? Powiedz sam: chciałbyś tak, nie? – dopytywał Gruby. – Mieli gitarę, dwa namioty... To jest życie!

Prawie bezwiednie spojrziałem na Elżbietę. Miała taką minę, jakby ta cała opowieść dotyczyła zeszłorocznego śniegu, i to jeszcze gdzieś na drugim końcu świata. Ale Irka i Zbyszek wpatrywali się w Zenka z takim podziwem, że rozśmieszyło mnie to.

– Czarny, w przyszłym roku nie opędzisz się od kandydatów na taką wyprawę... Irka będzie pierwsza!

– A co, myślisz, że nie pojechałabym? W domu by się mamę zaczarowało, że jadę do ciotki. Zanim by zdążyły do siebie napisać, to już by było po wakacjach...

– Ja bym też pojechał! – odezwał się Zbyszek, zupełnie jakby ktoś go pytał o zdanie. Elżbieta parsknęła śmiechem i Zbyszek spochmurniał, spojrział na nią spode łba i odwrócił się bokiem.

– Ci dwaj to byli starsi chłopcy, już po maturze... – powiedział Czarny, chyba po to, żeby dać nam odczuć, że taka wyprawa nie jest dla każdego.

– Jak to: ci dwaj? – zapytał Gruby. – A mówileś, że razem was było czterech?

– Nie... Czwarta była dziewczyna! Może zapomniałem powiedzieć? – Zenek wyjaśnił to niby niedbale i popatrzył po nas obojętnie. Trochę dłużej zatrzymał spojrzenie na Elżbiecie.

– Też z Warszawy była! – dodał z jakimś naciskiem. – Poderwaliś ją ‘po drodze, chyba w Giżycku...

– Oczywiście ty ją poderwałeś, prawda? – spytała spokojnie Elżbieta. Chyba tylko ja jeden czułem, że kpi sobie z niego.

Najbardziej przejęta była Irka.

– Dziewczyna? Z trzema chłopakami? Niemożliwe... To jak wyście spali w tych dwóch namiotach?

Zbyszek aż wyciągnął szyję, żeby lepiej usłyszeć. A Czarny odpowiedział: – Zwyczajnie... „Zgrywa się! – pomyślałem. – I po co? Kto mu uwierzy? A jeśli to nawet prawda, że któryś z tamtych starszych chłopców był z dziewczyną, po co on nam to mówi w ten sposób?” Wiedziałem, że Czarny lubi, jak go podziwiają, chce być najważniejszy. Zawsze zresztą wśród nas czterech on był pierwszą osobą. W szóstej i siódmej klasie mówiono nawet o nas: „banda Czarnego”. Pseudonim też sam sobie wymyślił, jeszcze w czasach, kiedy bawiliśmy się w Indian i takie tam różne rzeczy. Nieraz Zenek się zgrywał, ale nam się to nawet podobało, przynajmniej mnie.

Lubiłem go, bardzo, choć może trochę mniej niż Grubego, a może inaczej. U nas w klasie zawsze się liczyło, z kim Czarny jest dobrze, a z kim źle. I wszyscy wiedzieli, że największym jego przyjacielem byłem ja. Więc teraz, choć czułem, że Zenek się wygłupia, machnąłbym na to ręką. Niech sobie opowiada, Zbyszek niech tam go słucha z wypiekami, a Irka niech się zastanawia, jak oni na tym autostopie spali w dwóch namiotach. Trochę mnie to śmieszyło, ale co tam!

– Wiecie... No, to ja bym tak chyba nie pojechała... Sama z trzema chłopakami? – zastanawiała się Irka głośno, zupełnie poważnie.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby jej nie powiedzieć:

– Ty? A kto by ciebie brał na taki autostop? Chyba że do obierania kartofli...

Gruby roześmiał się głośno. Zenek popatrzył na siostrę tak, jakbym wyjął mu to z ust.

– Właśnie!

I wtedy odezwała się Elżbieta. Niepotrzebnie. Chciała wziąć Irkę w obronę? A co ją Irka obchodziła albo w ogóle cała ta rozmowa?

– Głupi dowcip z tymi kartoflami, wiesz? – powiedziała do mnie. – Na pewno byłoby wielu chętnych, żeby ją wziąć na taki autostop. Prędzej ją by wzięli niż was. Nie róbcie z niej idiotki, sami wiecie, że jest bardzo ładna...

Zdębieliśmy wszyscy, nawet Irka spojrzała na nią jakby niechętnie: nie wiedziała, czy ma się obrazić, czy być jej wdzięczna. „Do czego ona zmierza? – pomyślałem. – Irka jest bardzo ładna! Świetny kawał! A poza tym, co to ma wspólnego z autostopem?” Nie odzywałem się jednak. Zrobił to Zenek.

– Ty to byś z nami pewno pojechała, co? – spytał Elżbiety. – Na przykład gdybyśmy właśnie ciebie spotkali w Giżycku zamiast tamtej drugiej warszawianki?

Nie podobała mi się ta rozmowa, przestała mnie śmieszyć. Nie podobał mi się jego uśmiech, z jakim patrzył teraz na Elżbietę. Gruby też poruszył się niespokojnie, zaczął łagodzić:

– No... to znaczy, gdyby jacyś koledzy ci zaproponowali taką wyprawę...

– Dajcie jej spokój! – mruknął Zbyszek. Żałowałem, że nie ja. To właśnie ja powinienem powiedzieć.

– Proponowali mi koledzy z klubu. W tym roku, w sierpniu, mogłam jechać na trochę lepszą wyprawę, samochodem... – odpowiedziała zimno Elżbieta. Wiedziałem, że jest zła i powstrzymuje się z trudem.

– Coś się chyba za bardzo chwalimy... – roześmiał się ironicznie Czarny.

– Ja nie. Bo nie mam czym. Ale ty się chwalisz. Choć też nie masz czym!

– Słusznie! – poparła ją Irka. – W ogóle nie wierzę w tę dziewczynę, co niby była z wami. Zmyślasz!

– Przestańcie... – powiedział Zbyszek i wstał. – Po co się kłócić!

Ale Elżbieta wcale jeszcze nie zamierzała skończyć. Musiało ją to wszystko mocno dotknąć. Mówiła teraz tylko do Zenka:

– Pytałeś co by było, gdybyście mnie poderwali w Giżycku, na te dwa namioty?

Śmieszny jesteś... Możesz być spokojny, że nie poderwiesz mnie ani w Giżycku, ani w Monte Carlo. I nie musisz się tak uśmiechać...

„No i zrobiła się awantura! – pomyślałem. – Prawie z niczego. A teraz już się tak łatwo nie skończy...” Niepotrzebnie Elżbieta odzywała się, mogła się nie wtrącać, niechby sobie gadał głupstwa. Teraz już za późno, teraz i ja będę musiał wtrącić się w to wszystko i diabli wezmą całą przyjaźń z Czarnym...

– Pójdziemy już chyba, Jurek – powiedziała Elżbieta, spokojnie, jakby nic nie zaszło.

– Trochę tu nudno...

I Zenek dopiero teraz zorientował się, że to on jest przegrany w tej rozmowie, że wzięła nad nim górę. Patrzyłem na niego i czułem, że za moment strzeli jakimś mocnym słowem, bardzo mocnym. Zbyszek zaczął nagle głośno zagadywać coś do Irki, wszyscy zachowywali się tak, jakby chcieli jak najszybciej zapomnieć o całej rozmowie. Wiedziałem, że Gruby położył Zenkowi rękę na ramieniu i powiedział mu coś po cichu. I Czarny nie odezwał się już. Miał teraz minę, jakby całe to towarzystwo zupełnie go nie obchodziło, gwizdał sobie przez zęby, zerwał garść porzeczek, zaczął jeść...

Wyszliśmy wszyscy z ogródka.

– Co ty mu powiedziałeś? Tam, przy altanie? – spytałem potem Grubego, kiedy po drodze zostaliśmy trochę w tyle.

– Powiedziałem: „Czarny, daj spokój, przecież to wszystko smarkacze! Co oni wiedzą?” No i dał spokój... Nie wiesz, jak z Zenkiem trzeba mówić? On zawsze musi być górą!

Roześmieliśmy się obydwoj. Gdzie te indiańskie czasy, kiedy Zenek był naszym szefem i chłopcy mówili o nas „banda Czarnego”?

Na moście Elżbieta zatrzymała się i pożegnała tylko z Irką. Poszedłem za nią, bo Zbyszek został z tamtymi, więc mogłem ją odprowadzić do domu.

– I to miał być twój najlepszy przyjaciel? Tyle o nim opowiadałeś... Przecież to głupek jakiś! Zdenerwował mnie tylko!

- Chciał się pochwalić, nie wyszło mu... – tłumaczyłem. – To nieważne przecież, nie masz się co obrażać!
- Właśnie, że ważne. I nie chcę go więcej na oczy widzieć! W ogóle nie chcę, żebyśmy się z nim spotykali. Chyba że ci tak strasznie na nim zależy...
- Nie zależy mi. Wcale! – odpowiedziałem. I to była prawda.

18

Jeszcze jeden dzień i jeszcze jeden. List od mamy nie przychodził. Do końca wakacji pozostał już tylko tydzień. Czekałem, kiedy Elżbieta powie mi, że już musi jechać. Sam nie chciałem o to pytać.

Nie chodziliśmy już teraz nad staw, do ogródka też nie. Jeździliśmy na rowerach za miasto, nie było upałów i Elżbieta twierdziła, że taka pogoda najlepsza jest właśnie na wycieczki. Spodobały jej się rozległe wzgórza naszej kamionki, porośnięte macierzanką i wrzosem, który już prawie zaczynał kwitnąć, otaczające Borzechów ze wszystkich stron pojedyncze szyby wyciągowe naszej kopalni, rozrzucone wśród starych hałd węglowych, na których zasadzono brzozy, bo tylko one przyjmowały się tutaj.

Wróciliśmy właśnie z takiej wycieczki i odprowadzili do domu rowery, choć do obiadu było trochę czasu. Elżbieta poddała myśl, żeby kupić bilety do kina, póki nie ma kolejki.

Grali jakąś komedię i dużo było chętnych.

Tuż koło kina natknęliśmy się na listonosza. Ona pierwsza go zauważyła.

– Poczekaj chwilę! Może coś jest dla mnie z domu...

– Ja też zapytam... – powiedziałem i skręciliśmy w jego stronę.

Zatrzymał się, pogrzebał w torbie. Ale nic nie było, ani do Elżbiety, ani do mnie. Nie mogłem jakoś w to uwierzyć.

– Panie Wierzb! – zawołałem, bo listonosz odszedł już parę kroków. – Może pan jeszcze raz sprawdzi, dobrze? Chyba musi dla mnie coś być...

Odwrócił się, znowu zajrzał do jednej przegródki, drugiej.

– Jak mówię, że nie ma, no to nie ma. Każdego dnia byś chciał? Dopiero wczoraj był list do twojego dziadka...

– Do dziadka? Nie wie pan od kogo?

– A skądże ja mogę wiedzieć? Sam go spytaj!

Zastanowiło mnie to: list do dziadka? Kto do niego może pisać?

Jeden tylko wujek... Byłem u dziadków wczoraj na obiedzie, nic nie wspominali.

Gdyby przyszedł list od wujka, na pewno by się skarżył w nim na mnie, że tak szybko od niego uciekłem. Babka by nie wytrzymała, żeby coś na ten temat nie powiedzieć...

– No chodź... na co czekasz? Zabraknie biletów na balkon – odezwała się Elżbieta i poszliśmy dalej.

Przy kasie było parę osób, wśród nich stary Derda, największy w całym Borzechowie gołębiarz. Przywitałem się z nim i głośno zdziwiłem:

– Pan też do kina?

– No! Co robić, telewizor się popsuł... Nie będę się przecież w moją babę cały wieczór patrzył!

Elżbieta uśmiechnęła się, a Derda dodał:

– Spotkałem wczoraj twojego ojca wieczorem. Mówię mu: „Zajdź do mnie, zobacz, co w tym pudle nawaliło, wypijemy szklaneczkę porzeczkowego!” Ale nie chciał. Mówi:

„Dajcie mi dziś spokój, Derda, z telewizorem, głowy nie mam do takich rzeczy...” To i muszę do kina, co robić?

– Tak powiedział?

– No!

Kupiliśmy dwa bilety i wracali powoli. Elżbieta spytała:

– Twój ojciec umie naprawić telewizor? A czym on jest?

– Ojciec wszystko umie. Myślę, że i odrzutowiec też by naprawił, gdyby go miał pod ręką...

Kiedyś na wsi u wujka zreperował snopowiązałkę!

„Co się z nim dzieje? – pomyślałem. – Zawsze lubił starego Derdę... dlaczego nie chciał do niego iść? A wrócił wczoraj do domu bardzo późno, już spałem...”

– Ale pytałam, jaki ma zawód?

– Kto?

– No, Jurek! Przecież mówimy o twoim ojcu...

– Elektryk... kieruje wentylacją...

I wtedy Elżbieta zaczęła się śmiać. Nie rozumiałem dlaczego. Rozzłościło mnie to trochę. O co jej chodzi?

– Chyba żartujesz! Wentylacją? – i znowu wybuchnęła śmiechem.

– Słuchaj no! Ty pojęcia zielonego nie masz o kopalni! – powiedziałem już teraz naprawdę ze złością. – Wiesz, co to jest cały system wentylacyjny, ile to urządzeń? Bez tego ludzie uduszą się pod ziemią. Zdajesz sobie sprawę, co to jest wentylacja? Z czego ty się śmiejesz? Myślisz, że to wiatraczek w pokoju?

– Jurek, przecież ja...

– Daj spokój! Jak nie wiesz, o co chodzi, to się nie pytaj...

– Właśnie dlatego pytam!

„Gdzie on wczoraj był? A może to ma coś wspólnego z listem, który przyszedł do dziadka?”

– ta myśl zaskoczyła mnie zupełnie. Uczepiłem się jej, choć przecież mogła nie mieć żadnego sensu. Denerwowało mnie, że nic nie wiem. Coś się dzieje dokoła mnie, a ja nic nie wiem!

„Co ja tu robię? Powinienem iść do ojca i spytać o to wszystko, zapytać wprost! Ale jest południe, gdzie go teraz będę szukał po kopalni...”

– Jak nie chcesz się odzywać, to możemy milczeć cały dzień! – usłyszałem po chwili.

Spojrzałem na Elżbietę: miała obrażoną minę, odsunęła się ode mnie, szła po drugiej stronie chodnika.

– O co ci znów chodzi? – spytałem, może trochę spokojniej.

– Mnie? To przecież ty się rzucasz!

– Nie rzucam się wcale... Co chcesz jeszcze wiedzieć? – byłem rozdrażniony i lepiej może, żebym przestał się odzywać, ale chciałem skończyć tę rozmowę i mieć już spokój. – Pytałaś, co on robi, więc ci mówię: jest elektrykiem, inżynierem. Wieczorowym inżynierem... Może to też śmieszne? Niektórzy się z tego śmiali, nawet głośno! Może słyszałaś od Małeckich o takich wieczorowych wariatach? Matka Zbyszka też się kiedyś z tego śmiała, dobrze pamiętam...

Elżbieta stanęła nagle i przerwała mi ostro:

– To ty jesteś wariat! Jak ci przejdzie, to możemy się spotkać w kinie. Masz swój bilet! Nie będę teraz z tobą rozmawiać. Do: widzenia! – i odeszła.

Nie przejąłem się tym. Może i dobrze, że poszła, nie miałem teraz ochoty na żadne rozmowy. Dlaczego przypomniało mi się to określenie „wieczorowy inżynier”? I po co jej to w ogóle mówiłem, kiedy i tak na pewno nie wie, o co chodzi. Niech spyta ciotki, Małeczka jej powie. Tylko już teraz się nie będzie śmiała, tak jak kiedyś...

Dobrze pamiętam tę rozmowę Małeckiej z moją mamą, spotkaliśmy się wtedy na ulicy. „Że też pani puściła męża na tę wariacką historię! – mówiła Małeczka. – Przecież całymi miesiącami go pani w domu nie widzi! Co to za pożytek z takiego chłopca? Ja to powiedziałam mojemu: siedź, jak ci dobrze, i tak nieźle zarabiasz, po co ci to? Ważni wieczorowi inżynierowie!” Mama jej wtedy coś odpowiedziała, nawet dość ostro, tak że potem się pogniwały ze sobą. Ale czułem, że tak po cichu to mama przyznawała jej dużo racji. Tylko że na ojca nie było siły.

Kilkunastu ich wtedy – techników, starych majstrów, sztygarów – kopalnia skierowała do szkoły inżynierskiej w Katowicach. Kilka razy w tygodniu, zaraz po pracy, jeździli z teczkami do Katowic. Stare chłopy, śmiesznie to wyglądało. Wracali prawie w nocy. Potem jeszcze ojciec się uczył. A rano – na kopalnię. I tak w kółko, parę lat.

Patrząc na nich, ludzie pukali się w czoło: wariaci! Mama pytała: „Po co męczysz siebie i mnie? Czy będziesz chociaż więcej zarabiał?” Ojciec mówił: „Nie. Niewiele więcej. Nie o to chodzi...” Nikt z tej całej grupy nie wycofał się i ludzie przestali się śmiać z wieczorowych inżynierów, bo już potem nie byli wieczorowymi. Ale w ciągu tych kilku lat z całej rodziny chyba jedna tylko babka uważała, że ojciec dobrze robi. Mama często mówiła o niej: „Twoja babka jest niemożliwa, choćby on zaczął na rękach chodzić, to babka i tak powie, że on ma zawsze rację!” On – to znaczy ojciec...

Szedłem powoli wałem wzdłuż rzeki i choć nie wiedziałem właściwie, dokąd idę, wcale nie byłem zdziwiony, że znalazłem się przed domem, w którym mieszkali dziadkowie. Na obiad było jeszcze za wcześnie, ale nie myślałem teraz o obiedzie. „Wejdę i spytam o ten list! – postanowiłem. – A jeśli okaże się, że to nie od mamy, wtedy spytam babkę może jeszcze o coś... Trudno z nią mówić, bo dla niej ciągle jeszcze jestem małym chłopcem, którego trzeba pytać, czy ma czystą chustkę do nosa. Ale spróbuję...”

– Nie ma jeszcze obiadu, będzie później. Wytrzymasz! – powiedział dziadek.

A babka:

– Co cię obchodzą cudze listy? Wziął go ojciec, bo to był list do niego, tylko na nasz adres...

I kiedy spostrzegłem, że wcale jakby nie dziwią ich moje pytania, rzucając jedno po drugim, coraz szybciej, coraz gwałtowniej – zrozumiałem, że to, co usłyszę, będzie jeszcze gorsze, niż przypuszczałem. Przez dłuższy czas milczeli obydwój, jakby nawzajem czekali na siebie, które pierwsze zacznie.

Babka stała przy kuchni i przelewała mleko ze szklanki do szklanki. „Nie wiedziałem, czy chce to mleko ostudzić, – czy też odwlec choćby trochę moment, kiedy będzie musiała coś mi powiedzieć. Wreszcie postawiła szklankę przede mną i powiedziała:

– Spytaj swojego ojca, a nie mnie. Czemu wy wszyscy ode mnie chcecie? Najpierw to mądrzejsi jesteście od głupiej babki. A potem to do babki z płaczem...

– Stara! Patrz, do kogo mówisz! – przerwał jej dziadek.

– Nie! Niech wie, niech się dowie! – powiedziała twardo. – Nie moja rzecz rozmawiać o tym z tobą, ale sam mnie spytałeś, Jurek. Może być, że jestem niesprawiedliwa i za stara, żeby ich zrozumieć. Nigdy nie lubiłam twojej matki ani ona mnie... Pij mleko! Mówię: pij to mleko, bo ci wystygnie! Czemu tak na mnie patrzysz? Co takiego powiedziałam? Jesteś już duży i możesz o tym wiedzieć...

– Dość!

Dziadek podniósł się powoli zza stołu i ruchem głowy wskazał mi drzwi. Spojrzałem na babkę, chciałem jeszcze coś powiedzieć... Ale odwróciła się do ściany.

Wyszedłem przed dom, a dziadek za mną. Przez chwilę szliśmy powoli koło siebie.

– Musiałem to zrobić! – odezwał się wreszcie. – I dobrze, że wyszedłeś. Ona jest zdenerwowana... Widzisz, był tu wczoraj wieczorem twój ojciec. Babka płakała potem całą noc.

Po co ci za dużo usłyszeć? Miałbyś potem całe życie żal do babki...

Przystanąłem gwałtownie.

– Ktoś mi przecież musi to powiedzieć! Co się właściwie stało?

– Ojciec powinien. Ale, widzisz... on nie ma dość siły. Zrozum go, Jurek, on boi się powiedzieć ci prawdę...

– Jaką prawdę?

Dziadek zawahał się przez moment. Złąkłem się, że i on mi nic nie powie. To by już

było nie do zniesienia. Chciałem usłyszeć do końca wszystko, dowiedzieć się wreszcie, o czym oni mówią. Miałem już tego wszystkiego dość. Cokolwiek mógłbym usłyszeć, nawet najgorsze, ale chciałem wiedzieć...

– Oni się rozchodzą. Twoja matka wcale nie jest chora, to tylko tak wymyślili, dla ludzi...

Tutaj jest małe miasto, nie chcieli, żeby ludzie zaczęli gadać. Rozmawialiśmy wczoraj długo z twoim ojcem, Jurek. I ty... ty powinienes jechać do niej, powinienes być z matką...

– Rozumiem... – powiedziałem po chwili, tak spokojnie, że aż sam się zdziwiłem. – Rozumiem teraz wszystko... – i szybko odszedłem.

– Jurek, Jurek! – usłyszałem za sobą.

Więc wróciłem do dziadka, przez chwilę patrzył na mnie tak jakoś dziwnie, jakbyśmy się żegnali już dzisiaj.

– Posłuchaj mnie... i zapamiętaj, co ci powiem. Widzisz, ty ich możesz zrozumieć dopiero kiedyś, teraz nie staraj się nawet o to. Bądź odważny, Jurek...

Przerwałem mu:

– Dziadek mnie wyprawia jak na śmierć...

– Głupiś! – zachnął się. – Myślał jak Kopernik, a wymyślił piernik. Nie mów głupstw.

Pamiętaj, że wprawdzie jeszcze musisz zatańczyć na moim pogrzebie...

Mimo woli uśmiechnąłem się. To już był ten sam dziadek, co zawsze, starszek mówiący rozmaite wesołe głupstwa, który przerabiał po swojemu każde przysłowie, odwracał do góry nogami każde powiedzenie.

– Trzymaj się, Jurek. Odważnie... – powiedział dziadek, klepnął mnie po ramieniu i nagle odwrócił się i poszedł w kierunku domu.

Oni się rozchodzą. Więc to tak wygląda. Dlatego wyjechała. Po to było potrzebne kłamstwo o sanatorium. Nie wiem, czy to dziwne, ale idąc teraz ulicą myślałem o tym wszystkim tak, jakby to była historia z jakiejś książki. Jakby zupełnie nie chodziło tu o mnie. Czyta się taką książkę, różne smutne rzeczy w niej się dzieją, ale kiedy już będą zbyt smutne, zawsze można odłożyć książkę i pójść na lody. Przedtem bałem się czegoś nieokreślonego, co otaczając mnie pozostawało jednak nieznanne, nie mogłem mu się przyjrzeć, nie wiedziałem, z której strony na mnie spadnie. i wystarczyło, że dziadek nazwał to, pokazał jakby palcem, mówiąc parę zwykłych, prostych zdań, a wszystko to nagle, od tego momentu, zaczęło się dziać gdzieś poza mną.

Dlaczego nie powiedzieli mi tego wcześniej, zwyczajnie? Oni, którzy zawsze przecież wiedzieli, co trzeba, a czego nie wolno, zawsze umieli mi powiedzieć wszystko, czy pytałem o to, czy nie. A może jednak nie wszystko wiedzieli, nie wszystko umieli... „Oni”? Tak mówił dziadek. „Oni się rozchodzą” – powiedział. I ja, myśląc o tym wszystkim, również używam tego małego słowa „oni”? Małe słowo... małe słowo... małe słowo... – coś jakby zacięło się i dopiero kiedy zorientowałem się nagle, że powtarzam wciąż tę samą myśl bezwiednie, w kółko, jak płyta, przebiegł mnie jakiś dreszcz.

19

Szedłem do domu. Postanowiłem nie wracać już do babki na obiad i w mieszkaniu poczekać na ojca. Gdyby przyszedł tam, powiedzą mu przecież, że już wiem. Nie mogę pójść do kina z Elżbietą, będzie mnie szukał. I nie chcę iść do kina. Dlaczego właśnie dziś musiałem się z nią pokłócić? Pierwszy raz i właśnie dzisiaj. Chociaż... nie kłóciliśmy się przecież. To ja wybuchnąłem, jakby ona była czemukolwiek winna. Szkoda, że nie ma jej teraz, że jestem sam...

A gdyby była ze mną, to co? Co bym jej powiedział? Wszystko, od początku... Co wszystko? Czy ja wiem, gdzie jest początek? I gdybym nawet wiedział, w czym by mi to pomogło? Znam tylko koniec: każą mi stąd wyjechać. I tylko tyle mogę powiedzieć Elżbiecie.

A co powiem ojcu, kiedy przyjdzie? Spytam... nie, o nic już teraz nie będę pytał. Skoro oni nie chcą mówić, niech nie mówią. Nie obchodzi mnie, co się właściwie stało, nie obchodzą mnie ich sprawy.

Gdyby powiedzieli zwyczajnie, po ludzku: „Jurek, rozwodzimy się, matka stąd wyjeżdża, co ty o tym myślisz?” – wtedy mógłbym z nimi rozmawiać. Ale teraz? Chcę tylko usłyszeć, kiedy mam wyjechać... Nie! _Sam powiem, że chcę wyjechać jak najszybciej, choćby jutro, pojutrze. I niech to się już wszystko skończy...

– Jurek! – usłyszałem nagle.

To wołała Irka. Szła po drugiej stronie ulicy, przebiegała teraz jezdnię.

– Co ty tak jakoś wyglądasz? Chory jesteś czy co?

– Dlaczego chory?

– Bo ja wiem, tak mi się zdawało...

– A czego chcesz? Dlaczego wołałaś?

Irka pokręciła głową.

– Co się z tobą dzieje? To już nawet odezwać się do ciebie nie można bez powodu? Ty zupełnie zwariowałaś przez tę dziewczynę...

– Nie pleć, Irka... Powiedz, czego ty chcesz?

– Nic nie chcę... Albo tak, chcę! Żeby już wyjechała... To przez nią z wszystkimi się teraz kłócisz, przez Elżbietę. Zenek tak powiedział dzisiaj. Do Zbyszka. Chłopcy mówią, że zupełnie kota dostałeś!

Co z nią rozmawiać? „Zenek powiedział... chłopcy mówią”. Niech sobie mówią, co chcą. Cóż mnie to teraz może obchodzić? Przestało być ważne, co oni wszyscy myślą o mnie...

– Mogę cię pocieszyć, że straciecie temat! – powiedziałem. – Wyjeżdżam stąd. Jasne?

– Dokąd? – zdziwiła się Irka. – Ty wyjeżdżasz czy ona?

– Ja. Do Australii... – i odszedłem.

– Słuchaj, Jurek! – usłyszałem za sobą. – Lepiszewska cię wszędzie szuka! Właśnie to ci chciałam powiedzieć... a ty się wygłupiasz!

Stara Lepiszewska rzeczywiście wyglądała przez okno i kiedy mnie zobaczyła na podwórzu, zawołała:

– Nareszcie jesteś! Chodź no szybko na górę!

Czekała w drzwiach swojego mieszkania. Bardzo przejęta, powiedziała prawie szeptem, jakby to była nie wiadomo jaka tajemnica:

– Wyobraź sobie, że ksiądz tutaj u mnie już z pół godziny czeka! Na ciebie. Do czego to podobne?

– Nie umawiał się ze mną, to niech czeka... – mruknąłem niechętnie. – Jaki ksiądz zresztą? Czego może ode mnie chcieć ksiądz?

Pomyślałem o proboszczu. O te jabłka jeszcze mu chodzi? Wielkie rzeczy – parę nie-dojrzałych jabłek zerwaliśmy z chłopakami w ogrodzie przy plebanii, a że przy tym jakieś gałęzie się połamały... Przez rok nam tego nie może darować. A Zenka trzy dni brzuch potem bolał... Truczna, a nie jabłka! Tylko kto mógł po roku naskarżyć? Jeszcze tego mi dzisiaj potrzeba...

– No, więc gdzie jest ten ksiądz? – spytałem.

W takim nastroju, w jakim teraz byłem, mógłbym wywołać awanturę z każdym i o wszystko. A co dopiero o zeszłoroczne jabłka.

Lepiszewska wsunęła się do swojego mieszkania, a po chwili wyszedł stamtąd ksiądz Majchrzak. Podziękował jej – jak powiedział: za gościnę – i zwrócił się do mnie:

– Masz klucz od domu? To chodźmy do ciebie, bo mam pewną sprawę...

Dopiero w mieszkaniu spostrzegłem, że wikary trzyma w ręku bardzo starą, wypchaną teczkę, w której najwyraźniej coś się ruszało.

– Nie, nie będę siadał. Spieszę się, już dość długo czekałem! – powiedział. – Szkoda, że ojca nie ma... A może i lepiej! Wiesz, przyniosłem ci sześć pocztowych, te najlepsze. Weź je zaraz do gołębnika, bo się poduszają...

– Nie rozumiem: sześć pocztowych? I co z nimi... – zacząłem mocno tym zaskoczony. Ale Majchrzak zamachał po swojemu rękami.

– Tylko o nic nie pytaj. Zanieś na strych, i już. Ile będziesz miał teraz, razem ze swoimi, co?

– Ile? No... czterdzieści trzy...

– O, widzisz! To już coś jest. Tylko... pilnuj tych pocztowych dobrze? Żeby ci z głodu nie zdechły...

– A co ksiądz też wyjeżdża? – spytałem.

– Jak to: „też”?

Ale nie odpowiedziałem, więc popatrzył tylko na mnie przez chwilę i mruknął:

– No, tak. Każdy ma jakieś zmartwienia... lepiej nie dopytywać. Zmusili mnie, rozumiesz? Co księdzu biskupowi mogły moje gołębie przeszkadzać, sam powiedz? Stare dewotki latały na skargę do proboszcza, że na palcach gwizdzą. A jak gołębie płoszyć? Na flecie miałem grać? Ta baba tutaj też pewno zaraz doniesie, bo mi zaczęły gruchać w teczce, jak u niej siedziałem...

Śmieszne to było trochę, ale i smutne. Zdenerwowany był, pewno mu nielekkko oddawać najlepsze pocztowe. Nigdy jeszcze z nim tak długo nie rozmawiałem, nie znałem go właściwie, ksiądz i tyle. Czasem tylko na plebanię wpadłem, żeby o jakiegoś gołębia spytać, bo wszyscy w Borzechowie wiedzieli, że ksiądz Majchrzak gołębie hoduje. Dlaczego właśnie mnie chce dać te pocztowe? I nagle przyszło mi coś do głowy.

– Mocno ksiądz wtedy wsypałem, z tym naszym rudym, co? Słyszałem, jak proboszcz się wściekał. To od tego cała awantura? Przepraszam, w ogóle go nie zauważyłem...

– To nie twoja wina, wcześniej czy później też by tak było... Przenoszą mnie. Nie ma o czym mówić... – odpowiedział dziwnym trochę tonem. – Do widzenia! – I wyszedł. Nie zdążyłem nawet spytać, co mam zrobić z teczką. Zza drzwi dobiegły szybkie kroki po schodach i głos Lepiszewskiej:

– Niech będzie pochwalony...

– Na wieki wieków amen... – odpowiedział, już prawie z dołu.

„Przysłużyłem mu się przez tego drania rudego... – myślałem, zaglądając do teczki. – I właśnie mnie przyniósł najładniejsze gołębie... Może mu tak na spowiedzi kazali? Żeby było na odwrót: zamiast mnie ochrzanić, daje gołębie... A po diabła mi teraz jego gołębie? Choćby nawet najlepsze...” Lepiszewska czatowała przy drzwiach.

– No i co? – spytała znowu szeptem. – A czegoż to ksiądz chciał od was?

Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Ni stąd, ni zowąd podsunąłem jej teczkę pod sam nos i powiedziałem ze złością:

– Dolary przyniósł. Chce pani zobaczyć? Obrabował bank i przyniósł dolary na przechowanie!

Ojciec Zenka, Kozłowski, który widocznie wybierał się dziś na popołudniową zmianę, bo właśnie czyścił karbidówkę na oknie w korytarzu, zarechotał na głos:

– Bardzo dobrze, Jurek! Brawo! Widzicie, Lepiszewska, jak to nie w każdą dziurę można swój świątobliwy nos wtykać. Dobrze wam odpowiedział!

Podskoczyła aż z oburzenia i zamierzyła się na mnie, ale szybko wbiegłem po schodach na strych. Stamtąd jeszcze, otwierając kłódkę, słyszałem, jak Kozłowski zaśmiewał się, kiedy całą złość na nim wyładowywała:

– Stary chuligan! Łeb już siwy, a w środku jeszcze zielono macie!

– Ja stary? Przecież ja jestem od was najmniej o pięć lat młodszy. Lepiszewska, co wy też gadacie! – drażnił się z nią, jak zawsze zresztą, kiedy tylko spotkali się na korytarzu albo na podwórku, i zanosił się od śmiechu. A karbid śmierdział w całym domu.

...Więc jestem tutaj, w moim gołębniku, tu gdzie nic złego nie może mnie spotkać, gdzie przychodziłem zawsze z każdym zmartwieniem. Mam już czterdzieści trzy gołębie, to bardzo dużo. Jeszcze parę tygodni temu, gdyby ktoś mi dał sześć doskonałych pocztowych – myślałbym tylko o tym, komu się najpierw pochwalić...

Oparłem się plecami o siatkę, która oddzielała gołębnik od reszty strychu. Poddawała się teraz pod ciężarem, sprężynowała lekko. Patrzyłem na gołębie, a one na mnie... Jest i rudy. Gdyby on umiał mówić, co by mi teraz powiedział?

Powiedziałby pewno: oszukali cię, wszyscy cię oszukali! Jesteś smarkacz i masz o to żal do całego świata. Nikogo nie obchodzisz. Kto ci został? Tylko ja i te inne gołębie... Bo kto? Matka, która wyjechała bez jednego słowa, bo pewno bała się je powiedzieć? Babka, z jej wybuchami złości i obiadami o godzinie trzeciej, albo dziadek, który spokojnie powiedział, żebyś nie starał się nic zrozumieć? A może ta dziewczyna, która zaraz stąd wyjedzie, bo już kończą się wakacje? No, kto ci został? Ojciec?

Ojciec... „przyjdź do mnie zawsze ze wszystkim, z czym będziesz chciał...” Tak, przyjdź do mnie. A ty z czym do mnie przyszedłeś? Gdzie ty byłeś, kiedy trzeba było mi powiedzieć to, co najważniejsze? Dlaczego zgodziłeś się, żebym jechał? Teraz już za późno, żeby coś mówić. Dobrze, pojedę stąd! Nic tu ode mnie nie zależy–, wszystko się dzieje za moimi plecami. Przydzielają mnie, jak walizkę...

Gołębie patrzyły na mnie, a ja na rudego. Tyle razy uciekał nam, ale wracał do swojego gniazda... Głupi, zwykły gołąb, a przecież ma gniazdo. Co ja mam? Te gołębie... I to już wszystko?

Początkowo chodziła ta myśl jakby koło mnie, z daleka, bojąc się zbliżyć. A może to ja odsuwałem ją, bo czułem, że to jest zła myśl. Ale teraz wiedziałem już, że się jej nie oprę. Bo nie chcę się jej oprzeć. Wstałem i otworzyłem okienko. Jednego po drugim, wyrzuciłem wszystkie sześć gołębi księdza Majchrzaka. A każdy, ledwo tylko poczuł powietrze pod skrzydłami, wystrzelał w górę jak z procy!

Otworzyłem drugie okienko i trzecie. W gołębniku powstało zamieszanie, wyleciał rudy, za nim inne gołębie. Te, które dreptały po desce, jakby zastanawiając się, co robić, spychałem sam. Ogarnęła mnie jakaś wściekłość. Gwałtownie rzuciłem się po gołębniku, wyszarpując drzwiczki klatek, przewracając miski z wodą. Gołębie płoszyły się, trzepocąc skrzydłami latały jak oszalałe po strychu. Cała chmura gołębi, a ja w środku, wygarniający z klatek coraz to nowe...

Nic mi po nich, niech lecą gdziekolwiek! Jutro, pojutrze wyjadę stąd na zawsze, nie mam już gołębi i nie będę miał. Nic już nie mam. Żadna dobra granica nie oddziela już mojego gołębnika od całego świata...

Pchając się do okienek, biły mnie skrzydłami po twarzy, niektóre siadały na ramionach, na głowie, czepiały się ubrania. Zdejmowałem je i wyrzucałem na dwór. Niech i one nie mają swojego gniazda, niech lecą w świat! Nie chcę ich widzieć. Jeszcze tylko dwa, jeden... I już spokój, nie ma gołębi, jestem sam...

Nie. W najciemniejszym kącie coś się rusza... Skoczyłem tam, ale zabrakło mi odwagi. Tam były małe. Brzydkie, nie opierzone jeszcze pisklęta, a przy nich wielki gołąb. Patrzył na mnie i wydawało mi się, że on jeden się nie boi. Ochroniając małe siedział spokojnie, jakby jakaś inna siła, większa, kazała mu przeciwstawić się mojej złości.

„Dobrze, zostańcie! – pomyślałem. – I tak was kot zeżre.” Zrobiło się cicho.

Zamknąłem strych na klucz i zbiegłem na podwórko. Dopiero tutaj spostrzegłem, że cały jestem spocony i głowę mam gorącą, jak w grypie, i wysuszone gardło aż boli...

– Co, robisz porządki w klatkach? Wypuściłeś je na spacer? – spytał Lach, który prze-rwał rąbanie drzewa i wyszedł z komórki. Wskazał ręką w górę.

– Ładnie idą!

Zadarłem głowę: nad domem kołowały moje gołębie. Rozpadały się na mniejsze grupy i znowu łączyły, wyglądały jak wielka trąba powietrzna, wzbijająca się coraz wyżej.
– Tak. Zrobiłem porządek! – odparłem. I pomyślałem sobie: „Załatwiłem jedną sprawę, choć nie najważniejszą, ale ważną... Mogę już wyjechać.” Nie było mi jednak wcale lżej niż godzinę temu.

Nie mogłem się zmusić, żeby nie patrzeć na gołębie, których się pozbyłem. Przypomniał mi się jakiś film: w podobny sposób krążyły na nim sępy nad karawaną, która ugrzęzła w piasku pustyni... i do nich należało tam ostatnie słowo. Ale gołębie to nie sępy na pustyni. Po paru minutach odleciały znad domu gdzieś dalej, w różne strony, po kilka, po kilkanaście. Postanowiłem pójść w kierunku kopalni, naprzeciw ojcu. Powinien już chyba wracać. Tak, porozmawiam z nim na ulicy. Kiedy dojdziemy do domu, już i ta najważniejsza sprawa będzie załatwiona...

I nagle spostrzegłem, że na komórkach siedzi jeszcze jakiś gołąb. Nie poleciał z innymi? Podeszedłem bliżej: to był rudy. Gwizdnąłem na palcach. Ale nie spłoszył się. Więc rzuciłem w niego czymś, co trzymałem w dłoni. I wtedy uświadomiłem sobie, że to był klucz od strychu, od gołębnika... Rudy nie zwracał na mnie żadnej uwagi. Bezczelnie paradował przed moimi oczami, spacerując po dachu komórek raz w jedną, raz w drugą stronę.

20

Ojciec mówił:

– Więc tak! Powiadasz, że wiesz wszystko od dziadka... Wszystko! Nie używaj tego słowa. Wszystkiego nikt z was nie będzie nigdy wiedział. Bo to niemożliwe. To tylko babce wydaje się, że czarne jest zawsze czarne, a białe jest białe. Mówili, że nie chcę powiedzieć ci prawdy... No, więc powiedzmy, że teraz już znasz prawdę. Twoja matka wyjechała, tak. I może już tu nie wróci...

Szliśmy z ojcem nad rzeką, mówił półgłosem, na pozór spokojnie, jakby do samego siebie:

– Dlaczego nie pożegnała się z tobą? Spałeś wtedy, więc nie wiesz... pocałowała cię i płakała. Uważała, że lepiej ci nic nie mówić... na razie. Bo może jeszcze się wszystko inaczej ułoży. Nie rozumiesz tego. Tak, dziadek ma rację: nie staraj się zrozumieć. To trudne sprawy... dla babki też za trudne. Ta historia o sanatorium została wymyślona nie dla ludzi. Gwizdź na sąsiadów! To było wymyślone dla ciebie... Musimy dać matce trochę czasu, może parę miesięcy... jeszcze wszystko się może zmienić. I wtedy wróci... To ci musi na razie wystarczyć. Rozumiem, jesteś rozżalony, na wszystkich... Co? Tylko nie tym tonem, Jurek! Nie tym tonem do mnie... – Weszliśmy na most, potem na chodnik głównej ulicy, mijali nas teraz ludzie, szliśmy bardzo wolno. – Musisz uwierzyć, że widocznie musiało tak się stać. Nie, nie w czerwcu to zostało postanowione, ale dużo wcześniej. Matka chciała, żeby... Dobrze. Masz rację. Nie mówmy o nas, mówmy o tobie. To jest dla ciebie najważniejsze, powiadasz. Gdybyś jeszcze tylko mógł uwierzyć, że to jest i dla nas najważniejsze...

Jakby gdzieś przed siebie, nie do ojca, powiedziałem ostro:

– Chcę jechać do mamy... Choćby jutro. Tak, pojedę jutro!

Był zaskoczony, przystanął.

– Chcesz jechać... Czy jesteś pewien, że chcesz? Może porozmawiamy jeszcze o tym, spokojnie... na przykład za parę dni porozmawiamy o tym wszystkim?

Nie namyślałem się ani przez chwilę. Nie ma już o czym rozmawiać. Jeśli muszę jechać, lepiej wyjechać już jutro.

– Nie. Jadę jutro! Nie chcę tu zostać... Rozumiesz? Teraz już nie chcę!

Staliśmy naprzeciw siebie, przedłużało się milczenie. Ojciec odwrócił głowę. Powiedział cicho, prawie obojętnie:

– Nie chcesz... Dobrze, rozumiem. Nie mówmy już o tym. Pójdę teraz na pocztę i nadam depeszę do matki. Wyjedziesz jutro po południu...

– Na pewno jutro? – upewniałem się z jakimś maniackim uporem.

Skinął głową i odszedł gwałtownie. Ale po paru krokach, zwolnił, zwalniał coraz bardziej... Szedł przygarbiony, z rękami założonymi do tyłu, jak chodzą starzy, zmęczeni ludzie. Podbiegłem do niego.

– Pójdę z tobą na pocztę...–powiedziałem.

Do rynku nie wymieniliśmy już ani jednego słowa. Szliśmy chodnikiem obok siebie, ale czułem się, tak jakby między nami rozciągał się cały Atlantyk, jakaś wielka przestrzeń, której nie można pokonać. Ja również byłem już zupełnie spokojny. Wszystko jest jasne, jutro pojedę. Trzeba tylko będzie pożegnać się z chłopcami. A Elżbieta? Pójdzie dziś sama do kina, będzie czekała, ale nie przyjdę przecież... No, tak. Trzeba także pożegnać się z Elżbietą. Nie na długo. Spotkamy się tam, w Warszawie.

W depeszy to wszystko wyglądało zwyczajnie, aż śmiesznie prosto. Ojciec odsunął się nieco od okienka i pisał wyraźnymi, drukowanymi literami: JUREK POSTANOWIŁ PRZYJECHAĆ DO CIEBIE JUTRO WIECZOREM, POSPIESZNYM, CZEKAJ NA DWORCU GŁÓWNYM OKOŁO DWUDZIESTEJ STOP.

„Okolo dwudziestej, stop. Tak, a więc już się stało... – pomyślałem. – Jak to pięknie brzmi: Jurek postanowił...”

Z okienka wychyliła się urzędniczka.

– Ty też chcesz blankiet telegraficzny? A może przekaz?

Cofnąłem się.

– Ja? Nie. Ja nic nie załatwiam... Ja jestem z tym panem.

I nagle przestraszyłem się tych słów. „Z tym panem...” Zwykle słowa, a przecież okropne. Spojrzałem na ojca: płacił za depeszę, nie zwracając na mnie żadnej uwagi.

Był już wieczór, kiedy poszedłem pod dom, w którym mieszkali Małeccy. Zawolałem raz i drugi. Elżbieta pojawiła się w oświetlonym oknie, skinęła głową i cofnęła się w głąb mieszkania. Po chwili wybiegła z domu.

Siedziałem na ławce, wbitej w ziemię tuż koło bramy. Widziałem, że jakby zawahała się, ale podeszła do mnie.

– No i co? Przeszło ci już? – zaczęła ironicznie. – Ale do kina nie byłeś łaskaw przyjść! Czekałam jak idiotka. Czy ty sobie myślisz, że ja...

– Daj spokój, Elżbieta... Są ważniejsze rzeczy!

– Stało się coś?

– Niedobrze jest... Tak, coś się stało, dużo się stało...

Zapadło milczenie. Nie przerywała go, czekała, a ja nie wiedziałem, co dalej powiedzieć. I pomyślałem nagle, że może lepiej nic nie mówić? Co mi to da? Albo jej?

– Jurek...

Usiadła przy mnie, bardzo blisko. Powtórzyła:

– Jurek...

Zacząłem mówić. Ale to nie było tylko (tych parę zdań, które usłyszałem od dziadka. To nawet nie było tylko to, co powiedział mi ojciec. I słowa nie były takie spokojne, zwykłe. Dziwna rzecz: słowa. Potrafią przygnieść bardziej niż kamienie. Raz wypowiedziane/leżą już potem pod ręką, nie trzeba nawet schylać się, żeby nimi rzucić. Rzucąłem na oślep, ale trafiałem wciąż tylko w siebie samego. Coraz boleśniej. I coraz jaśniej widziałem, że to wszystko nie jest jednak, niestety, jakąś tam historią z książki, którą można w każdej chwili odłożyć, jeśli staje się zbyt smutna...

– Może to nie jej wina? – powiedziała Elżbieta jakby do siebie. – Nie myśl źle o matce...

Nie bardzo rozumiałem. W ogóle przecież nie myślę teraz, czyja wina. Nie o to mi chodzi, co innego jest dla mnie najważniejsze.

– Wyjadę stąd, Elżbieta... Już teraz nie chcę tu być, rozumiesz? Nie mogę...

– I chcesz wyjechać? Naprawdę chcesz?

– Muszę...

Z okna rozległo się wołanie:

– Ela! Elżbieta!

Ściszyła głos, pochyliła się do mnie.

– To ciotka... Dlaczego musisz? Może lepiej poczekać, tak jak mówił ci ojciec...

– Wyjadę. Będę tam mieszkał, chodził do szkoły... Może nie będzie źle. Gdzieś pod Warszawą, w Otwocku...

Błysnęły jej oczy, zerwała się.

– Jurek, naprawdę? Będziesz w Otwocku? No, to świetnie... To przecież blisko.

O rany, jak się cieszę? Będziemy się widywać, będziesz dzwonił do mnie... Nie pomyślałeś o tym? Przecież często możemy się widzieć! Słyszysz? Choćby co tydzień!

Pomyślałem o tym już wcześniej. No tak, będziemy blisko siebie, będziemy się widywać. Ale nie cieszyłem się teraz tym wszystkim tak, jak ona. Chyba rozumiała dlaczego, przestała się uśmiechać.

– Tak... Tylko nie wiem, czy to dobrze, że stąd jedziesz...

I znowu głos z okna, zniecierpliwiony.

– Ela! Co ty tam robisz?

Nie odpowiadała. Szepnęła do mnie:

– Naprawdę nie wiem. Chciałabym, żebyś tam był... Muszę już iść! Wiesz, tak myślę:

szkoda, że nie jesteśmy starsi. O parę lat... Wtedy na pewno umiałabym ci jakoś pomóc.

A teraz nie wiem, co ci mam powiedzieć. Nie martw się, Jurek... Będziemy blisko siebie!

Wiesz, dlaczego byłam taka smutna wtedy, gdy wróciliśmy z zamku, po obiedzie? Pytałeś

o to w ogródku, nie chciałam powiedzieć ci... Dostałam list, że za pięć dni mam być

w Warszawie. Pisałam do mamy, żeby pozwoliła mi zostać tu do drugiego września. Teraz to już nieważne! Mogę jechać do domu choćby zaraz...

– Elżbieta!

– Idę już, ciociu!

Uśmiechnęła się jeszcze do mnie i zostałem sam. Ale właśnie teraz uświadomiłem sobie, czemu jej to wszystko mówiłem. Bo gdyby nie ona, nie miałbym już komu tego powiedzieć. Chyba dlatego.

Jak właściwie będzie tam, dokąd jadę? Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Jak będzie w Warszawie? No, oczywiście ulice, domy... Ale myśląc o tamtych ulicach i tamtych domach, widziałem je właściwie jako te tutaj, borzechowskie, tylko dużo większe. Tak jakby Borzechów pomnożyć przez dziesięć, może przez dwadzieścia i postawić pośrodku Pałac Kultury, który znałem z kina, z fotografii. Tylko kopalni nie będzie... I stawu. I naszego ogródka. I mostu na Brynicy. I naszego domu... No, więc cóż tam właściwie będzie?

Szedłem powoli ulicą i rozglądałem się, choć ciemno już było, jak ktoś przyjezdny, jakbym pierwszy raz oglądał to wszystko. Albo po raz ostatni. Wiedziałem, czułem przez cały dzień, że coś się dzisiaj kończy, ale nie zdawałem sobie sprawy, że to „coś” zawiera w sobie aż tak wiele...

Długo nie mogłem usnąć, a kiedy obudziłem się rano, wyjątkowo zresztą późno, i wszedłem do kuchni, zastałem ojca siedzącego przy stole i wpatzonego w okno. Może w ogóle nie kładł się spać? Na parapecie okna leżały moje koszule, chustki, sweter – to, co było do zapakowania. Przez poręcz krzesła przewieszane były spodnie i marynarka. Moje świąteczne ubranie, świeżo wyprasowane.

Zjadłem śniadanie i wyszedłem. Nie mogłem znaleźć ani jednego słowa, które chciałbym teraz ojcu powiedzieć.

Grubego nie było w domu i jego matka powiedziała mi, że chyba poszedł

z chłopakami nad staw.

– Tak rano? – zdziwiłem się. – Z jakimi chłopakami. Z Zenkiem? I z kim jeszcze? Ale matka Grubego nie wiedziała, z kim jeszcze, i dodała tylko, że właściwie to nie jest wcale pewna, czy poszli akurat nad staw, ale tak jej się zdaje, no bo gdzie mogli pójść? Właśnie, gdzie mogli iść? W sto różnych miejsc, dobrze o tym wiedziałem. To tylko dorosłym się wydaje, że w Borzechowie nie ma dokąd chodzić. Moja mama też często mówiła: „Nie widziałam jeszcze takiej dziury, jak ten Borzechów. Gdzie tu iść? Zrobisz trzy kroki w jedną stronę – i już kopalnia, trzy kroki w drugą – i już kościół. To straszne, żeby tu mieszkać tyle lat!” Niby dlaczego straszne? I właściwie, ile lat tu mieszkała? Bo ja wiem... Co to można o nich wiedzieć? O własnym ojcu, o matce. Kiedy się tak zastanowić, to okazuje się, że prawie nic o nich nie wiem tak naprawdę. Bo skąd? Sami nic nie mówią. A po co pytać, też nie powiedzą. Dlaczego tak jest? Nie chcą nic o sobie mówić, czy nie mają co. Gdyby tak można jakimś aparatem przeświecić, kogo się chce, i żeby od razu było widać: jaki był kiedyś? Co teraz myśli? Czyby to było dobre, taki wynalazek? Tylko mojej babki wcale nie potrzeba przeświecać. Ona wszystko mówi sama, cokolwiek pomyśli – od razu powie głośno. Ale to też nie bardzo dobre.

A znów dziadek to sam wystarczy za taki aparat. On tu o każdym w Borzechowie coś wie, wszystkich zna. A może i nie wszystkich. Czy mnie na przykład zna? Chyba nie. O mnie to nikt nic nie wie. Może tylko Gruby i Zenek, no... Elżbieta, teraz ona chyba najwięcej. Ale nawet to najwięcej jest tylko odrobiną. A ojciec? Mama? Więc właściwie, ile lat tu mama mieszkała? W każdym razie dużo mniej niż dziadek. A dlaczego dziadek nigdy nie mówi, że Borzechów to dziura?

Ulicą jechały powoli wozy z węglem, jeden po drugim, czasami przelatywał jakiś samochód. Mijałem te wozy: „orzech, kostka I, groszek, kostka II, groszek z miałem, kęsy...”

Po ciemku bym rozpoznał. A mama mówiła, że kiedyś dawniej, jak jeszcze mieszkała w Warszawie, to zupełnie tego nie rozróżniała i wszystko, co czarne – to był dla niej po prostu węgiel, i już. Śmieszne...

– Zbyszek poszedł chyba na ryby! – powiedziała Małecka przez okno, kiedy zagwizdałem pod ich domem nasz stary, umówiony sygnał.

Nie obchodziło mnie zupełnie, gdzie poszedł Zbyszek, chciałem tylko wywołać Elżbietę, żeby się z nią pożegnać. Ale nie podchodziła do okna, więc pewno i jej nie było. Na wszelki wypadek jeszcze raz zagwizdałem głośno, niby na gołębie, i odczekałem chwilę. Gdzie oni się wszyscy wynieśli? Akurat teraz, kiedy mam jeszcze tylko dwie godziny do odjazdu. Byłem zły. I czułem jakby żal do nich. Do wszystkich. Zdawałem sobie niby sprawę, że przecież to przypadek, że gdzieś tutaj są, może nawet i oni mnie szukają. I najważniejsze: że oni zupełnie nie wiedzą o moim dzisiejszym wyjeździe. Nawet Elżbiecie nie powiedziałem, że to już dziś, nie zdążyłem. A jednak byłem teraz wyraźnie zły. Powinni byli pożegnać się, i już. Mogła się domyślić albo spytać, albo... bo ja wiem zresztą. No, więc dobrze. Nie będę się z nikim żegnał, sami sobie winni, że ich nie ma. Chociaż właściwie... gdyby nawet byli, to co? Co bym powiedział – Zenkowi albo Grubemu? „No, to cześć Gruby!” – A on by odpowiedział: „Cześć, Jurek!” I tyle.

Na kopalni odezwała się syrena. Przyśpieszyłem kroku, najwyższy czas wracać do domu. Nagle zaczęło mi się strasznie śpieszyć, jakby mój pociąg już stał na peronie. Zdyszany wpadłem do mieszkania.

– Która godzina? Już czas?

Ojciec odłożył gazetę i spojrział na zegarek.

– No, tak. Możemy już powoli wychodzić. Zajdziemy jeszcze do babki... Chyba chcesz się z nimi pożegnać?

– Oczywiście!

– A z chłopcami? Był tu jeden, nawet go nie znam. Pytał o ciebie...

– Pewno Adam! Nie szkodzi... Napiszę do niego list! – powiedziałem.
Wzięłem walizkę i wyszliśmy z mieszkania.

21

Już dawno nie widziałem babki takiej złej, jak dzisiaj. Co chwila popędzała mnie, że-
bym szybciej jadł obiad, pokrzykiwała na dziadka, tylko na ojca patrzyła jak na powietrze,
jakby w ogóle go tutaj nie było. Ojciec jadł szybko, zupełnie się nie odzywając, a dziadek
ubierał się w odświętne ubranie i co rusz czegoś nie mógł znaleźć.

– No i czego się wierzisz? – pytała babka. – Czego ci znów brak?

– Kamaszy...

– Schyliłbyś trochę łeb, tobyś zobaczył, że są pod łóżkiem...

– Kiedy nie ma... – mrucał dziadek. – A nie... są. Stara, ale nie ma łyżki do butów...

– Przecież leży na krześle!

– A prawda! – zgodził się dziadek. – Widzisz, Jurek, jaki babka ma dobry wzrok, co?

I ona wcale nie jest taka zła, chociaż na oko – to zupełnie car Mikołaj II. Tyle, że bez brody!
Uśmiechnąłem się.

– A tobie wesoło? Cieszysz się, że jedziesz? – mówiła babka z przekąsem. – Przecież
widać, że się cieszysz. Do Warszawy! Bo jeszcze cię tam nie widzieli... No, proszę, on jest
zadowolony... Do kogo ty się właściwie podałeś, co?

– Do mnie! – powiedział dziadek. Wiedziałem, że nadrabia żartami, żeby nie wybuchła jakaś
awantura, ratuje sytuację. – Do mnie się podał. I do ciebie, stara, też. Z urody!

Ale babce nie było do żartów. Westchnęła głośno:

– Ech, wy ludzie! Ty nigdy w życiu nie przejmowałeś się niczym, stary dziadu, zawsze ci
tylko żarty w głowie. Twój syn znowu wielki mądrała, przemądrzył wszystkich... tak,
a teraz jeszcze dziecko zmarnują...

Zaczęła płakać. Stara, prosta kobieta wycierała nos w fartuch, płakała głośno, atmosfera
stawała się nie do zniesienia. Ojciec wstał raptownie, odsunął nie dojedzony obiad
i wyszedł z mieszkania. A dziadek uporał się wreszcie z butami, założył marynarkę
i powiedział poważnie:

– Ucałuj babkę, Jurek. I przyrzeknij, że do niej zaraz po przyjeździe napiszesz. No,
pożegnajcie się. Przestań, babka, beczeć. Ja ci mówię, że on jest mądry chłopak, znajdzie
swoje miejsce... A teraz trzeba już iść!

Babka wyszła za nami przed dom. Odwróciłem się i pomachałem jej ręką. Ale nie
odpowiedziała żadnym gestem. Stała na schodkach bez ruchu i patrzyła na mnie albo
wydawało mi się, że patrzy – w jakiś dziwny sposób. Tak jakbym był kimś obcym, jakbym
już był kimś obcym. I nagle postawiłem walizkę na chodniku i podbiegłem z powrotem do
schodków.

Chwyciłem ją za rękę.

– Babciu... co ja mam zrobić?

Jeszcze sekundę wcześniej nie wiedziałem, że właśnie o to spytam. Nie chciałem o nic
pytać, chciałem tylko pocałować ją w rękę... i żeby nie patrzyła tak na mnie. Ale kiedy pod-
biegłem, zobaczyłem w jej twarzy jeszcze wyraźniej coś, czego przedtem nie okazywała albo
ja nie dostrzegłem. Jakby żal do mnie, niechęć... A więc dla niej i ja tu jestem coś winien? Ja?
A co ja zrobiłem? Przecież tylko wyjeżdżam...

– Powiedz, babciu! Co chcesz, żebym zrobił?

– Jedź. Nie zapominaj... – i jej dłoń zatoczyła łuk, jakby chciała tym jednym ruchem
ręki zamknąć jakiś wielki obszar, coś, co może trudno nazwać. – Nie zapomnij o nas tutaj.
Mam jednego syna... to twój ojciec. I wszystko stracił. Nie wybaczę jej tego nigdy... Jedź,
Jurek, do swojej matki. To nie twoja wina...

Cofnąłem się, ale nie mogłem oderwać oczu od jej twarzy. Nie widziałem jeszcze takiej nienawiści. I pomyślałem, że dla mojej babki w tej właśnie chwili przestałem już cokolwiek znaczyć. Teraz już tylko jeden człowiek był dla niej ważny: jej własny syn. Tylko mój ojciec. I cały świat pewno podzieliła sobie na tych, którzy są z nim, i na tych, którzy wyrządzają mu krzywdę. Czułem, że od dzisiaj dla mojej babki należą już tylko do tych drugich.

Nie starałem się nawet odpowiedzieć, i tak nie czekała na moje słowa. Schyliłem głowę i odszedłem.

Do stacji droga prowadziła nieco pod górę, ale szliśmy dość szybko.

„Gdyby wszystko było tylko tak ciężkie, jak ta walizka – myślałem sobie – o, wtedy mógłbym pod każdą górę wbiec ze śpiewem! Czy oni nie widzą, że za dużo na mnie złożyli? Co ja im wszystkim zrobiłem?”

Niedaleko rynku, przy księgarni, natknęliśmy się na Zbyszka Małeckiego. Był na rowerze. Ukłonił się ojcu i spojrzał na mnie tak, jakby chciał o coś spytać albo czekał, że ja się do niego pierwszy odezwę. Ale kiedy przeszedłem obok, bez słowa, zupełnie obojętnie, Zbyszek wsiadł na rower i szybko odjechał.

Doszliśmy do stacji. Na peronie było już sporo ludzi. Stanęliśmy we trzech pod zegarem, ojciec oddał mi mój bilet, a dziadek zaczął przekładać laskę z ręki do ręki, denerwował się. Co chwilę dawał mi jakieś dziwaczne rady, ale udawałem, że ich słucham. Bo czułem, że gdyby dziadek zamilkł – milczelibyśmy wszyscy. Tak jak przez całą drogę.

– W pociągu nie pij oranżady, bo na pewno farbowana. Patrz się bez przerwy na walizkę, bo ci ukradną. Nie śpij. Albo śpij, tylko walizkę trzymaj wtedy pod nogami...

– Kiedy pod nogami?

– No, jak będziesz spał. Ale najlepiej to jednak nie śpij, bo przejedziesz swoją stację.

– To będzie końcowa stacja...

– Tak się mówi, ale zawsze mogą coś zmienić i pociąg pojedzie dalej. Aha! I nie pozwól otwierać okna, bo przeciąg, powiedz ludziom, że się zacięło. A najlepiej nic do nich nie mów, bo nie wiadomo, co to za ludzie. Jak się będą o coś pytać, to mruknij, że gardło cię strasznie boli...

Ojciec rozzłościł się:

– Co też dziadek wygaduje? Jakies głupstwa!

– Głupstwa? Niech będzie, że głupstwa. Ale, broń cię Boże, nie pij zimnej wody.

A teraz chodź tam do kiosku... napijemy się piwa.

– Nie lubię piwa...

– No, to oranżady!

Ojciec wzruszył ramionami i pozostał przy walizce. A my podeszliśmy do kiosku.

I tam dziadek powiedział po cichu:

– Nie chodziło o oranżadę, bo i tak farbowana, więc ci nie kupię. Jurek... ale masz tu trochę pieniędzy... o! Tylko schowaj dobrze. Może do buta, co?

– Trzysta złotych? Dziadku, przecież...

– Uspokój się! Już! Ani słowa. Nie denerwuj mnie! – ni stąd, ni zowąd zaczął teraz wykrzykiwać na głos i tak wymachiwał laską, że aż kioskarka spytała:

– Co się stało, panie starszy? Jakby co – tam stoi milicjant...

– To niech usiądzie, bo dostanie zylaków! – odpowiedział dziadek. – Dwa duże jasne!

Skinął na milicjanta, a kiedy ten podszedł, dziadek przyjrzał się mu uważnie i zapytał:

– Maciejaka Kleofasa syn, co? Z Zamurnej?

– Zgadza się, dziadku! – uśmiechnął się milicjant.

– No, to łap się, człowieku, za drugie piwo, bo stoisz jak na weselu, a ja nie mam się z kim napić!

Głośnik zapowiedział pociąg do Warszawy. Ogarnął mnie niepokój, czułem, że dopiero teraz zaczynam się denerwować.

Podbiegłem do ojca. To jedno zdanie miałem już od dawna przygotowane:

– Słuchaj, te gołębie, to ja tak ze złości... ja właściwie nawet nie chciałem...

– Jakie gołębie?

– Moje... nasze gołębie. Wyrzuciłem je... wszystkie...

– Nie mów o tym, to nie jest przecież najważniejsze... Jurek, teraz już nie ma czasu.

Bierz walizkę, szybko!

Pociąg się zatrzymał. Z trzaskiem otwierały się drzwi wagonów. Na peronie powstało zamieszanie. Każdy biegł w inną stronę, zaglądając do okien, szukając najbardziej luźnego przedziału. Nic już nie zdołałem powiedzieć, już jest na to za późno... A przecież dopiero teraz zrozumiałem, że tyle jest do powiedzenia! Ten pociąg za wcześnie przyjechał...

Nie słyszałem, co do mnie mówili, ani ojciec, ani dziadek. Milicjant dał mu swój kufel do potrzymania i pomagał mi wnieść walizkę; przedzierałem się przez korytarz, i zaglądając do przedziałów, pytałem, które miejsce jest wolne, ale nikt mi nie odpowiadał; ktoś się z kimś głośno zegnał; jakaś kobieta szarpała swój bagaż, który uwiązał między drzwiami... Wszyscy robili sto niepotrzebnych ruchów, kręcili się, denerwowali. I nad tym całym gwarem donośny głos człowieka, który przez okno bez przerwy wykrzykiwał:

– Halo, jedna mineralna tutaj! Jedna mineralna! Halo, jedna mineralna...

Siłą przepchnąłem się do okna, otwarłem je i wychyliłem się, jak mogłem najbardziej.

Ucałowałem dziadka, który teraz oba kufle z piwem oddał milicjantowi. Złapałem ojca za rękę, dusiło mnie w gardle, nie mogłem powiedzieć słowa.

Wołanie o wodę mineralną zagłuszył ostry okrzyk konduktora. Ucichł trochę gwar.

Z oddali odpowiedziało przeciągłe:

– Goootów! Odjazd!

– Tatusiu! Czemu mnie wysyłacie? Dlaczego zgodziłeś się, żebym jechał?

Pociąg powoli ruszył. Na naszej stacji postój trwał zaledwie minutę. Nie puszczałem ręki ojca, siedł teraz obok wagonu.

Wydało mi się, że i on dopiero w tej chwili mógłby odnaleźć w sobie te wszystkie słowa, które chciał mi wcześniej powiedzieć.

– Wysyłacie? To nieprawda!

Już nie mogliśmy trzymać się za ręce. Pociąg przyśpieszał, ojciec zostawał coraz bardziej. Zawołał:

– Jurek, przecież ty sam chciałeś!

Musiałem cofnąć się od okna. Ojciec zrobił jeszcze parę kroków i stanął: kończył się peron. Wyciągnął rękę, ale nie machał nią, tylko tak, jakby przerwał w połowie słowa, które za chwilę ma dokończyć, a skoro nie zostało wypowiedziane, traci bez niego sens każdy gest pożegnania.

Ktoś w przedziale mówił coś do mnie, ale nie rozumiałem, o co mu chodzi. Nie widziałem stacji, z której wyjeżdżaliśmy, nie widziałem na peronie nic i nikogo. Wszystko odalało się, tylko sylwetka ojca, wciąż stojącego bez ruchu z podniesioną czy jakby wyciągniętą ręką – nie malała, ale rosła, zbliżała się coraz bardziej, przesłaniała wszystko, była tuż, tuż za oknem...

Stacja zniknęła z oczu, zastukały koła na zwrotnicach, pociąg biegł teraz szerokim wykopem, robił wielki łuk, omijając miasto. Jeszcze widziałem najbliższe stojące domy, potem już tylko wieże kościoła. Wiedziałem, że za chwilę przelecimy most i będzie wtedy widać kopalnię i cały Borzechów jak na dłoni, jakby ułożony na wielkim, mocno wklęsłym talerzu. Nie odchodziłem od okna.

Zaraz pociąg będzie musiał nieco zwolnić, zobaczę pewno jeszcze kawałek stawu.

Zawsze podczas kąpieli widzieliśmy, że pociągi w tym miejscu zwalniają, może zakręt jest

zbyt ostry. Już zaczyna zwalniać...

Słońce świeci prosto w twarz, wisi tam, dokładnie nad miastem, razi mnie w oczy.

I teraz cały Borzechów odsonił się nagle: z oddali, jakby pomniejszony, przesuwał się panoramą hałd węglowych, kopalnianych kominów, drzew kryjących dachy miasteczka, wapiennych wzgórz kamionki... Już widać drogę, która prowadzi do ruin zamku. Zaraz ta droga skrzyżuje się z torem kolejowym. Przejazd będzie zamknięty, już pewno stoi przy swojej budce kolejarz z chorągiewką... Tyle razy to widziałem, ale zawsze z tamtej strony, kiedy trzeba było przeczekać, aż pociąg przejedzie. Teraz jestem z tej strony zamkniętego przejazdu, w pociągu. A może na przejeździe ma dzisiaj służbę stary Derda? Wtedy krzyknę: „Do widzenia, panie Derda!” Pewno nie usłyszy. A zresztą: do widzenia?

Jeszcze bardziej zwalniamy. Już nie widać Borzechowa, kryją go drzewa. Tylko komin kopalni można jeszcze dojrzeć. Raz, dwa, trzy, cztery... No i po co liczę? Przecież dobrze wiem, że jest ich cztery. Już przejazd!

Zacisnąłem ręce na szybie. Nie! Nie zdaje mi się. Trzy rowery leżą na skraju drogi!

A przy zamkniętej barierce przejazdu – oni. Machają rękami. Elżbieta! Gruby, Zbyszek...

Chcę coś krzyknąć, ale nie wiem co. Żeby tak jakieś jedno słowo, jedno słowo... Wołają coś, ale pociąg wszystko zagłusza. Przejazd zostaje w tyle. Jeszcze tylko widzę, jak Elżbieta zrywa chustkę, zaczyna nią wymachiwać nad głową – i wyginający się jak wąż pociąg zakrywa wszystko, wybrzusza się łuk wagonów...

Ktoś w przedziale odsuwa mnie od okna, zamyka je ze złością. Niech zamyka. Siadam na ławce, wiem, że teraz nic już nie będzie widać.

Więc jednak przyjechali tutaj, wszyscy troje. Pewno Zbyszek ich zawiadomił, tylko on przecież widział mnie z walizką. Równy chłop ten Problem!

Za cztery godziny na innej stacji będzie na mnie czekała mama. To będzie już końcowa stacja. Wsiądę i powiem: „Już jestem! Chciałem do ciebie przyjechać”. Czy to będzie prawda? Chciałem?

22

W przedziale było już cicho, każdy usadowił się jakoś, przyjrzał sąsiadom, przekonał się, że miejsca jest dosyć, i zajął swoimi sprawami. Nieskomplikowane to były sprawy: jedzenie bułki z kielbasą, spanie, czytanie gazety. Więc spokój. Aż do następnej stacji, na której znowu ktoś będzie wysiadał, ktoś inny wsiądzie i powstanie nowe zamieszanie.

Wyszedłem na korytarz i otworzyłem sobie okno.

Na tej linii pociąg przez całą godzinę jeszcze przesuwa się przez Zagłębie, jakby mu żal było je opuścić. Kręci się między kominami i hałdami, których jest tu mniej, niż to sobie obcy ludzie wyobrażają – i więcej zarazem, przelatuje prawie tuż koło palenisk wielkich pieców Huty Dzierżyńskiego, a w chwilę potem – jakby dla żartu – gubi się w sosnowym lesie, z którego miga na moment tablica z najśmieszniejszą w Zagłębiu nazwą stacji: „Sikorka”; chyba że komuś jeszcze bardziej śmieszną wyda się trochę wcześniejszy Gołonóg, chociaż dla mnie nigdy nie było w tej nazwie nic wesołego.

Każda z tych stacji, oglądanych teraz z pociągu, mijanych szybko, jakby od niechcenia, jakby przestały być mu już potrzebne, coś dla mnie przecież znaczyła. Ząbkowice – tu przyjeżdżało się nad jezioro Pogoria, tu byliśmy z wycieczką szkolną w hucie szkła okienne-go; Łazy – tu Gruby ma ciotkę, a ciotka – konia, na którym uczyliśmy się kiedyś jeździć; Myszków – stąd jest Fornalczyk... To niby nic, ale podczas Wyścigu Pokoju właśnie to było dla nas bardzo ważne.

Fornalczyk... LZS Myszków, potem LZS Będzin. Na pamięć znałem nazwy wszystkich klubów sportowych z tych miast, które teraz pociąg mijał. Fornalczyk – dobry kolarz, ale Wilczewski! I tamten słynny wyścig, kiedy nasza drużyna jechała już tylko we trzech i nie

oddali na terenie Polski ani jednego etapu! Nie, jeden chyba oddali, łódzki, ale też Polakowi, tyle że z Francji. Przypomniałem sobie, jak to Wilczewski wygrał wtedy właśnie w swoim Chorzowie. Po przejechaniu mety zeskoczył z roweru i śmiał się na głos, skakał z radości jak przedszkolak. Dostał od kogoś – „na szczęście” – małego, śmiesznego prosiaka, który wyrwał się i kwiczał, jakby go zarzynali. A cały chorzowski stadion miał już od tej chwili w nosie resztę wyścigu i tysiące ludzi udzielało Wilczewskiemu skandowanych chóralnie rad: „Mietek, zwiąż mu tylne łapy”, „Zwiąż mu przednie łapy!”, „Wilczewski, zjedz go z musztardą!”

Minęliśmy już Zawiercie. Teraz – Częstochowa. Kiedy jedzie się warszawskim pociągiem, to miasto jest jakby ostatnim wspomnieniem po Śląsku. Znowu huta, olbrzymia... Wiedziałem, bo ludzie na korytarzu mówili, że tutaj postój jest nieco dłuższy. Można by wyskoczyć po oranżadę... Ale przypomniałem sobie rady dziadka i uśmiechnąłem się. „Na pewno jest farbowana!” Wróciłem do swojego przedziału.

No tak. Więc teraz naprawdę trzeba zacząć myśleć, że „mój” klub to Legia albo warszawska Polonia? Trzeba się nauczyć mówić: „Jestem z Otwocka!” Może to i dobre miasto, ale przecież nie moje: nawet nie wiem, jak ono wygląda. I zupełnie jakoś nie jestem ciekaw. „A co będzie, jeśli na ligowy mecz przyjedzie do Warszawy sosnowieckie Zagłębie albo Górnik-Zabrze? – przyszła mi do głowy nagła myśl. – Wtedy będę się wydierał: Zagłębie – gola. Brawo – Górnik!” – zdecydowałem bez wahania. Od razu teraz, z góry, żeby już potem nie mieć żadnych wątpliwości.

Jeszcze jedna godzina jazdy, jeszcze druga... Stukot kół układał się w jakąś rozkołysaną melodię, zmieniającą rytm i nastrój, chwilami jakby cichnącą, żeby na moment wybuchnąć jazgotem mijanego właśnie ekspresu. Pociąg zatrzymywał się i znów ruszał. O czym to człowiek nie myśli, kiedy jedzie w pociągu? Nie sposób o tym opowiedzieć.

Za oknami zaczęło szarzeć, powoli ściemniało się, co chwilę przelatywały jakieś zabudowania, wysokie perony, słupy. Warszawa Zachodnia... Wyrzałem przez okno: wyraźnie było widać oświetlony Pałac Kultury. Więc jeszcze tylko kilka minut i wysiadam. Cztery godziny to wcale znów nie tak wiele... a jak bardzo stąd daleko do Borzechowa i do nich wszystkich! Zdjąłem walizkę. Ogarnęło mnie dziwne podniecenie. Jakbym się czegoś bał... Ja? A czego? Pociąg stanął.

Zatłoczony peron szumiał wokół mnie gwarem powitań, rozmów, nawoływania bagażowych krzyżowały się z komunikatami powtarzanymi przez głośniki. Potrącano mnie, nie wiedziałem, czy stać tak przy wagonie, czy razem ze strumieniem wysiadających ludzi przesunąć się do wyjścia. Nagle dojrzałem ciotkę Wandę, która przedzierała się do mnie i machała ręką.

Zarzuciła mnie słowami, których nie bardzo nawet słuchałem, rozglądając się wciąż, gdzie mama. Byłem pewien, że jest tuż obok, że zaraz podejdzie. Ani przez moment nie pomyślałem, że mogłoby być inaczej.

– Nareszcie jesteś... Wystałam się tutaj chyba godzinę... Miałaś pewno tłok, prawda?

Na pewno był tłok! Kto to widział, żeby wybrać taki pociąg? Zupełnie jakby twój ojciec nie wiedział, że przecież musimy jeszcze jechać do Otwocka! Prawie wszystkie pociągi z Katowic przychodzą na Dworzec Śródmieście, a ten właśnie nie. Tam mielibyśmy od razu połączenie... A ojciec właśnie do tego pociągu cię wsadził!

Przedzierał się do wyjścia z peronów, co chwilę rozdzielani przez ludzi... „A może mama czeka przed dworcem?” – myślałem. Ale kiedy przeszliśmy obok długiej kolejki ludzi walczących o taksówki na dworcowym placu i po drugiej stronie ulicy zaczęliśmy schodzić w dół, na perony stacji elektrycznych pociągów, zrozumiałem, że mama nie przyszła.

I wtedy przeraziłem się, zakołatała mi w głowie rozpaczliwa myśl, że może z mamą jest coś niedobrze? Może chora albo jakiś wypadek?

Ciotka mówiła o stu rzeczach, a ja czekałem, kiedy powie o tej jednej, jedynej, która

była dla mnie teraz ważna. Dopiero w pociągu elektrycznym, kiedy już ruszył, powiedziała:
– No i co? Nie pytasz o matkę? Nie mogła przyjść po ciebie, bo jej tu nie ma. Szczęśliwie udało mi się ją namówić i pojechała ze znajomymi na parę dni nad morze... Wysłałam jej zaraz list, po tej depešy od twojego ojca, że przyjeżdżasz...

Jechaliśmy teraz przez długi tunel, migocący co parę sekund lampami, po obu stronach pociągu. Ciotka przekrzykiwała łoskot:

– Pewno jutro dostanie ten list... Poczekasz tu parę dni na matkę, niech potem zdecyduje, co ma być z tobą, ja nie chcę się wtrącać...

Słuchałem bardzo uważnie, każde słowo miało swoje znaczenie. Może w rzeczywistości mniejsze, niż do nich przywiązywałem, ale zapadły we mnie głęboko. Pociąg wysunął się z tunelu, jechaliśmy teraz przez most na Wiśle. Wstałem i podszedłem do okna. Słyszałem jeszcze za sobą:

– Tylko pamiętaj, nie przeszkadzaj za bardzo Stasiowi, bo przygotowuje się do jakiegoś bardzo ważnego egzaminu...

Oświetlone mosty odbijały się w Wiśle, na tamtym brzegu, z którego jechaliśmy, zostawała rozjarzoną panorama miasta. Pierwszy raz widziałem Warszawę, ale nie o tym teraz myślałem. Nie ma jej tutaj... Dlatego nie przyszła. Przyjedzie, to zdecyduje. Co ma zdecydować? Po prostu jej nie ma. Tak zwyczajnie...

...Wszystko wygląda inaczej, wszystko. Więc leżę na rozkładanym polowym łóżku, boję się ruszyć, bo łóżko okropnie skrzywienie mogę usnąć i równocześnie w żaden sposób nie mogę odpowiedzieć sobie na pytanie: co się właściwie stało, o co mi chodzi?

Jest ciemno, z trudem odróżniam kontury obcych sprzętów w cudzym mieszkaniu, które od dzisiaj ma być również i moim. O co mi chodzi? Przecież wiedziałem, dokąd jadę. No więc?

Późno usiedliśmy we trójkę do kolacji. Kiedy witałem się ze Staszkiem, pomyślałem, że jednak będzie tu raźniej z nim niż z samą ciotką. Mało go znałem, raz tylko, ze trzy lata temu, był u nas w Borzechowie – na święta. Też się wtedy ciągle uczył, do matury. Był tak przeraźliwie poważny, że Czarny powiedział do mnie: „Ziewać się chce na jego widok... Ty wiesz co, Jurek? Uważaj, bo on ma taką mądrą minę, że jeszcze gotów któregoś dnia penicylinę wymyślić. I co wtedy?”

Staszek mówił mojej mamie po imieniu; ciotka Wanda była od niej dużo starsza i kto ich nie znał, nigdy nie pomyślałby, że to siostry, raczej on wyglądał na brata mamy.

W pierwszej chwili po wejściu do mieszkania wydawało mi się, że Staszek ucieszył się z mojego, przyjazdu. Potem, przy kolacji, nie byłem już tego tak bardzo pewien.

Ciotka spostrzegła, że przyglądam się stojącej na kredensie fotografii kilkunastoletniej, ładnej dziewczyny w harcberskim mundurku. Uśmiechnęła się:

– Tak, to twoja mama... Ładne miała warkocze, prawda? Nie znałeś tego zdjęcia? A ja bardzo je lubię...

I ciotka rozgadała się na dobre.

– Dla mnie twoja matka zawsze będzie taką małą dziewczynką... To ja wychowywałam ją, kiedy nasi rodzice zginęli w powstaniu. Potem poznała twojego ojca, tutaj, w Warszawie. Nawet nie wiem, w jaki sposób... On tu przyjeżdżał do ministerstwa czy coś takiego. No, i wielka miłość! Nie chciałam jej puścić, ale uparła się. A miałam rację, bo wyszłaby tu porządnie za męża i nie jechała do tej dziury z takim człowiekiem... Mój Boże, ile ona przeszła. Dobrze, że teraz może chociaż trochę odpocznie!

Nie zwracała na nas uwagi, mówiła właściwie do siebie i wyraźnie wzruszona była własnymi słowami. Staszek podniósł głowę znad stołu, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie odezwał się.

– Ile ona tam wycierpiała... – ciągnęła ciotka. – To się musiało tak skończyć. Gdyby

nie dziecko – to znaczy ty, Jurek – powinna już tu wcześniej wrócić...

Ani drgnąłem. Coś tylko jakby zacisnęło się we mnie, z trudem łykałem herbatę, ale nikt tego nie mógł przecież dojrzeć. Ta dziura – to Borzechów, taki człowiek – to mój ojciec. Czuję, że muszę tego wszystkiego wysłuchać spokojnie. I nie wiem, czym to tłumaczyć, ale byłem zupełnie chyba spokojny.

– Na przykład, co takiego wycierpiała? – usłyszałem swój własny głos.

Ciotka zaczęła sprzątać ze stołu. Kręcąc się po kuchni, mówiła:

– Co ty tam zrozumiesz! Wiele przeszła, czasem mi o tym pisała. Jak ktoś ma taki charakter, jak twój ojciec, to nie powinien się żenić... No i taka okropna dziura ten wasz Borzechów. Nie byłam tam, ale sobie wyobrażam!

Staszek skrzywił się i poruszył na krześle.

– Za to Otwock to już prawie Paryż! – powiedział.

Ale ciotka jakby nie dosłyszała. Uczepiła się swoich myśli i powtarzała je z jakimś tępym zapamiętaniem. A może naprawdę wierzyła głęboko w to, co mówi?

– ...Bardzo źle się tam czuła. Tyle odpoczęła, co tutaj do nas każdego roku przyjechała na tydzień, dwa...

Staszek gwałtownie wstał od stołu.

– A może by mama już przestała, co?

– Oczywiście, że nie ma co z wami o tym rozmawiać! – zgodziła się. – Bo co wywiecie? Ale ten twój ojciec... wiesz, że o tego już nie posądzalam!

– O co? – spytałem.

Przez chwilę w kuchni było zupełnie cicho. Czekałem na odpowiedź jakby za nas obu, za siebie i za ojca. To bardzo dziwne, ale słuchając tego wszystkiego, co mówiła, widziałem nie ciotkę, ale wciąż tylko jego.

– Więc o co ciocia nie posądzała mojego ojca? – powtórzyłem tak spokojnie, jak tylko mnie było na to stać.

Zawahała się trochę, ale jednak chęć powiedzenia tego była od niej silniejsza.

– Widzisz, nie zrozum mnie źle, ale nie posądzałam go o to, że będzie się chciał pozbyć kłopotu z tobą, że przerzuci to na jej głowę! Cały rok upierał się, że musisz zostać z nim i że zostaniesz tam. Twoja matka już by się z tym może pogodziła... Ułożyłaby sobie tu jakoś życie. Tłumaczyłam jej, że za parę lat i tak przyjedziesz pewno do Warszawy na studia, będziesz potem z nią... A on nagle przysyła depeszę i ładuje cię w pociąg. Od ręki załatwił sprawę, został wolny...

I w tym momencie widocznie uśmiechnąłem się albo zaskoczyło ją coś w mojej twarzy, bo ciotka nagle urwała. Ale nie umiałem się powstrzymać. Tak. Gdybym tylko mógł, śmiałbym się na głos. „Ty głupcze! – myślałem o sobie. – Widzisz teraz, jak to wszystko wygląda?” Co ten dziadek nakręcił?

Wstałem, podszedłem do swojej walizki i pochyliłem się nad nią. Zamki odskoczyły z trzaskiem, wyjąłem piżamę.

– Gdzie będę spał, ciociu? – spytałem.

Spojrzeli na siebie trochę dziwnie, ale ze wszystkich rzeczy na świecie najmniej obchodziło mnie w tej chwili, co sobie o mnie mogli pomyśleć.

...Więc leżę na tym przeraźliwie skrzypiącym łóżku polowym, które śmierdzi piwnicą, skąd zostało na mój użytek przyniesione, nie mogę usnąć i wiem już na pewno, że wszystko wygląda zupełnie inaczej, niż mi się wydawało.

Nie jest mi nawet specjalnie smutno, nie żałuję, że przyjechałem. Teraz wiem już, że tutaj nie jestem nikomu potrzebny. To bardzo dobrze wiedzieć o tym na pewno.

Gdyby jeszcze to łóżko nie śmierdziało tak strasznie. Nigdy nie mogłem znieść stęchłego zapachu piwnicy... W pokoju jest cicho, wszyscy już śpią. A u nas? Siedzi teraz pewno przy stole i myśli o mnie. Jest przekonany, że mama dzisiaj długo ze mną rozmawiała, że

ucieszyła się z mojego przyjazdu... Żle, że zniszczyłem gołębnik... to były wspólne gołębie, jego i moje. Nie miałem prawa.

23

Ciotka chodziła do pracy. Staszek uczył się albo, przepadał gdzieś na całe godziny. Więc obijałem się po Otwocku, siedziałem sam w mieszkaniu... Najwięcej jednak czasu spędzałem w ogródku, przed domem, bo mieszkanie ciotki wydawało mi się coraz bardziej obce i wstrętne. Tak jak i ona sama.

Prawie nie rozmawiała teraz ze mną, zresztą wcale nie miałem na to ochoty. Może nawet żałowała, że pierwszego wieczoru tak wiele mówiła. A może Staszek zwrócił jej na to uwagę? Zauważyłem, że nie żyją ze sobą w zbyt wielkiej zgodzie, czasem spoglądała na niego tak samo spode łba, jak i na mnie. Przyszło mi do głowy, że może pokłócili się właśnie przeze mnie? Postanowiłem porozmawiać o tym ze Staszkiem, ale nie było okazji. Nie mogłem przecież mówić przy ciotce, a kiedy znów zostawaliśmy sami, brał książki i znikał z domu. Chyba nie specjalnie, choć na to wyglądało.

Dziwiło mnie trochę, że nie przejmuję się tym wszystkim tak, jak w Borzechowie.

Czułem się tutaj jakby jakiś inny niż tam, w domu. Tu nie byłem wśród swoich, nie chciałem mówić tego, co myślę – więc milczałem. Podejrzliwie słuchałem każdego słowa, które wymieniali ze sobą, nie pytałem o nic i oni mnie nie pytali. Złapałem się na tym, że specjalnie robię ciotce różne drobne rzeczy na złość. Sprawiało mi to przyjemność.

Zgrywałem się, jak czasem Zenek to lubił robić. Gdyby mnie teraz widział, byłby dumny, że czegoś tam się od niego nauczyłem, w końcu trzy lata był szefem naszej paczki.

A w duchu śmiałem się, kiedy ciotka zgrzytała zębami. Nawet chciałem, żeby wybuchła jakaś awantura, o byle co. Ale ciotka panowała nad sobą, choć widziałem, że nieraz chętnie by mnie zdzieliła przez głowę. Gdyby mogła.

Zaraz pierwszego dnia popsuło się radio.

– Pewno kręciłeś na wszystkie strony, no i teraz masz! – naskoczyła na mnie dość ostro.

– Kręciłem? A co na takim gracie można wykręcić? – roześmiałem się ironicznie. –

U nas w piwnicy stoi pięć razy lepsze od tego. Jak ciocia chce, mogę napisać do ojca, niech odkurzy i przyśle w prezencie...

Przełknęła to, ale z trudem. Więc powiedziałem:

– Mogę zajrzeć do tego grata, co mu jest...

Postawiłem radio na stole, wyjąłem z niego wszystkie lampy, kondensatory, co się dało.

Zacząłem oglądać pod światło. Dobrze, że akurat Staszka nie było. Przecież on by się chyba orientował, że w ten sposób nic nie można sprawdzić. Ale ciotka patrzyła na mnie z nabożnym skupieniem. Pojęcia nie miałem, co się w radiu zepsuło, ojciec by wiedział, a ja niby skąd?

– No i co tam widzisz? – spytała.

– Lampa LX07 spalona, niech ciocia jutro kupi, to ją wstawię! – orzekłem. Zmyśliłem sobie to oczywiście.

Zostawiłem cały ten bigos na stole i poszedłem spać. A następnego dnia, kiedy powiedziała, że w sklepie nie ma takich lamp, | zacząłem się głośno śmiać:

– Co tu u was w ogóle jest, w tym Otwocku? Mogę napisać do ojca, to cioci przyśle worek lamp...

– Obejdzcie się! – burknęła i kazała potem Staszкови odnieść radio do naprawy.

W niedzielę poszedłem na stację, niby po gazetę.

– Tylko wróć najpóźniej za godzinę! Nie lubię, jak się czeka z obiadem! – uprzedziła ciotka.

Gdyby tego nie powiedziała, może bym i wrócił. Na stacji jednak akurat stał pociąg

elektryczny do Warszawy. Kupiłem więc bilet i pojechałem.

Wielki plac przed Pałacem Kultury pełen był autokarów, coraz to wysiadała jakaś wycieczka i sunęła w stronę Pałacu. Słońce przygrzewało, na każdej prawie ławce na skwerze siedzieli ludzie. I wszędzie pełno gołębi. Może właśnie dlatego poczułem się jak u nas, zwyczajnie, jakbym nie pierwszy raz tutaj był.

Zacząłem się włóczyć po mieście, zupełnie bez celu. Wsiadałem w coraz to inne tramwaje, autobusy i wysiadałem z nich, gdzie mi przyszła ochota. Miałem przecież pieniądze, te od dziadka, dużo pieniędzy. I miałem czas. Gdzie się mam śpieszyć? Do ciotki? Do jej obiadu? Niech czeka. Czuję się tak, jakby całe to wielkie miasto należało teraz do mnie.

Wyobrażałem sobie, że jestem tu z Elżbietą. To ona pokazuje mi Stare Miasto, z nią idę Alejami i Nowym Światem... Zatrzymujemy się przy wielkich wystawach, pijemy wodę z sokiem przy ulicznych wózkach, kupujemy lody. Opowiada mi, które miejsca i ulice najbardziej lubi, gdzie chodzi na spacer, jakim autobusem jeździ do swojego klubu sportowego. Oglądam jej szkołę, potem patrzymy razem na Wisłę z mostu... I zastanawiamy się wspólnie: a może iść do parku, a może na plażę? Pełno tam ludzi! Aż trudno uwierzyć, że tyle ich jest dzisiaj nad rzeką. Suną po niej motorówki i ślizgacze, błyszczą w słońcu białe trójkąty żagli... A tu, niedaleko brzegu, przecina wodę łódź sportowa, jedna, druga. To czwórki ze sternikiem. Może jakiś wyścig? Ładnie jest w Warszawie...

I męczy mnie tylko jedno: dlaczego tak trudno mi wyobrazić sobie Elżbietę tu, na tych ulicach, w tym mieście? Dlaczego ciągle widzę ją tam, u nas, nad naszym stawem, w naszym parku kopalnianym, na kortach tenisowych i koło baszty borzechowskiego zamku?

Tamta Elżbieta jest prawdziwa, wiem to już na pewno. Tutaj nawet ja jestem inny, nie mogę samego siebie poznać... Więc i tamtą Elżbietę z wakacji trudno mi będzie tutaj odnaleźć. Dlaczego tak jest?

Zaskakuje mnie nagła myśl: a może ona już przyjechała? Może siedzi teraz w domu i czeka na mnie albo jest tam, na tej plaży? A może idzie sąsiednią ulicą i nawet nie wiem o tym, że byliśmy tak blisko siebie?

Gdzie ona właściwie mieszka? Nie mam adresu, nie pomyślałem o tym, ale mówiła kiedyś o telefonie, znam przecież nazwisko... Rozejrzałem się: nie, tu na moście nie ma automatu, trzeba wrócić! Wszedłem do najbliższej budki telefonicznej koło Muzeum Wojska. Przez szybę widzę działa, czołgi, samoloty ustawione na dziedzińcu. Przy drzwiach budki stoją już dwie, trzy osoby... czekają na mnie, kiedy wyjdę. A ja nie mogę sobie jakoś poradzić z książką telefoniczną, szukam wciąż i szukam... Jest! Nazwisko, adres...

Wykręciłem numer i dopiero teraz, kiedy usłyszałem sygnał, poczułem, że zdenerwowałem się i chyba nie potrafię powiedzieć słowa, nie będę wiedział, jak zacząć.

– Dzień dobry! Czy jest Elżbieta? – wykrztusiłem wreszcie.

– Elżbieta? Ela? Nie, nie ma jej w Warszawie. A kto mówi?

„To pewno jej matka, no bo kto? – myślę. – Więc Elżbieta nie wróciła jeszcze... Kto mówi? Co odpowiedzieć? Kolega?” I nieoczekiwanie dla samego siebie mówię do słuchawki swoje imię i nazwisko. Tam, po drugiej stronie, chwila ciszy. I wreszcie pytanie, które mnie zaskakuje:

– Jurek? Z Borzechowa? A skąd ty dzwonicz?

– Tutaj... przy moście Poniatowskiego jestem, koło muzeum! – odpowiadam. „Skąd ona może mnie znać?” – przebiega mi przez myśl.

– No, to na szczęście blisko. Pewno jesteś z wycieczką, prawda? Szkoda, że Ela nie zabrała się z wami... Słuchaj, a może wpadniesz do nas na chwilę? Jeśli masz trochę czasu...

– Oczywiście! Dziękuję bardzo... – i powiesiłem z ulgą słuchawkę.

Wyszedłem z budki zupełnie spocony. Musiałem jednak jeszcze raz tam wrócić i jeszcze raz przeszukać książkę telefoniczną – nie pamiętałem adresu. Ale potem już i ulicę,

i dom odnalazłem bez trudu..

Mała kuchnia, jeden pokój... rozglądałem się po nim i ciągle jeszcze nie mogłem uwierzyć, że siedzę w mieszkaniu Elżbiety, a ta pani jest jej matką. Na tapczanie, owinięty w coś, spał jakiś strasznie mizerny niemowlak. To przez niego posłano Elżbietę na wakacje do Borzechowa. Nigdy bym nie uwierzył, że dziecko może być aż takie małe. Jak to brać w rękę, co się z takim robi?

– Bardzo dobrze, że zadzwoniłeś... Więc przyjechałeś z wycieczką? Pewno z kopalni, autokarem?

Kiwnąłem głową. Niech będzie, że z wycieczką. Po ‘co mam opowiadać o swoich sprawach? Potem Elżbieta jakoś jej to wytłumaczy.

– Że też siostra nie wpadła na pomysł, żeby Elę z wami wysłać! Byłoby taniej i w ogóle... Ona ma jutro przyjechać, tak jej kazał ojciec, depeszę wysłał. Przecież już zaraz szkoła się zacznie... Widzisz, jak my tu mieszkamy? Okropnie ciasno. Ale najdalej za rok mamy dostać nowe mieszkanie. Więc tak wyglądasz. Chyba podobny jesteś do ojca, co? Nawet na pewno. Dziwisz się skąd znam twojego ojca? Przecież my też jesteśmy z Borzechowa. I ja, i mój mąż. Nie wiedziałeś? No, to o czym wy z Elą rozmawiacie, skoro ci nawet tego nie zdążyła powiedzieć!

Nie dopuszczała mnie, na szczęście, do słowa. Mówiła to wszystko tak, jakbyśmy się dawno znali, jakoś zwyczajnie, jak dorośli rozmawiają ze sobą. Nie pytała, czy się dobrze uczyć i kim chcę być.

Poczułem się trochę pewniej. „Jak się uczysz, kim chcesz być?” – to są te pytania, które większość ludzi dorosłych ma zawsze w zanadrzu na nasz użytek. Wydaje im się, że są wtedy szalenie przyjacielscy, kiedy o to pytają. Nie znosiłem takich pytań, nikt ich nie lubi. Tak samo jak dawniej nie cierpiałem, kiedy mnie zagadywano: „Jureczku, kogo bardziej kochasz – mamusię czy tatusia?”

Niemowlak zaczął popłakiwać, ale dostał smoczek i uspokoił się. A mnie przyszło do głowy głupie pytanie: ten mały kiedyś dorośnie i on z kolei też będzie wtedy pytał dzieci, jak się uczyć i kim chcą być? I tak już będzie w kółko, do końca świata?

– Elżbieta miała do pani żal... Że pani ją tam wysłała, a ona chciała tu pomagać przy dziecku! – powiedziałem.

– Wiem. Jeszcze dość się napracuje przy dzieciach. Ma czas... Zła była na mnie strasznie, jak wyjeżdżała. Ale potem pisała, że ma udane wakacje, no więc wszystko w porządku!

Uśmiechnęła się lekko.

– Wiesz, Ela mi pisała, jeszcze do szpitala, że wspaniale pływasz i w ogóle jesteś wyjątkowy... Tobie też zdążyła powiedzieć, że jesteś wyjątkowy? Nie? No, widzisz, dziewczynki są skryte... Pewno się z tobą cały czas kłóciła? Ona potrafi być niemożliwa...

„Więc oni nic o nas nie wiedzą? Zupełnie nic... – pomyślałem. – Tak jak i my nic nie wiemy o nich. Jakbyśmy w ogóle się nie znali ze sobą. Może tak musi być?”

W drzwiach już, kiedy dziękowałem za pozdrowienia dla rodziców i dziadków, padło jednak to pytanie:

– A ty jak się uczysz, Jurek? Dobrze? A kim chcesz być?

Roześmiałem się:

– Tak sobie, nieźle... Nie wiem jeszcze kim. Zobaczę...

Wróciłem do Otwocka pod wieczór.

– Zbłądziłem w Warszawie, przepraszam... – powiedziałem do ciotki. – Jak się przyjeżdża z takiej dziury, jak Borzechów, to chyba można w Warszawie zabłądzić, nie?

Zjadłem kolację, a właściwie obiad. Staszek uczył się w kuchni, ciotka cerowała coś.

Wziąłem do ręki gazetę, przejrzałem... i nagle, nie wiem czemu, przyszło mi do głowy, że

przecież jestem tutaj już trzeci czy czwarty dzień, a nie napisałem nawet kartki do Borzechowa. Obiecałem przecież babce, może martwią się, czy w ogóle dojechałem do Warszawy...

– Ma ciocia jakiś papier listowy? – spytałem.

– A poszukaj tam w kredensie, w szufladzie... Pod tymi szpargałami!

Otwarłem szufladę, pełna była jakichś rachunków, świstków, rozmaitych rzeczy. Zacząłem przerzucać je, przekładać z ręki do ręki... W pewnym momencie znieruchomiałem.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom: trzymałem w ręce mój list do mamy, w ogóle nie otwarty.

Nie wiem, jak długo stałem tak z tym listem, próbując się uspokoić, ułożyć sobie to jakoś w głowie, wytłumaczyć.

– No i jak? Znalazłeś papier? – usłyszałem z kuchni głos ciotki.

Podszedłem do niej i podsunąłem jej list pod sam nos.

– Wysłałem to trzy tygodnie temu! Dlaczego nie przeczytała?

Ciotka wzięła kopertę do ręki, poprawiła okulary. Myślałem, że zmiesza się, zacznie coś tłumaczyć. A ona spokojnie, jakby nigdy nic, powiedziała ze zdziwieniem:

– Coś podobnego! No, widzicie, jaką to człowiek ma głowę! Zupełnie zapomniałam jej to dać... Wsadziłam gdzieś i wyleciało mi z pamięci! Ale nic się chyba nie stało... Czy to takie ważne?

Staszek podniósł głowę, popatrzył na nią, na mnie.

– Nic się nie stało! To głupstwo! – i wyrwałem jej list z ręki.

– No widzisz, nie pomyślałam... – zaczęła ciotka, ale Staszek przerwał jej ostro:

– O wielu rzeczach mama nie pomyślała! Na przykład o tym, że on musi iść za dwa dni do szkoły! Ja mamę ostrzegam, że to się wszystko źle skończy! – krzyknął prawie.

Ciotka znów zabrała się do cerowania.

– Nie wydzieraj się. Ona przyjedzie, to zadecyduje... – powiedziała sucho.

24

Nie mogę zasnąć, ale jestem spokojny. Przed oczami przesuwają mi się wszystko jeszcze raz, od początku. I znowu wygląda trochę inaczej niż jeszcze wczoraj. Muszę się w tym wszystkim odnaleźć, muszę zrozumieć to, co jest najważniejsze. Wiem teraz dużo więcej o innych, ale i o sobie.

Przez uchylone drzwi widać, że w kuchni świeci się. Pewno Staszek jeszcze się uczy.

Która to może być godzina? Wstałem z łóżka i poszedłem do niego.

– Nie możesz spać? No, to siadaj, bo ja też już mam dość tego wkuwania. Napijesz się herbaty?

Podszedłem do uchylonego okna i otworzyłem je szeroko. Usiadłem na parapecie

– Duszno tu u was...

– U was? Przecież ty też teraz chcesz tu mieszkać... Więc u nas.

– Staszek... powiedz: dlaczego tak jest? Dlaczego są tacy?

– Nie rozumiesz...

– Rozumiem. Powiedz: kto tu ma rację?

Zamyślił się.

– Każdy ma swoją rację... Bo ja wiem? Ludzie się rozwodzą, normalna rzecz. Chyba nawet często nie ma w tym niczyjej winy, tak się jakoś układa...

– Nie wierzę!

– Bo nie chcesz uwierzyć... – powiedział. – Rozumiem cię zresztą... A może oni sami nie wiedzą, czego chcą, czego szukają?

– Wiesz, co myślę? Mama chyba nie wie, że ja tu jestem... Twoja matka nie dała jej

znać! Niemożliwe, żeby specjalnie odwlekała przyjazd znad tego morza...

Staszek pokiwał głową.

– Też o tym myślałem... Ale to już by było draństwo! Nie mogę uwierzyć.

– Powiedz prawdę. Ciotka namawia mamę, żeby nie wracała do Borzechowa? Powiedz, Staszek. To ważne...

– Tak.

– Staszek... Rozmawiałeś z moją mamą o tym wszystkim?

Wstał i przeszedł się po kuchni raz i drugi. Zamknął drzwi do pokoju.

– Trudno mi o tym mówić z tobą. Jurek. Ale myślę, że ty źle zrobiłeś...

– Że przyjechałem? Nie. Dobrze zrobiłem!

– Widzisz... Nie rozumiesz mnie... Ja myślę, że twoja matka wróciłaby jednak tam, właśnie do ciebie. A teraz, skoro ty tu jesteś...

Przerwałem mu:

– To ty mnie nie rozumiesz. Dobrze zrobiłem, że przyjechałem.. ale nie zostanę tutaj!

Teraz już wiem...

– Co chcesz zrobić?

– Nie martw się o mnie. Wiem, co powinienem zrobić. Ale powtórz jej naszą rozmowę, daj jej ten list, który twoja matka zapomniała dać, i opowiedz wszystko. Dobrze? Zrób to, Staszek...

Za oknem było już szaro, kiedy kładliśmy się spać.

Nie słyszałem, jak ciotka wychodziła do pracy. Spałem prawie do południa. Staszka już nie było w domu. Na stole w kuchni czekało na mnie śniadanie. Posiedziałem jeszcze trochę w ogródku przed domem, wróciłem i spakowałem walizkę.

Wszystko było takie proste, takie łatwe. Godzina jazdy elektrycznym pociągiem.

I znów Warszawa.

Ale czuję jakby żal do siebie: zapomniałem o Elżbiecie? Nie, to nieprawda. Więc może jechać do niej? Jest już dzisiaj w domu, już wie, że byłem tam. Ucieszy się... A może zadzwonić? Pójdę na Dworzec Główny i stamtąd zadzwonię. Nie. Cóż mi z tego? Przecież za parę godzin będę już z powrotem tam u nas. Mogłem tu zostać, widzielibyśmy się wtedy często, do Otwocka nie jest daleko. Ona chciała, żeby tak było, i ja chciałem. Jak jej wytłumaczyć, że nie może tak być? Czy zrozumie? Na pewno zrozumie. I lepiej nie dzwonić już teraz, nie jechać do niej do domu. Będę ją pamiętał stamtąd, z naszego Borzechowa...

Konduktor sporo miał kłopotu, żeby mnie dobudzić.

– Gdzie my jesteśmy? – spytałem. Wydawało mi się, że pociąg katowicki dopiero co ruszył, że pewno widać jeszcze światła Warszawy.

– A gdzie ty wysiadasz?

Zamiast odpowiedzieć, rzuciłem się do okna. I nie musiałem już o nic pytać. Po prawej stronie mijaliśmy wzgórze Dorotki. Wiedziałem dobrze, że zaraz za nią leży Grodziec.

Więc już jestem u siebie, stąd mógłbym trafić nawet pieszo. I poczułem się, jakbym wracał z dalekich mórz, z jakiejś wielkiej wyprawy. Tylko czy to była wyprawa udana?

– Ja? Zaraz wysiadam, w Borzechowie! – odpowiedziałem, zabrałem swoją walizkę i wyszedłem na korytarz.

I znowu ta sama droga od stacji przez rynek i w dół, Gliwicką, koło rzeki. Idę powoli i rozglądam się dookoła, ale wszystko jest takie samo, jak parę dni temu, dobrze znajome i zwyczajne. Więc nic się nie wydarzyło, nic się nie stało? A ja? Przecież nie jestem zupełnie taki sam.

Sortownia tłucze się jakby trochę głośniej, jakby chciała zwrócić na siebie moją uwagę, mijają mnie ludzie wracający z nocnej zmiany. Gliwicką jadą od strony kopalni wozy z węglem. Jest jakoś szaro, niebo zaciągnęło się chmurami i wygląda jak brudna szmata zawieszona nad Borzechowem.

Dlaczego najpierw tutaj idę, do dziadków? Nie wiem, ale już stoję przed ich drzwiami, nie ma nad czym się zastanawiać. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do mieszkania. Babka rozpałała w piecu. Teraz cofnęła się o krok i machinalnie wycierała ręce w fartuch.

– Jurek, ty przyjechałeś?

Stanąłem na środku kuchni. Dziadek zerwał się z łóżka, patrzy na mnie i gorączkowo szuka ręką fajki. Widzę, że fajka leży na krześle obok łóżka, ale dziadek nie może na nią trafić. Zdjąłem marynarkę i bez słowa usiadłem przy stole.

– Stało się co, Jurek, mówże!

– Nie. Nic się nie stało! – odpowiedziałem.

– Źle ci było? Nie chcieli cię tam? Coś ci zrobili?

To babka pyta. Znam ją dobrze, znam ten ton. I wiem, że od tej chwili już jestem dla niej tym samym, czym byłem dawniej. I gdyby ktokolwiek coś złego mi zrobił, babka rozbije mu głowę bez wahania. Bo znowu jestem jej, wypełnia się jakaś luka, wracam na swoje stare miejsce, które czekało na mnie puste.

Wiedziałem, że tak będzie. Gdybym tego nie wiedział, nie wiem, czy miałbym odwagę tu wrócić. Czekają na moje słowa, ale nie odzywam się. Postanowiłem, że nic nie powiem.

Na nikogo, przeciwko nikomu. Jedno tylko mam do powiedzenia:

– Przyjechałem do was, i już. Chcę być z ojcem. Wróciłem do domu. Co was tak dziwi?

Babka rozplakała się. Więc wstałem od stołu i podszedłem do niej. Powtarzała cicho:

– Dobrze zrobiłeś... Ojciec się ucieszy! Bardzo dobrze zrobiłeś...

Patrzałem na twarze tych starych ludzi – dziadka i mojej babki.

Byli chyba szczęśliwi i, jak małe dzieci, nie umieli tego ani ukryć, ani wyrazić w słowach.

– Głodny jestem! – powiedziałem.

Jadłem śniadanie. Babka otarła wreszcie łzy, zarzuciła coś na siebie i wyszła. Skorzystałem z tego. Podszedłem do łóżka, na którym siedział dziadek.

– Okłamałeś mnie, dziadku...

Zaprzeczył ruchem głowy, ale po chwili opuścił ją. Nie odpowiadał.

– Dlaczego dziadek powiedział mi, że powinienem tam jechać? Myślałem, że ojciec tak zdecydował. I po co dziadek dał pieniądze? Żebym miał za co wrócić, tak? Więc po co było mnie tam wysłać?

Zerknął na drzwi, ale babka nie wracała. Mruknął:

– Nie pamiętam, żebym ci dawał jakieś pieniądze... Więc nie zmyślaj i nie mów im tu nic o pieniądzach! Ale chyba nie kupowałeś za nie tego farbowanego świństwa?

– Oranzady? Nie. Kupowałem lody...

– To też świństwo, takie samo... Ale niech tam! Machnął ręką i po chwili, patrząc na mnie, powiedział cicho:

– Nie okłamałem cię... Widzisz, ja chciałem, żebyś tam pojechał! Bo powinieneś jechać.

Tylko... tylko myślałem, że wrócisz tu razem z nią, z twoją matką...

Kiedy babka przyprowadziła ojca, byłem na tę chwilę dobrze przygotowany. Podszedłem do niego i zwyczajnie podaliśmy sobie ręce. Nie zadawał żadnych pytań i nie dziwił się niczemu. Jakby stało się coś najbardziej oczywistego w świecie i jakby to, co zupełnie oczywiste, tylko przez jakieś nieporozumienie czy może przypadek – odwlekło się o parę dni.

– Nie ucałujesz dziecka? – oburzyła się babka.

– Przyjechałem do ciebie! – powiedziałem. – Będę z tobą.

Wiedziałem, że oczekuje teraz jeszcze na jedno zdanie, ale nie pyta. Nie wie, jakie ono będzie. Tylko ja mogę mu to powiedzieć, co chciałby teraz usłyszeć. I ja to mówię:

– Będziemy tu na nią czekali... Razem, prawda? Uśmiecha się do mnie.

– Tak. Będziemy na nią czekali...

Jest cisza. I nagle babka zaczyna wykrzykiwać po swojemu:

– Jurek, gdzie masz grzebień? Jak ty wyglądasz? Myj się zaraz! Stary, przestań mi się tu kręcić koło kuchni i sypać ten popiół do garnków! Słyszysz!

Wiemy, że nadrabia miną. Dziadek mówi:

– Babka wróciła do swojej roli cara Mikołaja! Widzicie, jaka głośna? A żebyś wiedział, Jurek, jaka ona przez te parę dni była cichutka!

– Sam bądź cicho, stary dziadu! Chyba już przestaniesz latać bez przerwy na stację, co? Zaczęła go przedrzeźniać: – Na piwo idę, na piwo... Zupełnie, jakby tu w kiosku piwa nie było! A ty znowu dokąd? – naskoczyła na ojca.

– Do roboty, przecież dochodzi siódma...

Więc babka pociągnęła nosem i zakończyła nieoczekiwanie:

– No, to wynocha stąd wszyscy! I dajcie mi święty spokój, bo obiad robię. Tylko żebyś was potem nie musiała po mieście zwoływać! Będzie krupnik albo jarzynowa. Co wyjdzie... Odwróciła się do kuchni, wyszliśmy z ojcem. Odprowadziłem go pod kopalnię. I tam spytałem:

– Co słyhać z gołębiami?

– Nie wiem, nie zaglądałem do nich... Zobacz sam, to przecież twoje gołębie! No, do widzenia. Spotkamy się na obiedzie...

Ale spod samej bramy zawrócił.

– Jurek... ta twoja dziewczyna już wyjechała?

Kiwnąłem głową, i

– No, tak... – powiedział. – Oczywiście... musiała jechać. Jutro przecież szkoła. Słuchaj, to może kupiłbyś dwa bilety do kina. Pójdziemy sobie razem...

To był dziwny dzień, niby zwyczajny, a jednak dziwny. Godziny biegły tak prędko, jakby wszystkie zegarki zmówiły się, że będą dzisiaj szły dwa razy szybciej niż zawsze.

Gruby wpadł ze swoim zwariowanym psem.

– Dobrze, że jesteś... Nie mogłem uwierzyć, że już się nie będziemy widzieli! Tyle lat jesteśmy razem... no, sam pomyśl. Dobrze, że tak zostanie... A co to ma do rzeczy, że ja idę do innej szkoły? Co się martwisz? Życia nie znasz, bracie? Może to jeszcze lepiej, będzie o czym mówić, zobaczysz! Naprawdę masz teraz tylko trzynaście gołębi? To pechowo. No to dam jednego albo musisz jednego zjeść!

Zbyszek kręcił się, nie wiedział jednak, jak to powiedzieć.

– Poznajesz? To jej rower... jutro odeślemy pocztą, na razie sobie jeżdżę. No, tak... Jurek! Nie gniewasz się już? Jakbyś chciał, mogę ci dać to jej zdjęcie, wiesz – co kiedyś się nim chwaliłem... Co mi po nim? Ona i tak nie wie, że je mam. Więc chcesz? Ale sama przyśle ci na pewno lepsze!

Zenek szczerze się zmartwił.

– No widzisz! Gdybyś słowo powiedział, tobym się nimi zajął... Szkoda gołębi! Co?

No, niby tak. My ze Zbyszkiem idziemy co prawda do jednej szkoły, ale nasza paczka już się rozleciała, co zrobić... Tylko trzynaście, choroba! Taka strata...

Adam mówił:

– Jutro startujemy, co? Zobaczysz, damy sobie radę. Jeszcze jak! Jurek... stary Zabielał umarł, no tak, w szpitalu. Mamy coś od niego. Dał mi tą dziwny globus, pamiętasz go? Mówił, że to z Indii i że przynosi szczęście. Więc jednak byliśmy jego ostatnimi uczniami... Trzymaj się, do jutra!

Irka była wyjątkowo jakaś poważna.

– Już teraz nie będziemy się chyba kłócić, bo o co? Jurek, to była bardzo równa dziewczyna. Szkoda, że jej tu nie będzie. Strasznie mi się podobała, teraz to już mogę powiedzieć... Wiesz, był Adam, szukał cię! Spotkałeś go może?

– Szukał mnie, a znalazł ciebie. Tak? – roześmiałem się do Irki. – Nie rumień się, co to złego? On tu teraz często będzie przychodził. Chyba cię to nie martwi?

– Szkoda Zabelaka, pewno... Adam! Przecież to właściwie dzięki niemu poznaliśmy się, prawda? – przypomniałem sobie. –

A może i tak spotkalibyśmy się w liceum? Cześć, do jutra. Będę czekał przed szkołą!

– Co tam gołębie! Czy to takie ważne? – tłumaczyłem Zenkowi. – Czarny, trochę szkoda, że na jabłka już nie będziemy chodzili do cudzych ogrodów. I w Indian też nie będziemy się bawić... Z czego się śmiejesz? A tobie nie szkoda? No widzisz...

– Już dawno się nie gniewam... – powiedziałem do Zbyszka. – I zostaw sobie jej zdjęcie... Oczywiście, że sama mi przyśle... A może nawet i nie przyśle? Zdjęcia się zostawia komuś, kto może zapomnieć. Ona wie, że ja nie zapomnę...

– Wcale nie jest pechowo z gołębiami! – pocieszałem Grubego. – Bo zostało tylko dwanaście! Rudy znowu dziś uciekł... życia nie znasz? Ja też się cieszę, że przyjechałem. Masz rację, Gruby. Nie wszystko będzie inaczej...

Dziwny dzień jak karuzela zakręcił się wokół mnie, mignął twarzami i katarzynką słów: Te, które były ważne, zostaną ze mną. A dzień przeleciał, niby zwyczajny. Ostatni dzień moich wakacji.

Stoję w tej wielkiej, pełnej ludzi auli liceum, Kopernik z portretu łypie okiem, wciąż ktoś przemawia... A tak, jakbym był sam. I ciężko mi. Czy tylko mnie?

Nie ma Elżbiety. Sam tak wybrałem, więc nie mam do nikogo żalu. Nie mogę przecież płakać, nie jestem dzieckiem. Będziemy z ojcem czekać, będziemy obaj zatrzymywać na ulicy listonosza.

– Dzień dobry, panie Wierzba! Czy ma pan coś dzisiaj dla nas?

Staremu Wierzbie też jest ciężko, tyle nadziei i łez każdego dnia roznosi. Nikt nie jest sam, jeśli zatrzymuje listonosza Wierzbę, i ma go o co pytać, i ma z czym dawać sobie radę... Nagle słyszę głośnie oklaski, aula ożywia się. Ustawiony pod ścianą chór zaczyna coś śpiewać, Adam szturcha mnie łokciem i mówi:

– No, nareszcie... Nawet początek roku szkolnego ma jednak swój koniec!

Uśmiechamy się do siebie.

– Tak... – powiadam. – Więc to już naprawdę koniec wakacji!